



IWONA WILMOWSKA
STRATA

PRYWATNE ŚLEDZTWO AGATY BROK

3

IWONA WILMOWSKA

STRATA

PRYWATNE ŚLEDZTWO AGATY BROK



Copyright © 2018 by Iwona Wilmowska
Copyright for this edition © 2018 by Axis Mundi

KOREKTA: Katarzyna Szajowska
KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Borys Borowski
SKŁAD: Positive Studio

WYDANIE I

ISBN OPRAWA BR: 978-83-64980-70-1
EAN OPRAWA BR: 9788364982519
ISBN E-BOOK: 978-83-64980-71-8

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ: Kamil Raczyński
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Motto](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[Przypisy](#)

*Tak przykro o tym mówić gdy
Ty w plecy miłość wbijasz mi
Jak kruk przez dziurę gapisz się
Wciąż za daleko do mnie jest
Mówisz że wszystko trwa
Nie mów mi że nie ja
Odkochaj nas i chodźmy stąd
Tobie dam na imię strach
Sobie wezmę jeszcze mniej
To więcej niż byś mógł mi dać!*

tekst: Anna Saraniecka

piosenka Renaty Przemyk Zero (*Odkochaj nas*)

Prolog

Bolesław Skowron przystanął na chwilę i oparł się o latarnię. Noc była wyjątkowo zimna, ale jemu zupełnie to nie przeszkadzało. Alkohol jak zwykle skutecznie odgonił niemal wszystkie bolączki: te psychiczne i te fizyczne. Płaczące się nogi i delikatne mdłości to niewielka cena za takie działanie. No i jeszcze dąsy Haliny. Nie obawiał się jawnych wyrzutów – te już dawno sobie odpuściła. Ale na pewno jutro przez cały dzień będzie wodzić za nim tym swoim spojrzeniem spode łba. Ech, na co mu to było, to całe małżeństwo? Co go podkusiło, żeby się w ogóle w to pakować? Młody człowiek był i głupi. Jedno dobre, co z tego wynikło, to Anetka. Na myśl o córce Bolesław poczuł ukłucie wstydu. Dziecko nie powinno oglądać ojca w takim stanie. Ale cóż, teraz było już za późno. Przez głowę przemknęła mu myśl, że mógłby spróbować wymiotować – wtedy szybciej by wytrzeźwiał – ale szybko ją odgonił. Tak naprawdę wcale nie chciał trzeźwieć. No cóż, tak czy inaczej, pora wracać do domu.

Odkleił się od latarni i zataczając się po chodniku, ruszył przed siebie. Nogi ślizgały się na ubitym śniegu. Dawno już tyle go nie napadało. Jak jutro dojdzie jako tako do siebie, to może ulepi z Anetką bałwana. Jak jest okazja, niech dziecko pozna, co to prawdziwa zima. Kiedyś to były zimy, oj, były! Jak Sebek był mały, to nie raz i nie dwa lepili bałwany, chodzili na sanki, raz nawet zbudowali igloo. Takie prawdziwe, z dachem. Wczołgali się do środka i bawili w Eskimosów, póki porządnie nie zmarzli. Ciekawe, czy Sebek też to pamięta? Teraz to już właściwie dorosły facet. Bolesław wiedział, że gdyby wysunął propozycję wspólnego lepienia bałwana czy igloo, na pewno w odpowiedzi dostałby co najwyżej pełne pogardy spojrzenie. Bo Sebek już tylko w ten sposób na niego patrzył. Halina była zła, a Sebek nim pogardzał – taka była smutna prawda. Tylko Anetka patrzyła na niego tak, jak dziecko powinno patrzeć na ojca. Choć i w jej oczach coraz częściej dostrzegał zawód. Ale co zrobić, gdy życie takie ciężkie? Kiedyś Anetka dorośnie, to zrozumie.

Śnieg padał od dwóch dni niemal bez przerwy i teraz po obu stronach chodnika leżały zasy świeżego białego puchu. Do domu Bolesław miał jeszcze kawałek drogi, a czuł się już naprawdę zmęczony. Droga wolno przetoczył się samochód i zaświecił Bolesławowi reflektorami prosto w twarz. Mężczyzna zaklął pod nosem, osłonił oczy i lekko się przy tym zatoczył. Nie udało mu się utrzymać równowagi i wpadł w hałdę śniegu.

– Noż, cholera jasna! – wybełkotał i westchnął.

Jak tu teraz wstać? Całkiem przyjemnie się siedziało. Śnieg nie był wcale taki zimny. W ogóle Bolesławowi było zaskakująco ciepło. Może by tak chwilę odpocząć przed dalszą drogą? W sumie to mu się nie spieszy. O tej porze to już wszystko jedno. Parę minut w tę czy w tamtą nie robi różnicy. Poluzował szalik i odetchnął. Poczuł, że powieki zaczynają mu ciążyć. Najchętniej położyłby się tutaj i zasnął. Ale nie, nawet w tym stanie pamiętał, że mróz jest niebezpieczny. Tyle się o tym nasłuchiwał...

Nie ma rady. Trzeba wstawać. Chwycił się siatki ogrodzeniowej i z trudem dźwignął na nogi. Przez chwilę myślał, że zwymiotuje, ale nic takiego się nie stało. Wystarczyło kilka głębokich wdechów i żołądek się uspokoił.

Ośnieżonym rękawem przetarł twarz i znów ruszył przed siebie. Jeszcze tylko dwie przecznice i już będzie w domu. Wiatr ucichł, śnieg przestał padać i nawet żaden pies w okolicy nie zaszczekał. Która to mogła być godzina? Bolesław nie miał pojęcia. Miał tylko nadzieję, że do świtu daleko. W tym momencie marzył wyłącznie o tym, by w końcu się położyć i zasnąć. Przez moment wydawało mu się, że usłyszał za sobą jakieś kroki, ale nie miał dość siły, by obrócić głowę i spojrzeć do tyłu. Mógłby znów stracić równowagę. Wcale nie był pewien, czy po raz drugi udałoby mu się wstać. Mógł się przecież przesłyszeć. Nie ma co ryzykować. Poza tym, kto by się włóczył po nocy? Żaden z chłopaków na pewno za nim nie wyszedł. Gdy wychodził, obaj leżeli nawaleni jak szpaki. Zresztą, jak co wieczór.

Nagle poczuł lekkie pchnięcie. Próbował utrzymać się na nogach, ale mu się nie udało. Znów runął w zaspę, twarzą prosto w śnieg.

– Uhhh... – jęknął. Śnieg stłumił wiązaną przekleństw. – Co jest? – Nic więcej nie był w stanie wydusić. Próbował obrócić się na plecy, ale otaczający go puch bardzo to utrudniał. Tylko głębiej się zakopał.

– Ciiii – usłyszał szept. – Już dobrze.

Głos zdawał się znajomy, ale Bolesław nie potrafił skojarzyć go z żadną twarzą.

– Yyyy... – jęknął znów, próbując znaleźć jakieś oparcie dla rąk, ale jedną przygniatał własnym ciężarem, a druga trafiała tylko na puszysty śnieg. Gdyby był trzeźwy, wstałby bez problemu, ale teraz wszystko było takie trudne. Ciało miał jak z ołowiu, umysł otępiały. Wydobyć ręki spod własnego boku było zadaniem ponad jego siły.

– Spokojnie – odezwał się głos. – Odpocznij sobie.

Ktoś poklepał Bolesława po plecach, tak jak klepie się dziecko, by je uspokoić. Głos, choć nadal niezidentyfikowany, brzmiał przyjaźnie. Może to ktoś znajomy? Tak, na pewno. Zaraz pomoże mu wstać i odholuje go do domu. Halina będzie zła, gdy ktoś obcy wejdzie nocą, ale trudno, co zrobić? Pewnie tylko mu się zdawało, że ktoś go popchnął. Musiał potknąć się o własne nogi. No cóż – nie pierwszy raz.

Och, jak dobrze mu się leżało. Wcale nie czuł zimna. Śnieg przyjemnie chłodził mu rozpalone krążącym we krwi alkoholem policzki. Oczy powoli się zamknęły.

– Ooo, tak – wyszeptał ktoś wprost do jego ucha. – Śpij dobrze.

Bolesław się uśmiechnął. O tak, było mu dobrze. Było mu dobrze, wygodnie i ciepło. Było mu miło. W zasadzie mogłoby tak być już zawsze.

Nawet nie poczuł, że śnieg znów zaczął padać. Nie usłyszał też, jak stojąca nad nim osoba szepcze „Żegnaj” i odchodzi. To były ostatnie słowa, jakie miał kiedykolwiek usłyszeć.

1

Agatę obudził warkot ekspresu do kawy. Otworzyła oczy i zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Ósma piętnaście. Jeśli chciała zobaczyć się z Kermitem przed jego wyjściem do pracy, musiała wstać. Kermit był bardzo taktowny i rano starał się zachowywać tak cicho, jak tylko było to możliwe. Nie chciał budzić jej bez potrzeby, mając na uwadze to, jak kiepsko ostatnio sypiała. Brzuch wielkości gigantycznej dyni z pewnością tego nie ułatwiał. Jednak kawę rano musiał wypić, by w miarę przytomnie dotrzeć do pracy. Rozumiała to. Sama tęskniła za momentem, gdy znów będzie mogła w chwilach potrzeby stymulować się kofeiną. Już niedługo...

Wstała, narzuciła na plecy ciepły pluszowy szlafrok, który dostała od niego na urodziny, i zeszła po schodach.

– O! Wstałaś! – Kermit uśmiechnął się do niej i położył dłoń na jej brzuchu. – Jak tam moje dziewczyny się dzisiaj czują?

– Na razie są trochę zaspane. – Agata uśmiechnęła się blado. – Daj łyka.

Wyjęła mu filiżankę z ręki i się napiła.

– Ej! Ej! Wybombisz mi wszystko! – Kermit udał oburzenie.

– Przecież sam wiesz, że lekarz pozwolił mi pić najwyżej pół filiżanki kawy rano. A skąd ja wezmę pół filiżanki kawy jak nie od ciebie? Tak to musiałabym wylać, a przecież szkoda...

– Jasne, jasne, szkoda, Pani Racjonalna. – Roześmiał się i cmoknął ją w czubek nosa. – To teraz zrób mi drugą, bo w przeciwnym razie lud pracujący gotów zasnąć za kierownicą. Muszę jeszcze koszulę wyprasować.

– Wkładasz dziś koszulę? – zdziwiła się Agata, nastawiając ekspres. To nie był codzienny strój Kermita. U niego w pracy nie obowiązywał sztywny dress code, więc zwykle chodził w podkoszulkach i bluzach.

– Tak, cały garnitur muszę włożyć – odparł ze zboląłą miną, jakby chodziło o chodzenie boso po rozgrzanych węglach. Rozumiała go. Też ceniła sobie możliwość noszenia ubrań wedle tego, co jej w duszy zagra. – Przyjeżdża nasz globalny szef i muszę jakoś wyglądać.

Agata dopiero teraz zwróciła uwagę na to, że rzeczywiście miał na sobie spodnie od garnituru i eleganckie buty.

– No cóż, mus to mus! – Wzruszyła ramionami. – Ale dla mnie zawsze wyglądasz w porządku.

Dział IT w firmie Kermita w ostatnich miesiącach bardzo się rozrósł, bo zaczął obsługiwać nie tylko Polskę, ale też inne kraje europejskie. Przybyło kilku nowych pracowników, a Kermit objął stanowisko szefa IT na cały region. Było mu to bardzo na rękę, bo w związku z tym, że kupili dom, a wkrótce na świat miała przyjść ich córka, pieniądze stały się bardzo potrzebne. Dodatkowo zdecydował się pomóc rodzicom. Ich dom w Bieszczadach miał już swoje lata i wymagał kilku kosztownych napraw, jak wymiana okien czy renowacja dachu – dachówki były w opłakanym stanie. Kermit sprzedał apartament na Mokotowie i za te pieniądze kupili posesję w Michałowicach pod Warszawą. Miał jeszcze trochę oszczędności, ale z pewnością nie tyle, by w obecnej sytuacji podchodzić do pracy tak lekko, jak robił to wcześniej. Zresztą remont, jaki musieli przeprowadzić, pochłonął więcej pieniędzy, niż początkowo zakładali. Ale chyba jeszcze nie urodził się taki, który przy remoncie zmieściłby się w zakładanym pierwotnie budżecie. No, może Warren Buffet byłby zdolny poczynić tak dogłębną i dalekowzroczą analizę finansową obejmującą wszystkie pułapki czekające na remontujących. Ale Agata i Kermit nie byli Warrenami Buffetami i realne koszty całego przedsięwzięcia trochę przerosły ich plany. Przez chwilę nawet zastanawiali się, czy nie sprzedać mieszkania Agaty, które aktualnie wynajmowali, ale na szczęście udało się tego uniknąć.

Agata ze zdziwieniem obserwowała, jak łatwo Kermit odnalazł się w sytuacji, w której praca nie była wyborem, ale koniecznością. Dla niej nie było to nic nowego. Od zawsze miała świadomość, że po prostu musi pracować, by się utrzymać. Kermit przeciwnie. Gdy się poznali, miał taką sytuację finansową, która dawała mu poczucie wolności. W każdej chwili mógł rzucić pracę i nie martwić się o jutro. Inwestycja w dom i pomoc rodzicom nieco tę wolność ukróciły. Kermit jednak zdawał się niemal tego nie zauważać. Odkąd dowiedział się, że będą mieli dziecko, chodził cały w skowronkach i z uśmiechem na ustach postawił swoje życie do góry

nogami. Agata oczywiście cieszyła się z tego, ale cały czas w głębi duszy obawiała się, czy nie jest to przypadkiem słomiany zapał, którego potem Kermit będzie żałował. Wypatrywała w jego spojrzeniu żalu za dawnym życiem, ale na razie niczego takiego się nie dopatrzyła. Starła się jednak na nic nie naciskać.

Kupno domu to był jego pomysł. Przystąpiła na niego z rozsądku. W jej mieszkanku byłoby im ciasno, w jego apartamencie nie czuła się swobodnie. Dom pasował im obojgu. Jednak gdy spytał, czy zgodzi się za niego wyjść, odmówiła. Powiedziała, że nie chce być panną młodą z brzuchem. To była prawda, ale ważniejszym powodem była obawa, że Kermit pyta ją o to jedynie pod wpływem chwili, albo, co gorsza, z poczucia obowiązku. Uważała, że ślub można wziąć zawsze i nie ma co się z tym spieszyć. Na szczęście temat chwilowo umarł. Agata miała nadzieję, że minie przynajmniej parę ładnych miesięcy, zanim powróci. Zresztą, gdy pojawi się dziecko, nie będą mieli czasu ani sił, by snuć takie plany.

– Wrócisz normalnie? – spytała, podając mu filiżankę z parującą kawą.

Kermit odstawił żelazko i smutno pokręcił głową.

– Nie, niestety muszę iść z tym gościem na jakąś kolację, obiad, sam nie wiem co. I nie wiem, do której to się przeciągnie.

– Dobrze, może jakoś wytrzymam bez ciebie. – Agata uśmiechnęła się nieco ironicznie.

Naprawdę nie mogła mieć pretensji. Mimo awansu Kermitowi udało się utrzymać swój priorytet – nadal nie siedział w pracy po godzinach. Zwykle dzięki odpowiedniej organizacji pracy punkt siedemnasta wyłączał komputer i wracał do domu. Dziś to był wyjątek.

– Ale jakby co... – zaczął.

– Wiem, wiem! – wpadła mu w słowo. – Telefonu nie wyłączasz, mogę dzwonić o każdej porze, gdyby coś się działo. Ale jakoś nie przewiduję dzisiaj specjalnych zmian w liczebności naszej rodziny. – Poglaskała się po brzuchu. – Pannie Klarze nigdzie się nie spieszy.

– Chciałaś powiedzieć „pannie Stefanii” – poprawił ją Kermit.

– Po moim trupie! Moje dziecko nie będzie nazywało się Stefa! – Agata chwyciła się pod boki i zmarszczyła brwi.

– A moje na pewno nie będzie miało na imię Klara! – zaoponował

Kermit.

Tak, to był stały punkt dnia. Nie mogli dogadać się co do imienia dziecka. Tak naprawdę Kermit już dawno pogodził się z tym, że córka nie będzie nosiła szacownego, tradycyjnego imienia Stefania, a Agata też odżałowała, że jej pierworodna nie będzie Klarą, choć to imię brzmiało jak z bajki i bardzo jej się podobało. Ale i tak lubili przekomarzać się na ten temat.

– No dobra, mu tu gadu, gadu, a czas leci – rzekł Kermit, wiążąc sobie krawat. – A przecież jeszcze podjazd trzeba odśnieżyć, bo nie wyjadę. W nocy znowu napadało.

Agata zerknęła przez okno. Z tej perspektywy nie było widać żadnej różnicy. Gałęzie drzew ugięły się pod ciężarem śniegu tak samo jak wczoraj.

– Ostatnio pada bez opamiętania! – Kermit kontynuował narzekania.

– Oj, nie przesadzaj! Jest zima, to musi być śnieg.

– Tak, ciekawe, czy tak samo byś mówiła, gdybyś to ty musiała co rano łopatawać.

– Ooo! Zabieraj brzuch, to z przyjemnością ci połopatuję!

– Dawaj! – Kermit doskoczył i objął ją w pasie. – Gdzie to się odczepia?

– Zaczęła ją łaskotać w talii, a raczej w miejscu, które kiedyś było talią.

Agata roześmiała się i odepchnęła go.

– Wariat!

– Już prawie spóźniony wariat! – odparł i zaczął wkładać płaszcz. – Lecę, ale pamiętaj, że jakby co...

– Tak, wiem. Mam dzwonić.

Ostatni pocałunek i Kermit wyszedł. Gdy otworzył drzwi, usłyszeli cichnący dźwięk syreny, ale nie zwrócili na niego większej uwagi.

2

Oż, kurczę, no! – mruknęła Agata, gdy otworzyła lodówkę. W środku nie było ani jednego serka waniliowego. A ona od kilku miesięcy nie mogła na śniadanie jeść nic innego jak tylko serki waniliowe. Na samą myśl o czymkolwiek innym momentalnie traciła apetyt. Na tyle szybko, na ile umożliwiały jej to isticie słoniowe gabaryty, ruszyła do okna wychodzącego na podwórko. Wyjrzała z nadzieją, ale Kermita ani samochodu już nie było. Jeśli chciała zjeść, musiała sama ruszyć się do sklepu. Nie miała na to najmniejszej ochoty. Gdyby chodziło tylko o nią, pewnie lenistwo wygrałoby z głodem, ale tu przecież chodziło o dziecko. Wyznawała zasadę, że jeśli będąc w ciąży, ma na coś ochotę, to znaczy, że dziecko tego potrzebuje i w związku z tym z zachciankami nie należy dyskutować. Logiczne, prawda? A kto by odmówił serka maluszkowi?

W kilkanaście minut przygotowała się do wyjścia. Włożyła spodnie z wielkim elastycznym pasem na brzuchu, bluzkę na ramiączkach i wiązany z przodu czarny sweter. Za cały makijaż wystarczył jej tusz do rzęs. W ostatniej chwili wróciła jeszcze do kuchni po karmę dla kota. Wprawdzie nie mieli swojego zwierzaka, ale po ich ogrodzie kręcił się jakiś dachowiec, który za nic nie dawał się zaprosić do domu, lecz chętnie wpadał na małe co nieco. Tradycją stało się, że u nich przed domem jadał śniadania. Agata rozejrzała się, ale nigdzie go nie zobaczyła. Nic dziwnego – rzadko widywała przybłędę. Był ostrożny i bał się ludzi. Zwykle jedynymi znakami jego obecności były ślady łapek na śniegu i pusta miska. Zapewne tak będzie i tym razem. Miała nadzieję, że z czasem to się zmieni, ale chwilowo musiała jej wystarczyć taka znajomość na odległość. Położyła otwarte opakowanie na schodach. Kot na pewno przyjdzie.

Gdy podniosła wzrok, zobaczyła stojącego przed nią pana Andrzeja – mieszkającego w pobliżu wykończeniowca, którego zatrudnili, by zrobił łazienkę na górze. Ekipa, która remontowała dom, nie podjęła się tego zadania, bo byli już umówieni na konkretny termin u kogoś innego.

Komunikat „Pani Agatko, u nas termin mur-beton, musimy się tego trzymać!” nie podlegał negocjacom. Resztę pomieszczeń zrobili, ale z tą łazienką wiedzieli, że się nie wyrobiją. Agata i Kermit zgodzili się na to. Z łazienką na górze aż tak strasznie im się nie spieszyło. Mieli na dole mniejszą, która na razie im wystarczała. Wprawdzie był tam tylko prysznic, a Agata uwielbiała długie gorące kąpiele, ale w ciąży były one niewskazane, więc brak możliwości wylegiwania się w wannie mogła chwilowo przeboleć. Pomyśleli, że jak już się wprowadzą i urządzą, znajdą jakąś złotą rączkę mieszkającą w pobliżu. Rozwiesili ogłoszenia i już tego samego dnia zgłosił się do nich pan Andrzej, na pierwszy rzut oka bardzo sympatyczny. Dobrze patrzyło mu z oczu, wycena, którą zrobił, była akceptowalna, miał akurat trochę wolnego czasu, więc nie chcąc marnować czasu, umówili się na robotę.

Szkoda, że dwa razy się nad tym nie zastanowili ani nie spisali umowy jasno określającej termin zakończenia prac. Pan Andrzej łazienkę wykańczał już prawie miesiąc (a miały być dwa tygodnie). Początkowy budżet też dawno już przestał obowiązywać: wciąż wyskakiwały jakieś dodatkowe prace, które, jak się okazywało, trzeba było wykonać. Dzień w dzień pan Andrzej witał ich tym swoim nieco nosowym głosem, wypowiadającym wciąż te same słowa:

– Dzień dobry, zimno dzisiaj! – Stał teraz na progu, ze skrzyneczką w ręce i pełnym samozadowolenia wyrazem twarzy. Jego okrągłe policzki były zaczerwienione od mrozu, a jasnobłękitne oczy patrzyły ze szczerością dziecka.

– Dzień dobry – odparła Agata z uśmiechem. Nie żeby cieszyła się na jego widok, ale w obecnej sytuacji wchodzenie w konflikt nikomu by nie pomogło. – Jest zima, to musi być zimno.

– Tak, tak. – Pokiwał głową, wchodząc do środka. – Ale napadało dziś nieźle!

Na jego butach były całe hałdy śniegu, które niewątpliwie lada moment roztopią się na jej pięknej, jasnej, wczoraj wieczorem wyczyszczonej podłodze. Agata to również postanowiła przemilczeć. W stosunku do pana Andrzeja przyjęła strategię „Zacisnąć zęby, przetrwać, zapomnieć”.

– Panie Andrzeju, to co pan dziś będzie robił?

Od jakiegoś czasu starała się określić każdego ranka, co konkretnie ma w planach, i w miarę możliwości taktownie rozliczyć go z tego, gdy zbierał się do wyjścia.

– Aaa! No dzisiaj, pani Agatko, zabieram się już za obudowę wanny! – Był bardzo dumny z siebie, jakby to było jakieś osiągnięcie, podczas gdy wanna powinna być obudowana już dawno temu.

– Dobrze. Pamięta pan, jak ustalaliśmy z tymi płytkami? Białe na górze, czarne na dole.

– Białe na górze, czarne na dole – powtórzył pan Andrzej. – Prosta sprawa!

– No dobrze, to nie będę pana już zatrzymywać. – Zaczęła zbierać się do wyjścia.

– A pani gdzie w taką pogodę?

– Do sklepu. Potrzebuje pan czegoś?

– Nie, nie! Ja kanapki sobie przyniosłem. – Poklepał się po kieszeni kurtki. Agata szybko odgoniła wyobrażenie rozklapcianego chleba z masłem przełożonego mortadela. – A potem będę musiał jeszcze do Obi skoczyć na chwilę.

Pan Andrzej jechał do marketu budowlanego średnio trzy razy dziennie, bo wiecznie mu czegoś brakowało. Niewątpliwie była to jedna z przyczyn opóźnień w pracy. Agata powstrzymała się przed złośliwym komentarzem i chwyciwszy torebkę w rękę, powiedziała:

– Do zobaczenia! – I szybko zamknęła za sobą drzwi.

Pan Andrzej ma klucz. Poradzi sobie. Agata ruszyła w stronę sklepu spożywczego, jedyne w zasięgu dwóch kilometrów, na szczęście dość dobrze zaopatrzonego i zawsze mającego na stanie serek waniliowy.

Dzień był chłodny i szary. Rozproszone światło słońca raziło zza chmur. Agata ze zdziwieniem obserwowała zwały śniegu po obu stronach chodnika. Jeszcze trochę i ulice zaczną przypominać biały labirynt. Od kilku lat nie było takiej zimy. A może po prostu poza miastem wszystko wygląda inaczej? W każdym razie taka ilość śniegu kojarzyła jej się z dzieciństwem. Pamiętała, jak lepiła z tatą kule śniegowe, tak wielkie jak ona sama. Miała wtedy nie więcej niż siedem, osiem lat, więc kule obiektywnie monstrualne nie były, ale jej wydawały się gigantyczne. Kulig za

samochodem – dziś nie do pomyślenia, kiedyś norma. Siedząca za nią Aśka piszczała jej do ucha tak, że Agata myślała, że zaraz ogłuchnie. Ciekawe, czy dzieci Aśki były kiedyś na kuligu? Pewnie nie. Od kilku lat zimy były takie liche, że o takiej rozrywce można było tylko pomarzyć. Agata postanowiła, że koniecznie musi zadzwonić dziś do siostry i powiedzieć jej, by zapewniła dzieciom tyle zimowych atrakcji, ile da radę, póki są warunki. Choć to nie będzie takie proste. Odkąd Aśka wróciła do pracy, nie miała już tyle czasu dla dzieci co kiedyś, a Agata, będąc w tak zaawansowanej ciąży, nie bardzo mogła sobie pozwolić na zimowe szaleństwa.

Dotarła do rogu ulicy, za którym znajdował się sklep. Gdy tylko zza niego wyjrzała, jej uwagę od razu przyciągnęło zbiegowisko jakieś dwieście metrów dalej. Stał tam radiowóz, kręciło się dwóch policjantów i kilka innych osób, tak zakutanych w kurtki i szaliki, że nikogo nie rozpoznała. Kusilo ją, by podejść i sprawdzić, co się dzieje, ale postanowiła najpierw zrobić zakupy.

– O! Pani Agatka! – zawołał na jej widok sprzedawca, a zarazem właściciel sklepu. I to by było na tyle z miejskiej anonimowości, która nigdy jakoś jej nie uwierała.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się, wycierając buty w szmatę leżącą przy wejściu. – Serki są?

– Pewnie, że są! – Rumiane policzki sprzedawcy zabłyszczały jak dwa jabłuszka, ale uśmiech nie zawędrował do jego spojrzenia. Po raz pierwszy, odkąd bywała w tym sklepie, czyli od trzech miesięcy, Agata odniosła wrażenie, że jego jowialność jest sztuczna. Nietrudno było domyślić się, co mogło być tego przyczyną.

– Tam, na dworze, co się stało? – zagadnęła.

– Ach! – Sprzedawca machnął ręką. – Bolo, Bolo i po Bolu! – rzekł sentencjonalnie.

– Co takiego? – spytała Agata, która nic z tego nie zrozumiała.

– Ano ten Bolo, kojarzy go pani?

– Nie...

– No... Ten taki, przesiadywał tu pod sklepem z takimi dwoma!

Agata sięgnęła pamięcią do cieplejszych miesięcy i rzeczywiście przypomniała sobie, że jesienią przed sklepem czasami widywała trzech

pijaczków, którzy wraz z nastaniem mrozów gdzieś się ulotnili. Za nic w świecie nie byłaby w stanie wskazać, który z nich to Bolo, ale nie chcąc tracić czasu na dalsze tłumaczenia, pokiwała głową, starając się wyglądać jak ktoś, kto właśnie doznał olśnienia.

– A! Tak! Oczywiście! Bolo! – Dla większego efektu klepnęła się w czoło.

– No więc dzisiaj w nocy Bolo zamarznął! Szedł po nocy napruty jak kuter, przewrócił się w zaspę i tak już został. A przy takich mrozach jak teraz to nie ma zmiłuj! To musiało się tak skończyć. Szkoda chłopca, ale co zrobić? Od dawna było wiadomo, że to do niczego dobrego nie doprowadzi. Tylko Halinki żal...

– Halinki?

– Jego żony! Pani tu nowa, to jeszcze wszystkich nie zna. Oni tu, niedaleko, na Fiołkowej mieszkają. Sama z dwójką dzieci teraz została. Może za dużo pomocy od tego Bola nie miała, ale to zawsze różnie, jak ten mąż, jaki by nie był, to jednak jest. Ech... Wie pani, co mówią, że we dwoje to nawet herbata inaczej smakuje. – Mężczyzna pokręcił głową. – No w każdym razie dziś nad ranem znalazła go Paulina Kluzik, jak wyszła chodnik odśnieżać. Wychodzi, patrzy, a tam jakieś nogi z zaspą sterczą. Podbiega, odgarnia śnieg, a tam Bolo! Siny! Bez życia! Nawet nie było po co pogotowia wzywać.

– Chyba zawsze trzeba wezwać, żeby stwierdzono zgon – zauważyła Agata.

– Tak, tak, w końcu przyjechało, ale, pani Agatko, to nie trzeba być lekarzem, by stwierdzić, że życia w tym Bolu już nie było.

– No cóż, przykro mi. Pan go pewnie dobrze znał.

– Ano znałem, znałem! W końcu całymi dniami tu nieraz przesiadywał. – Sprzedawca potarł brodę w zamyśleniu. Już otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś dodać, ale potem szybko pokręcił głową i spytał: – To ile tych serków ma być?

– Pięć poproszę. I jeszcze gazetę – dodała, kładąc na ladzie jakieś kolorowe pisemko. Przyda się, by zabić trochę czasu, zanim Kermit wróci. Do czytania ambitniejszych rzeczy nie miała teraz głowy.

– To będzie razem ... – stuk, stuk, stuk w kasę – ...piętnaście złotych.

Agata podała odliczoną kwotę i spakowała zakupy do płóciennej torby, którą przyniosła ze sobą. Sprzedawca jak zwykle ze zdziwieniem obserwował, co ona wyczynia. Chodzenie w własną torbę na zakupy jeszcze nie było powszechnie przyjętym zwyczajem w Michałowicach.

– Dziękuję. Do widzenia – powiedziała.

– Do widzenia, do widzenia! I niech pani pilnuje tego swojego Piotra, żeby nie skończył jak Bolo!

Agata uśmiechnęła się uprzejmie i z ulgą zamknęła za sobą drzwi. Nie przestawało jej dziwić, skąd ten facet zna ich imiona. Sama nie miała bladego pojęcia, jak on się nazywa.

Zauważyła, że niewielkie zgromadzenie nie tylko się nie rozeszło, ale wręcz ożywiło. Ktoś tam się najwyraźniej awanturował.

„Nie idź tam, Agata” – nakazała sobie w myślach. – „Jest zimno, ty jesteś w ciąży i naprawdę to nie jest najlepszy moment, żeby wtykać nos w nie swoje sprawy. To się nigdy dobrze nie kończy...”. A jednak nogi same poprowadziły ją w stronę radiowozu i zebranych w jego pobliżu osób.

3

Jak to zamarzał? Jak to zamarzał?! – krzyczał jakiś mężczyzna, machając rękami na boki. Z jego ust buchały kłęby pary.

Jako jedyny ze zgromadzonych najwyraźniej nie zwracał uwagi na chłód. Wyglądał, jakby wybiegł z domu tak, jak stał. Ubrany w sam sweter, z odkrytą głową, bez rękawiczek. Jedynie buty miał zimowe. W kapciach daleko by nie zaszedł. Twarz miał czerwoną – nie wiadomo, na ile był to efekt mrozu, a na ile zdenerwowania. Z oczu biło takie napięcie, że aż dziwne, że nie strzelał piorunami.

– Proszę się uspokoić – powiedział młody policjant. W jednej ręce trzymał notatnik, w drugiej długopis i wyglądał tak, jakby całą energię wkładał w to, by nie cofnąć się w reakcji na krzyki mężczyzny. Rozbieganym wzrokiem przebiegł przez zebrany tłumek, ale nie znalazł w nim żadnego punktu oparcia, niczego, co dodałoby mu pewności siebie.

– Jak mam się uspokoić, jak pan mi mówi, że mój brat zamarzał?!

– Proszę pana, pana brata dziś o piątej dziewiętnaście znalazła... – zaczął policjant.

– Przecież wiem! Przecież dobrze wiem, że to Paula go znalazła! – Mężczyzna znów się zapienił. – Na litość boską, przecież już mi pan to mówił! Ma mnie pan za idiotę?!

Agacie zrobiło się żal policjanta. Już chciała się wtrącić, gdy z radiowozu wysiadła policjantka – drobna blondynka z włosami zebranymi w kucyk, delikatnie umalowana, od stóp do głów odziana w czerni. Dziarskim krokiem ruszyła w stronę krzyczącego mężczyzny, któremu naprawdę niewiele już brakowało, by rzucić się na policjanta z pięściami.

– Proszę zrobić krok w tył – powiedziała bardzo kobiecym, ale zarazem stanowczym głosem i z wyciągniętą przed siebie ręką natarła na mężczyznę tak, że nie miał innego wyjścia jak tylko się cofnąć kilka kroków. Agata na pierwszy rzut oka powiedziałaaby, że kobieta ma nie więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, ale po dokładniejszym przyjrzeniu się dostrzegła sieć

drobnych zmarszczek wskazujących, że jednak trzydziestkę miała już za sobą.

– Co... co pani? – Mężczyzna był tak skonsternowany, że zapomniał o swojej złości.

– Sierżant sztabowa Renata Bogucka. Będę zajmować się tą sprawą. Proszę podać swoje imię i nazwisko.

Kobieta wyjęła z kieszonki notes i długopis i wpatrzyła się wyczekująco w brata zmarłego. Niemal niedostrzegalnie rzuciła młodszemu koledze spojrzenie nakazujące, by wszedł do samochodu. Młody policjant niezwłocznie usłuchał. Trudno było nie zauważyć ulgi, jaka odmalowała się na jego twarzy.

– Wojciech. Wojciech Skowron. Jestem bratem Bolka – przedstawił się mężczyzna, odprowadzając policjanta nienawistnym wzrokiem.

– Dobrze. – Kobieta podchwyciła jego spojrzenie. – Bardzo dobrze, że pan tu przyszedł, bo inaczej musielibyśmy pana szukać. Bardzo proszę, żeby pan przyjechał dziś do nas na komendę. To, co ma pan do powiedzenia, może okazać się niezwykle cenne dla sprawy. Proszę o numer telefonu do pana. Zadzwońę potem, to umówimy się na konkretną godzinę, żeby nie musiał pan czekać.

Mężczyzna podał numer, który policjantka skrupulatnie zapisała, po czym głośno odczytała, by się upewnić, że nie popełniła żadnego błędu.

– Dobrze, dziś na pewno do pana zadzwonię, ale najpierw chcielibyśmy poznać wstępne ustalenia lekarza. Sam pan rozumie, że nie możemy zmarnować ani chwili, a tu wszystkie czynności operacyjne na ten moment zakończyliśmy. Proszę spojrzeć. – Wskazała pod jego nogi, a mężczyzna posłusznie spuścił wzrok. – Wszystkie ślady są już zdeptane.

Spłoszony Wojciech Skowron cofnął się o krok. Agata z podziwem spojrzała na policjantkę. Jej spokojna stanowczość w kilka sekund rozgoniła wiszącą w powietrzu awanturę.

– Znajdziecie tego, kto mu to zrobił? – spytał już nieco spokojniej mężczyzna. W jego drżącym głosie wciąż pobrzmiwało napięcie, ale teraz nie pełne agresji, lecz dojmującego smutku.

– Dołożymy wszelkich starań, by jak najdokładniej wyjaśnić tę sprawę – zapewniła policjantka, patrząc mu prosto w oczy i niemal nie mrugając.

– Nie potraktujecie go jak zwykłego pijaczka? – upewnił się Wojciech Skowron. – On na pewno sam się w tym śniegu nie położył. Wiedział, czym to grozi. Zawsze mu mówiłem, że w zimę musi szczególnie uważać i on to wiedział, rozumie pani? On to wiedział! Ile by nie wypił, wiedział, że gdy jest mróz, nie może położyć się i zasnąć na dworze!

Agata w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie przewrócić oczami. Jasne... Może i na trzeźwo wiedział, ale jak sobie popił, to pewnie było mu już wszystko jedno. Poza tym zapewne się w tym śniegu nie położył, tylko się w niego po prostu zwałił. Policjantka jednak zachowała pełen profesjonalizm.

– Bardzo dobrze, że pan nam to mówi – powiedziała, notując coś w notesiku. – Będziemy o tym pamiętać. A teraz proszę wracać do domu. Jeszcze dzisiaj proszę się spodziewać telefonu ode mnie.

Mężczyzna patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym kiwnął głową i wtuliwszy głowę w ramiona, ruszył ulicą przed siebie.

– A państwu – policjantka zwróciła się do zebranego tłumku – też radziłabym wracać do domów. Niewykluczone, że i z państwem będziemy się kontaktować, gdyby pojawiła się taka konieczność. Rozumiem, że mój kolega zebrał od wszystkich dane, zanim pojawił się pan Wojciech Skowron, zgadza się? – spytała.

Agata nie zamierzała się wychylać. Wbiła wzrok w czubki swoich butów.

– Dobrze, w takim razie do zobaczenia – powiedziała policjantka i nie czekając na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i wsiadła za kierownicę radiowozu, który po sekundzie odjechał.

– Niezła kosa – mruknął pod nosem jakiś mężczyzna z głupim uśmiechem.

– Oj, Józek, ty byś się ze dwa razy zastanowił, zanim coś palniesz! – prychnęła stojąca obok niego kobieta i trzepnęła go w ramię. – Z tymi chłopami to skaranie boskie...

Ludzie powoli zaczęli się rozchodzić. Policjantka miała rację: wszystko wokół było totalnie zdeptane. Hipoteza, że do śmierci Bola przyczynił się ktoś poza nim samym i zwodniczymi procentami, na chwilę obecną wydawała się mało prawdopodobna, ale Agata miała nadzieję, że policjanci dotarli tu, zanim zebrał się tłum i zatarł wszelkie ślady. Choć

przecież w nocy padał śnieg. Jeśli ten Bolo wpadł w zaspę parę godzin przed świtem, biały puch mógł zatrzeć ślady, zanim mieli szansę zrobić to ludzie.

Agata podniosła wzrok i napotkała spojrzenie kobiety, która właśnie skończyła pisać coś w telefonie i wsuwała go do torby. Kobieta była na oko kilka lat starsza od Agaty. Była ubrana w krótką pikowaną kurteczkę w kolorze intensywnego granatu, obcisłe dżinsy i zupełnie niepasujące do reszty stroju rozchodzone śniegowce. Spod dużej wełnianej wiśniowej czapki sterczała blond grzywka, a na twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech. Agata zupełnie jej nie kojarzyła, ale odpowiedziała równie delikatnym uśmiechem, na co dziewczyna roześmiała się już w pełni otwarcie i kiwnęła do niej głową.

– Cześć. Jestem Kaśka. – Głos dziewczyny był miły dla ucha, bardzo dziewczęcy.

Zdjęły rękawiczki i uściśnięły sobie dłonie.

– Agata.

– Tak, wiem. U nas wszyscy wiedzą takie rzeczy – wyjaśniła, widząc zdziwioną minę Agaty. – Sprowadziliście się tutaj już ze dwa miesiące temu...

– Trzy – automatycznie poprawiła ją Agata i w tym samym momencie zapragnęła ugryźć się w język. Co to miało za znaczenie? Dziewczyna wydawała się miła, a teraz pewnie weźmie ją za jakąś rąbniętą skrupulantkę.

– No właśnie, aż trzy! A my jeszcze nie miałyśmy okazji się poznać. Może masz chwilę, żeby wstąpić do mnie na kawę? Ja akurat mam dziś wolne przedpołudnie.

Agata przygryzła wargę, próbując rozważyć wszystkie za i przeciw, ale jakoś żadne „przeciw” nie przychodziło jej do głowy, więc powiedziała:

– Chętnie! A daleko mieszkasz?

– Skąd! – Dziewczyna znów się uśmiechnęła, pokazując drobne, białe zęby. – Pięć domów od twojego.

Agata przez moment poczuła się nieswojo. Nie była przyzwyczajona do tego, by ktoś obcy wiedział nie tylko jak ma na imię, ale też gdzie mieszka. Cóż, prawdopodobnie adres to też coś z gatunku „u nas wszyscy wiedzą takie rzeczy”. Chyba czas się do tego przyzwyczaić, jeśli ma tu mieszkać. I

na pewno warto poznać się trochę z sąsiadami.

– No to chodźmy! – Ruszyły ścieżką w stronę domu Kaśki. – Znałaś tego Bola? – zagaiła Agata.

– No pewnie! Znałam go jeszcze ze szkoły, a poza tym wszyscy go tu znali! To był jeden z takich pijaczków, co to w lecie ciągle siedzą pod sklepem, ale zupełnie nieszkodliwy. Żadnych zaczepek, nic takiego, czasem tylko o złotówkę czy dwa złote poprosił, ale i to rzadko mu się zdarzało. „Dzień dobry”, „do widzenia”, zawsze powiedział. Mnie tam on zupełnie nie przeszkadzał.

– A komuś przeszkadzał?

Kaśka spojrzała na nią uważnie.

– Wierzysz w to, co wygadywał Wojciech, że ktoś celowo Bola wepchnął w ten śnieg i tak zostawił?

– Nie! Skąd! – zaprzeczyła Agata. – Zresztą nie wiem... Tak tylko spytałam.

– Aha. – Kaśka wzruszyła ramionami i znów spojrzała przed siebie. – No więc tak, pewnie komuś tam przeszkadzał, jak to pijaczek. Niektórych denerwowało to, że przesiadywał tak pod tym sklepem, że niby okolicę psuje czy coś takiego. Bzdury, nie? – Spojrzała pytająco na Agatę, która pokiwała głową. – No właśnie. Póki grzecznie siedzi, to niech sobie siedzi, ja tak uważam. Żyj i daj życie innym, ot co! Nawet z żoną, z Halinką, chyba za bardzo się nie awanturował, choć łatwego życia to ona z nim nie ma, ups! – Kaśka zakryła dłonią usta, jakby wymsknęło jej się przekleństwo. – Nie miała, chciałam powiedzieć. Zwłaszcza z dwójką dzieci, choć ten starszy to już w zasadzie dorosły... A u was dziewczynka będzie czy chłopiec?

– Dziewczynka.

– A imię już wybrane?

– Nie, jeszcze nie. Cały czas się zastanawiamy.

– Nooo! To się lepiej pospieszcie! Bo to chyba już niedługo, prawda?

– Wedle planu dwa tygodnie, ale wiadomo, jak to jest.

– Pewnie! Dziecko nie zegarek. Będzie gotowe, to wyskoczy. O! I jesteśmy!

Zatrzymały się przed zwykłą żelazną furtką. Agata z ciekawością rozejrzała się po podwórku. Wokół płotu rosły niewysokie tuje, teraz

pokryte śniegiem. Poza nimi w ogrodzie nie było niemal żadnych widocznych roślin. Latem musi być tu spory trawnik, teraz była jednolita płachta śniegu, tu i ówdzie poprzecinana śladami jakiegoś niewielkiego zwierzęcia. I już po chwili rzeczony zwierzę wybiegło z za rogu z dzikim jazgotem. Agata aż podskoczyła na jego widok, choć furtka nadal była zamknięta, bo Kaśka szukała w torbie kluczy. Mały łaciaty kundelek podskakiwał na wysokość pasa, przy każdym szczeknięciu obnażając białe kielki.

– Jazgot, daj spokój! – rzekła Kaśka, otwierając furtkę. – Nie bój się, on taki groźny tylko z za krat. – Uśmiechnęła się uspokajająco do Agaty.

I rzeczywiście, gdy tylko skrzydło furtki się uchyliło, piesek przeszedł momentalną metamorfozę. Szczekanie ucichło, ogon się rozmerdał, a zamiast zębów widać było tylko język polujący na jakąś odsłoniętą część ciała, którą mógłby polizać.

– Chodź, chodź, bo zimno!

Kaśka zamknęła furtkę i ruszyły zaśnieżonym chodnikiem w stronę drzwi wejściowych. Krótki zgrzyt klucza w drzwiach i już były w środku.

W korytarzyku zostawiły buty i kurtki. Gdy Kaśka zdjęła czapkę, Agata zobaczyła, że jej włosy były do połowy czarne, a tylko końcówki były w kolorze bardzo jasnego, wręcz platynowego blondu. Jednak w połączeniu z krótką potarganą fryzurką ten miks kolorów wyglądał zaskakująco twarzowo. Dodatkowo dziewczyna miała wytatuowany rój niewielkich gwiazdek, który ciągnął się od miejsca za uchem aż do końca szyi. Coś mówiło Agacie, że to nie są jedyne rysunki na jej ciele. Może na plecach ma całą konstelację?

Kaśka zaprosiła ją do kuchni i włączyła radio. Podrygując w rytm tanecznej piosenki wyśpiewywanej przez jakąś pojękującą piosenkarkę, wstawiła wodę na herbatę.

– Zjesz kanapkę? – spytała, wyjmując z torby plastikową siatkę z trzema kajzerkami.

– Nie, dzięki. Ale jak dasz mi łyżeczkę, to zjem swój serek. – Agata wyjęła z torby jeden z pojemniczków.

Kaśka szybko podała jej łyżeczkę.

– Widzę, że nie tylko ja jestem taka zapominalska! Jak zwykle rano

zorientowałam się, że nie mam pieczywa w domu. Całe szczęście, że dziś idę do pracy dopiero na popołudnie, to mogłam wyskoczyć do Mariana.

– Do Mariana?

– No do sklepu! Przecież to sklep „U Mariana”! – Kaśka pokręciła głową.

– No, widzę, że będę musiała cię co nieco wprowadzić w sąsiedztwo, bo mieszkać tu trzy miesiące i nie wiedzieć, jak się nazywa facet, u którego kupuje się serki, to już naprawdę obciach!

Kaśka się zaśmiała, a Agata rozbrojona taką bezpośredniością jej zawtórowała.

– A ty czym się zajmujesz? – spytała.

– Ja? A, niczym specjalnym! W Galerii Mokotów pracuję, w sklepie z jakimiś pierdołami do domu, tak drogimi, że, jak Boga kocham, nie wiem, kto miałby to kupować. Zresztą klienci też nie wiedzą, bo jakoś tłumami do mnie nie walą. Głównie siedzę i patrzę w sufit albo w Facebooka. Ale co tam – wzruszyła ramionami – mnie to pasuje. Przynajmniej się nie męczę. Kiedyś, jak byłam kelnerką, o! To wtedy to mi nogi w tyłek włożyły pod koniec dnia! Tak że tutaj naprawdę nie narzekam.

Gdy Agata słuchała tego potoku słów, uśmiech nie schodził jej z twarzy. Jak to dobrze, że ta dziewczyna ją tu zaprosiła! Dopiero teraz poczuła, jak bardzo przez te kilka miesięcy zwolnienia brakowało jej kontaktu z nowymi ludźmi. Ostatnimi czasy rozmawiała w zasadzie tylko z Kermitem, jego rodzicami i Aśką. Żadna z jej koleżanek nie była aktualnie w ciąży ani na urlopie macierzyńskim, więc nie miała z kim się spotykać w ciągu dnia. Nie nudziła się, bo generalnie nie należała do osób, które mają problem z nudą, ale odmiana w postaci towarzystwa nowo poznanej osoby dobrze jej robiła.

Kaśka zerknęła na zegarek.

– No, zaraz powinna być – mruknęła pod nosem.

– Kto?

– Bożena! Koniecznie musisz poznać Bożenę!

4

Kwiecień 1987 roku

Przenikliwy dźwięk dzwonka wypełnił szkolne korytarze. Wojtek spakował plecak i razem z resztą klasy opuścił salę. Wcale nie miał ochoty wracać do domu. To w szkole czuł się dobrze. Tu panowały jasne zasady, świat był prosty. Nawet niezapowiedziane kartkówki zwykle dawało się przewidzieć. Co innego w domu. Tam nigdy nie było wiadomo, na co się trafi.

Niby nie działo się nic strasznego. On i brat mieli przecież oboje rodziców, alkohol pojawiał się okazjonalnie, nikt nie podnosił na nich ręki. Ale te awantury... awantury były czasem nie do wytrzymania. Rodzice wcięż się kłócili. O pieniądze; o to, kto się zajmie dziećmi; kto miał wynieść śmieci; kto na kogo krzywo się spojrzał. Gdyby chociaż mieszkali w bloku, to może matka i ojciec trochę by się hamowali w obawie, że sąsiedzi usłyszą. Ale niestety mieszkali w wolnostojącym domu, więc mogli drzeć się na całe gardła, póki starczyło im sił, wyzywać się od najgorszych, pluć na siebie jadem jak najgorsi wrogowie. A on i brat musieli tego słuchać, jakoś funkcjonować w tej przepelnionej nienawiścią atmosferze. Ale cóż, może dziś ojciec wróci później, to będzie trochę spokoju. Może zdąży z Bolkiem odrobić lekcje przed kolejną odsłoną żalostnego przedstawienia z cyklu „Życie rodzinne Skowronów”.

Uczniowie wokół niego pchali się, chcąc jak najszybciej znaleźć się na zewnątrz. Spragnieni słońca, świeżego powietrza i ruchu parli przed siebie bez opamiętania. Wojtek dał się ponieść tej fali.

– Będiesz dziś na boisku? – spytał idący obok kolega. Wyjął z kieszeni gumę, włożył do ust i zaczął ją zamazywać przeżuwać.

– Nie, Szczepan, chyba nie dam rady – odparł Wojtek, z zaciekawieniem obserwując, czy szczęka znajomego nie wyleci zaraz z zawiasów.

– Kurde, Wojtek, dlaczego? – Szczepan nie krył oburzenia. – Przecież na jutro nie ma nic zadane.

– Tak, wiem, ale matka prosiła, żebym pojechał z nią dziś do ciotki. Coś tam musi zawieźć i trzeba jej pomóc tachać jakieś graty.

Kłamstwo. Wojtek nie miał nawet żadnej ciotki. Ale nie chciał mówić, że młodszy brat ma problemy z czytaniem i jeśli on z nim nad tym nie posiedzi, to nikt inny tego nie zrobi. Rodzice byli zbyt zajęci swoją małą wojną. Pokłócić się o to, że żadne nie pomaga Bolkowi w lekcjach, zawsze byli gotowi, ale rzeczywiście z nim posiedzieć jakoś nikt nie miał chęci. A chłopak miał w szkole coraz większe problemy.

– Tak, ty to zawsze coś masz – burknął Szczepan. Trudno powiedzieć, czy łyknął tę ściemę, ale na pewno nie był zadowolony w tego, że w grze znów zabraknie jednego z lepszych zawodników.

– W sobotę mogę być – zaproponował Wojtek.

– Dobra, zobaczymy – odparł kolega z powątpiewaniem i odwrócił się do osób idących z drugiej strony. Jego złość i niechęć do ciągnięcia tej rozmowy były widoczne jak na dłoni.

Wojtek spuścił wzrok. Było mu przykro, ale jaki miał wybór? Nie mógł zostawić młodego samego z tym problemem. Dzieciak nie był winien, że trafili im się tacy starzy.

– Wojtek! Wojtek! – usłyszał wołanie, gdy tylko znalazł się przed szkołą.

Westchnął w duchu. To wychowawczyni Bolka. Młoda, dość ładna kobieta o zebranych w ciasny kucyk ciemnych włosach. Kiedyś uczyła go przez rok, stąd się znali. Stała przed szkołą, z torbą na ramieniu, gotowa pójść do domu. Ciekawe, czy specjalnie na niego czekała? Czego może tym razem chcieć?

Przepchnął się w jej stronę.

– Dzień dobry, proszę pani.

– Wojtek, jak się miewasz? – spytała.

Wzruszył ramionami. Na pewno nie zawołała go tylko po to, by sprawdzić, jak tam jego samopoczucie, a on nie chciał tracić czasu na czcze gadki.

– Dobrze, dziękuję – powiedział, błędząc wzrokiem po popękanych płytkach chodnikowych.

– Wojtek, wiesz, że w przyszłym tygodniu jest zebranie?

No tak! Zebranie! Zupełnie wyleciało mu to z głowy. Będzie musiał dziś

przypomnieć matce.

– Tak, pamiętam.

– A ktoś z rodziców będzie? Wojtek, bo ja bym bardzo chciała, żeby któreś z waszych rodziców przyszło na to zebranie do mnie. Z tobą to... ja to załatwię z twoją wychowawczynią. Ona nie będzie miała pretensji, jak na zebraniu nikt z rodziców się nie pojawi. Ale do mnie to ja bym bardzo prosiła, żeby ktoś przyszedł. Przekażesz mamie?

– Tak, przekażę. – Podniósł wzrok i w oczach nauczycielki dostrzegł szczere zatroskanie. – A... a coś się stało? – odważył się zapytać.

– Nie, nie, nic takiego. Nic, czym ty powinieneś się przejmować. No to leć już! Do widzenia!

Patrzył na nią chwilę w milczeniu, w nadziei, że jeszcze coś doda, ale nauczycielka już zauważyła na chodniku mężczyznę, na którego czekała, i pomachała do niego radośnie. Całe widoczne przed chwilą zatroskanie zniknęło, jakby ktoś wymazał je gumką.

– Do widzenia – odparł Wojtek i ruszył w stronę domu.

Bolek nie chciał, by brat go odbierał. Umówili się, że każdy wraca do domu na własną rękę, z własnymi kolegami albo – najczęściej – samotnie. Droga była prosta i bezpieczna, więc Wojtek nie miał nic przeciwko temu.

Koledzy Wojtka pobiegli na boisko grać w piłkę, więc dziś wracał sam. Kątem oka dostrzegł Paulę ze swojej klasy. Szła razem z koleżankami kilka metrów przed nim. W pewnym momencie odwróciła się i uśmiechnęła do niego. Odpowiedział uśmiechem, ale szybko spojrzał w inną stronę. Oby tylko go do siebie nie zawołały. Nie miał teraz ochoty na towarzystwo rozszczebiotanych dziewczyn. Chciał pobyć chwilę sam ze swymi myślami, zastanowić się, co jeszcze może zrobić, żeby Bolek lepiej radził sobie w szkole. Bo na rodziców nie ma co liczyć. Matka pójdzie na zebranie, wróci i naskoczy na ojca, że to jego wina, że Bolek źle się uczy. On się wścieknie i wydrze, że co z niej za matka, skoro własnego dziecka nie umie nauczyć czytać. O, i taki będzie cały efekt tego zebrania.

Mijali właśnie sklep spożywczy, gdy usłyszał jakieś wrzaski, dźwięki jakiejś kotłowaniny. Nie wiedział, co go podkuśiło, by sprawdzić, co się tam dzieje. Może chęć uniknięcia spotkania z dziewczynami z klasy? A może to był podszept intuicji? W każdym razie skręcił za sklep.

W plątaniu rąk, nóg i głów bezbłędnie rozpoznał brata. Trzech innych chłopaków leżało na nim i okładało go pięściami. Wojtek w dwóch skokach znalazł się obok nich i bez większego trudu oderwał ich od Bolka.

– Zostawcie go! – krzyknął. – Zostawcie go natychmiast!

Chłopcy mieli zacięte miny i ciężko dyszeli, wciąż gotowi do walki, ale żaden z nich nie odważył się sprzeciwić słowom Wojtka, który przewyższał każdego z nich więcej niż o głowę.

– Ale on... – zaczął jeden z nich, wskazując na wciąż leżącego na ziemi Bolka.

– Co on?! Co on?! – ponaglił go Wojtek.

– Bo on sam zaczął!

– To znaczy co zrobił?!

– Powiedział, że jestem kutas, a moi koledzy to cioty!

– A mnie chciał ukraść latarkę, którą dostałem od taty – włączył się drugi z chłopców, na dowód wyciągając z kieszeni niewielką latareczkę. – A jak go przyłapałem, jak chował do kieszeni, to powiedział, żebym spierdalał i że będzie sobie brał, co będzie chciał.

– A ty? – spytał Wojtek trzeciego. – Ty co do niego miałeś?

– Ja? – Chłopiec otworzył szeroko oczy.

– Nie, kurczę, moja matka! No ciebie chyba pytam, nie?

– Ja... Mnie on wkurza po prostu. No i ja trzymam się z Arkiem. – Wskazał na pierwszego z chłopców. – No i z tego co on mówi, to wynika, że ja ciota jestem, tak?

Wojtek popatrzył na nich chwilę w milczeniu.

– Już! Poszli mi stąd! – pogonił ich w końcu, a oni, rzucając Bolkowi pełne nienawiści spojrzenia, zabrali z ziemi plecaki i odeszli, strzepując z ubrań ziemię i zdźbła trawy.

– A ty?! Co tak leżysz?! Wstawaj! – zwrócił się do Bolka, który posłusznie zaczął się podnosić. – Prawdę mówili?

Cisza.

– No gadaj! Prawdę mówili czy nie?!

Bolek podniósł na niego pełen wściekłości wzrok. Wojtek dopiero teraz zauważył zadrapanie na jego policzku i wąską strużkę krwi sączącą się z kącika ust. Jak na taką bójkę to i tak niewielkie obrażenia. Gdyby

przypadkiem tu nie zaszedł, pewnie skończyłoby się dużo gorzej.

– A co ci do tego?! – warknął Bolek.

Wojtek doskoczył do niego, chwycił za ramiona i mocno nim potrząsnął.

– Co z tobą jest nie tak, człowieku?! Co z tobą jest nie tak?! Mało jeszcze masz problemów?! Musisz sobie jeszcze sam tworzyć kolejne?! Po co ich wyzywasz? Czemu kradniesz? Bolek, na litość boską, przecież tak nie można!

Chłopak się szarpnął, ale nie zdołał uwolnić się z silnego chwytu starszego brata.

– Zostaw mnie! – wrzasnął i podskoczył. Ze skotłowanej ziemi uniosła się chmura pyłu.

– Jak się nie zmienisz, to w końcu dostaniesz za swoje, nie rozumiesz tego? – Puścił chłopaka i przyklęknął, by móc spojrzeć mu w oczy. – W życiu nic nie uchodzi płazem. Ale może ty musisz naprawdę dostać po dupie, żeby to w końcu zrozumieć.

Bolek zacisnął pięści, a z jego oczu trysnęły łzy.

– Tak? – wrzasnął. – To po co się wtrącałeś?

– Bo jesteś moim bratem, idioto!

– Ja nie prosiłem cię o pomoc! Nie prosiłem – dodał Bolek ciszej. Brudną ręką otarł spływające łzy, zostawiając na twarzy brązowo-czarne smugi.

5

Monika leżała na łóżku i przeglądała Facebooka w telefonie. Śmiała się w duchu z frajerów, którzy już za kilka godzin będą pisali sprawdzian z fizyki. Ona frajerką nie była. Nie miała zamiaru uczyć się w ciemno. Niebawem koleżanki podeślą jej zdjęcia kartek z obu grup. Obczai je na spokojnie i jak pojutrze pójdzie do szkoły, napisze śpiewająco. Mała szansa, żeby nauczycielce chciało się wymyślać nowe zadania specjalnie dla niej. W końcu nauczyciel też człowiek i nic co ludzkie nie jest mu obce, szczególnie lenistwo. Monika zachichotała pod nosem, zadowolona, że udało jej się wszystkich przechytrzyć.

Musiała dzisiaj rano naściemniać ojcu, że źle się czuje, ale z tym nigdy nie było problemu. Ojciec łykał wszystkie ściemy, którymi go częstowała. Tak było i tym razem. Już wczoraj zrobiła grunt pod tę historyjkę: ponarzekła trochę, że boli ją głowa. Dziś rano wzięła gorący prysznic, żeby się odpowiednio rozgrzać, teatralnie zakaszła, pokazała termometr z temperaturą podbitą do 37,5 i słabym głosem spytała, czy byłaby możliwość, żeby została w domu, bo tak bardzo, bardzo słabo się czuje. Ojciec oczywiście się zgodził. Sam zszedł na dół do sklepu, a ona miała święty spokój. I tak przez cały długi dzień. I jeszcze jutro, bo dobra ściema musi trwać. W jednodniową chorobę akurat w dniu klasówki fizyczka mogłaby nie uwierzyć.

Nagle usłyszała kroki na schodach. Szybko nakryła się kołdrą, potarła policzki dłońmi, by je odpowiednio zaczerwienić, wcisnęła telefon pod poduszkę i przybrała omdlewający wyraz twarzy.

Ciche pukanie.

– Tak? – jęknęła.

Och, jak realistycznie to zabrzmiało! Naprawdę, powinna poważnie rozważyć karierę aktorską.

– To ja, ptaszyno. Chciałem sprawdzić, jak się czujesz – powiedział ojciec, stając w drzwiach.

Jezu, czego on chce? Przecież dopiero zlął na dół do tego swojego sklepu. Chwili spokoju nie może człowiek mieć w tym domu...

– Och, głowa mnie boli strasznie – skrzywiła się i przyłożyła dłoń do czoła.

– Biedactwo... Może herbaty ci zrobię?

– Nie, dziękuję, tatusiu. Nie ma potrzeby.

– Ale jakby co, to wołaj.

– Dobrze, tatusiu.

– Wiesz, bo ja chciałem ci coś powiedzieć. – Ojciec podszedł i usiadł na krawędzi łóżka. Chwycił jej dłoń. Na szczęście nie zdziwiło go, że nie jest zbyt ciepła. – Pamiętasz pana Bolka Skowrona?

– Tatę Sebastiana? No jasne, że pamiętam.

– Widzisz, złotko, chciałem, żebyś ode mnie najpierw usłyszała, bo sprawa jest taka, że on... on nie żyje.

– Co?! – Monika poderwała się, na moment wychodząc z godnej Oscara roli obłożnie chorej.

– Spokojnie, kochanie. Połóż się. – Ojciec delikatnie chwycił ją za ramię i położył z powrotem na poduszkę. – Musisz odpoczywać. Ale wieści szybko się roznoszą i nie chciałem, żebyś dowiedziała się z jakichś plotek. Plotki to najgorsze, co w takiej sytuacji może się zdarzyć.

– Ale co mu się stało?

– Zamarł, kochanie. Po prostu zamarł.

Sklepikarz wszystko po kolei opowiedział córce, po czym, upewniwszy się raz jeszcze, że nie chce herbaty ani nic do jedzenia, wrócił na dół do sklepu.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, Monika znów się poderwała. Ojciec Sebastiana nie żyje! To ci dopiero news! Co z nim zrobić? Jak najlepiej to rozegrać? Taka informacja to potęga, trzeba ją tylko umiejętnie wykorzystać.

6

Bożena! Jesteś nareszcie! – wykrzyknęła Kaśka na widok pięknej kobiety, która zjawiła się w korytarzu. W jej przypadku określenie „piękna” na pewno nie było przesadą. Wysoka, smukła, o jasnych lśniących włosach, regularnych rysach i nieskazitelnej cerze, ubrana w elegancki czarny płaszcz – wyglądała naprawdę zjawiskowo, jak wyjęta żywcem z katalogu modelek.

– Cześć. – Uśmiechnęła się nowo przybyła, pokazując dwa rzędy idealnych zębów. – O! Widzę, że masz gościa!

– Tak! Poznajcie się. To jest Agata, mieszka tu od niedawna. A to Bożena, od dawna tu nie mieszka.

– Och, nie przesadzaj! – prychnęła Bożena, ściskając dłoń Agaty. – Tak dużo czasu jeszcze nie minęło! Ale Kaśka trochę racji ma – zwróciła się do Agaty. – Kiedyś mieszkałam na sąsiedniej ulicy, ale potem wyjechałam najpierw do Krakowa na studia, a stamtąd do Londynu do pracy. I tak już zostałam. Siedzę tam już ponad dziesięć lat. Ale moi rodzice nadal tu mieszkają i mniej więcej raz w roku staram się ich odwiedzić.

Agata pomyślała, że raz w roku to niezbyt często. Loty do Londynu nie są takie drogie, zwłaszcza dla kogoś, kto zarabia w funtach i kogo stać na takie ciuchy. Szybko jednak zduśiła tę myśl. Powodów do tak rzadkich przyjazdów może być wiele i bez głębszej wiedzy głupotą byłoby kogokolwiek osądzać.

– Słowo klucz: „staram się” – zauważyła Kaśka z kąśliwym uśmiechem. – Kiedy ostatnio przyjechałaś? No kiedy? Chyba ze dwa lata cię tu nie było!

– Trzy – odparła Bożena, spuszczać wzrok. – Ale chyba nie ściągnęłaś mnie tu, żeby robić mi wyrzuty, że za rzadko przyjeżdżam, prawda? No, mów, o co chodzi!

Kaśka momentalnie spoważniała.

– Bolo – powiedziała posepnym tonem.

– Co „Bolo”?

– Bolo się zapił. Zamarzł dzisiaj w nocy.

– Co ty mówisz? – Perfekcyjnie umalowane oczy Bożeny nagle stały się niemal całkowicie okrągłe. – Biedna Halinka! Myślisz... Myślisz, że powinniśmy do niej pójść?

– Nie wiem. – Kaśka wzruszyła ramionami. – Dlatego po ciebie zadzwoniłam. A ty, Agata, co o tym sądzisz?

Pytanie było tak absurdalne, że Agata w pierwszej chwili nie załapała, że było skierowane do niej.

– Ja? A co ja mogę o tym sądzić? Przecież ja w ogóle nie wiem, jakie stosunki was łączą! Jeśli się z nią przyjaźnicie, to zdecydowanie powinniście iść, a jeśli nie, to sama nie wiem, może nie tak od razu...

– No właśnie to wcale nie jest takie proste! Bo kiedyś to my się bardzo przyjaźniłyśmy! Ja, Halinka i Bożena. W szkole śmiali się z nas, że jesteśmy nierozłączne, jak trzej muszkietierowie. A potem, no cóż, życie tak się potoczyło, że teraz to w zasadzie tylko my we dwie utrzymujemy jako taki kontakt, prawda?

– Prawda! – potwierdziła Bożena. – Halinka bardzo wczesnie zaszła w ciążę z Bolem. Sebka urodziła tuż po osiemnastce. Ja zaraz potem wyjechałam do Krakowa.

– Ja zostałam, ale robiłam szkołę policealną – wtrąciła Kaśka. – Halina siedziała z dzieckiem w domu i chyba nie bardzo chciała się już z nami spotykać. Nie wiem jak ty, Bożena, ale ja miałam wrażenie, że odkąd go urodziła, to jakoś zaczęłyśmy ją wkurzać. Jakby denerwowało ją to, że my nie musimy siedzieć w pieluchach i możemy wyskoczyć sobie na piwko wieczorem. To raczej ona nas odtrąciła, a nie my ją.

– Tak było. – Bożena pokiwała głową. – Wyglądało na to, że nie była zbyt szczęśliwa z Bolem, choć na początku wcale tak dużo nie pił. A może to nie była kwestia samego Bola, tylko sytuacji, w jakiej się znaleźli? Chyba oboje nie byli na to gotowi.

– No wiesz, trudno znaleźć siedemnastolatków, którzy na wieść o tym, że zostaną rodzicami, skaczą z radości pod sufit – zauważyła Kaśka. – Ale moim zdaniem przynajmniej Halinka wyszła z tej sytuacji w miarę obronną ręką. Na pewno nie można powiedzieć, że zmarnowała ten czas. Spójrz na nią, ma teraz w zasadzie dorosłego syna i przesłódką córeczkę. A my co? W

tej kwestii nadal nic!

W głosie Kaśki zabrzmiała gorzka nuta. Bożena też spuściła wzrok. Nagle Agata poczuła bolesne ukłucie w boku.

– Uh! – jęknęła i się skrzywiła.

– Coś się stało? – zaniepokoiły się obie kobiety.

– Nie, nie! – Agata uspokajająco pomachała ręką. – Wszystko w porządku. To tylko córka postanowiła kopnąć mnie w pęcherz.

Ciąża coraz bardziej dawała jej się we znaki. Do tej pory wszystko przebiegało idealnie. Ominęły ją poranne mdłości. Brak apetytu, na który narzekała na początku ciąży, szybko minął. Nie bolały jej plecy, nogi nie puchły. Jedyne, co jej dokuczało, to paląca nocami zgaga. Ale teraz, w ostatnim miesiącu ciąży, było jej już naprawdę ciężko. Dziecko zasuwało kopniaki w miejsca, o których nigdy wcześniej nie myślała, brzuch ciążył okropnie i w ogóle całe ciało było nie takie, jak by sobie tego życzyła. Miała tego wszystkiego coraz bardziej dość. Ale jakiś czas temu doszła do wniosku, że tak właśnie musi być. Gdyby ciąża rzeczywiście była taka cudowna, jak to niektórzy twierdzą, kobiety z przerażeniem myślałyby o porodzie. Ale gdy na finiszu dostają w kość tak, że marzą już tylko o tym, by ciąża się skończyła, poród jawi się jako wybawienie. Więc jakiś sens w tym był. Teraz dziecko leżało jej na jakimś narzędziu, którego nie umiała nazwać, ale czuła, że boli. Wstała w nadziei, że może córka trochę się przesunie.

Przemierzyła kuchnię najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Gdy doszła do lodówki, jej wzrok padł na przyklejone magnesami zdjęcie.

– O! To wy!

– Tak. To zdjęcie zrobił mój tata, jak miałyśmy jakieś czternaście, może piętnaście lat. – Kaśka podeszła do niej i wskazując palcem na poszczególne osoby, wyjaśniła. – To ja. Ale wyglądałam, co? Typowa szara myszka...

Rzeczywiście, patrząc na tę fotografię, trudno byłoby się domyślić, że z Kaśki wyrośnie taka przebojowa kobieta. Równo przycięte włosy w mysim kolorze sięgały ucha. Ta fryzura zdecydowanie nie działała na jej korzyść. Do tego zbyt mocno opalony nos na tle dość bladej poza tym twarzy. Innych cech charakterystycznych – brak.

– To Bożena. Ona zawsze była piękna – kontynuowała Kaśka i znów

miała rację. Bożena już jako nastolatka, bez makijażu i pięknie ułożonych włosów, przyciągała uwagę urodą. Naturalna blondynka, z kształtnym noskiem i inteligentnym spojrzeniem niebieskich oczu na pewno wyróżniała się na tle rówieśniczek.

– Ej, nie przesadzaj – zaprotestowała Bożena, ale nie zabrzmiało to szczerze. Kaśka nawet nie zwróciła na to uwagi.

– A to jest Halinka – rzekła, wskazując na trzecią dziewczynę, z burzą falowanych błyszczących włosów i szerokim radosnym uśmiechem. Nie była tak piękna jak Bożena, ale na pewno można było ją określić jako ładną, a przy tym wyglądała na szalenie sympatyczną. Sprawiała wrażenie osoby, której w głowie wciąż rodzą się jakieś zwariowane pomysły, a ona jest gotowa do ich natychmiastowej realizacji. – Tak właśnie wyglądałyśmy.

Agata patrząc na to zdjęcie, nie mogła powstrzymać uśmiechu. Na pierwszy rzut oka widać było, że te trzy dziewczyny świetnie się ze sobą czuły: swobodne i szczęśliwe były kwintesencją tego, czym powinna być młodość. Takie relacje nie powinny się wypalać, a jeśli nawet na chwilę osłabną, zawsze u ich podstaw pozostaje ten żar, w który wystarczy lekko dmuchnąć, by przyjaźń znów zapłonęła żywym ogniem. Dlatego Agata powiedziała:

– Słuchajcie, nie znam was i nie znam Haliny, ale jak patrzę na to zdjęcie, to nie mam najmniejszych wątpliwości, że kiedyś bardzo się przyjaźniłyście, a to zobowiązuje. Myślę, że powinnyście do niej iść. Jeśli nie będzie chciała waszego towarzystwa, szybko się zorientujecie, grzecznie się pożegnacie i po prostu wyjdziecie.

Bożena i Kaśka przez chwilę w milczeniu się w nią wpatrywały. Niemal słyhać było trybiki pracujące w ich głowach.

– Chyba masz rację – powiedziała w końcu Kaśka. – Powinniśmy iść. Nie ma na co czekać – dodała, wstając. – Bożena, wkładaj płaszcz. Agata, idziesz z nami?

Agata zdawała sobie sprawę, że to pytanie było czysto kurtuazyjne, bo Kaśce głupio było tak po prostu ją wyprosić, więc musiała spytać, czy nie zechce do nich dołączyć. Wiedziała też, że powinna odmówić. Odwiedzanie kobiety, która dopiero co straciła męża, na pewno nie było w najlepszym tonie. W ogóle pomysł, by wtrzytnąć nos w kolejną sprawę kryminalną, nie

był najszcześliwszy. Z piętnastoma kilogramami naddatku i wiercącym się dzieckiem w brzuchu nie czuła się najlepiej. Powinna leżeć i czekać na pierwsze skurcze. Ale problem polegał na tym, że ona miała już dość tego leżenia. Fakty były też takie, że dotychczas udało jej się rozwiązać dwie sprawy kryminalne. A przecież być może brat tego Bola, który awanturował się z policją, miał rację? Może nie mówił tak zupełnie od rzeczy? Śmierć pijaczka zasługuje na taką samą dozę uwagi jak śmierć każdej innej osoby. Czy gdyby w tej zaspie zamarzła elegancko ubrana kobieta, wszyscy z równą łatwością założyliby, że po prostu upiła się i wpadła w śnieg? Policja z pewnością zbada krew tego Bola i niemal na pewno stwierdzi obecność sporego stężenia alkoholu. Ale czy to wykluczało możliwość, że ktoś się do tej śmierci mógł przyczynić? Agata nie miała na ten dzień żadnych planów ciekawszych niż leżenie na kanapie. Pomyślała więc, że może warto sprawdzić, czy był ktoś, komu na tej śmierci mogło zależeć. Dlatego wbrew zdrowemu rozsądkowi i wbrew wszelkim zasadom dobrego wychowania odparła:

– Jasne! Chętnie z wami pójde!

I nie zważając na lekko skonsternowane miny obu nowo poznanych koleżanek, zaczęła zapinać kurtkę.

7

Halina Skowron wyszła spod prysznic i stanęła przed lustrem. Chwyliła wiszący obok umywalki ręcznik i starła ze szkła parę. Nachyliła się i uważnie się sobie przyjrzała.

Wdowa. A więc tak właśnie wygląda wdowa. Bolek nie żył, a ona została wdową. Im dłużej wpatrywała się w swoje odbicie, tym bardziej zaczynała w to wierzyć. Rzeczywiście, tak może wyglądać wdowa. Jej twarz była blada i pomarszczona, z głębokimi bruzdami wyżłobionymi przez smutek. Źle pofarbowane, cienkie, matowe włosy niczym macki wychudzonej ośmiornicy smętnie zwisały do ramion. Z dawnej burzy loków w zasadzie nic już nie zostało. Trudy życia, kiepskie odżywianie i brak pieniędzy na kosmetyki sprawiły, że wyglądała przynajmniej o dziesięć lat starzej niż jej rówieśniczki. Gdy liczy się każdy grosz, a ty stajesz przed wyborem, czy odłożyć na dobry krem czy kupić kaszkę dla dziecka, to decyzja jest oczywista. Kupujesz tę kaszkę i, co więcej, nigdy nie żałujesz, że dokonałaś takiego wyboru. Halina też nie żałowała. A jednak gdy spotykała koleżanki ze szkoły, zwykle miała ochotę zapaść się pod ziemię. Wiedziała, co myślą, gdy na nią patrzą – że się zaniedbała, zmarnowała, że im jej szkoda. Widziała to w ich oczach aż nazbyt wyraźnie.

Nie chciała współczucia. Całe życie musiała radzić sobie sama. Rodzice nie pomagali przy dzieciach, mąż był raczej ciężarem niż wsparciem. Życie zahartowało ją jak mało kogo. I była pewna, że teraz też sobie poradzi. Ba! Zapewne będzie jej nawet lepiej. Nie zamierzała nikomu tego mówić, ale tak właśnie myślała. Liczyła na to, że po śmierci Bolka będzie jej po prostu lżej. Nie będzie musiała już łożyć na jego nałóg. Dzieci będą spokojniejsze.

Sebastian nie będzie tęsknił za ojcem. Wiedziała, że syn na pewno go nie szanuje, pewnie też nie kocha. Jest jeszcze Anetka. Ją ta śmierć dotknie chyba najmocniej, ale – jak to dziecko – trochę popłacze, a z czasem zapomni. I będzie się dalej chowała bez ojca pijaka. Koniec końców, zmiana na lepsze.

Halina spojrzała na zegarek. Dziesiąta. Dzieci były w szkole. Sebastian sam jakiś czas temu zaoferował, że będzie odprowadzał Anetkę, żeby matka mogła trochę dłużej pospać. Kochany chłopak. Zamknięty w sobie, ale kochany. Niedługo będzie musiała po nich pojechać. Najpierw odbierze Sebka, potem razem pojedą po Anetkę. Będzie musiała im powiedzieć, co się stało. I dobrze ukrywać swoje uczucia. Ani jej dzieci, ani nikt inny nie powinien się dowiedzieć, że dla niej wieść o śmierci Bolka nie jest wcale taka zła. Trzeba będzie trzymać fason, okazać żal po śmierci męża. Tak właśnie należało zrobić. I Halina na pewno świetnie sobie z tym poradzi. Skoro przez większość życia udawała przed ludźmi, że wszystko jest w porządku, choć wcale w porządku nie było, to z oszustwem w drugą stronę też na pewno jej się uda.

Gdy tylko policjanci wyszli, poczuła, że natychmiast musi wejść pod prysznic. Potrzeba obłania ciała gorącą wodą i wyszorowania go szorstką gąbką była zaskakująca i dojmująca. Teraz, gdy miała to już za sobą, rzeczywiście czuła się lepiej. Jak nowo narodzona. Jakby zdarła z siebie skorupę, którą obrastała przez ostatnie kilkanaście lat. Skorupę smutku, beznadziei, żalu nad własnym życiem.

Otworzyła szufladę i zaczęła przetrząsać jej skromną zawartość. Nie mogła znaleźć żadnego balsamu do ciała. Nie zaskoczyło jej to, bo nie pamiętała, kiedy ostatnio jakiś kupiła. W końcu trafiła na stary słoiczek kremu dla dzieci, którym kiedyś smarowała Anetkę. Krem był już dawno przeterminowany, a przy zakrętce widniały nieestetyczne zaschnięte resztki. Ale Halina nie zwracała na to uwagi. Odkręciła nakrętkę, zanurzyła palce w białej mazi i po raz pierwszy od przynajmniej dziesięciu lat zaczęła wcierać krem w swoje zniszczone ciało. Kolistymi ruchami, nie pomijając ani centymetra skóry.

Czuła, że jej życie naprawdę zaczyna się od nowa.

Gdy kończyła, ktoś zadzwonił do drzwi.

8

Agata, stojąc przed drzwiami Haliny Skowron, miała ochotę obrócić się na pięcie i natychmiast wrócić do domu. Z każdą sekundą oczekiwania na otwarcie drzwi poczucie, że wcale nie powinno jej tu być, się pogłębiało. A czekały na tyle długo, że nie tylko ona poczuła się nieswojo.

– Ty, może jej nie ma? – powiedziała w pewnym momencie Kaśka, zerkając na Bożenę, lecz koleżanka zdążyła tylko otworzyć usta, gdy usłyszały szcęk otwieranego zamka.

Po chwili w szparze w drzwiach ukazała się chuda, wręcz wysuszona kobieta. Z szeroko otwartych szarych oczu otoczonych cienkimi, jasnymi rzęsami emanowało zaskoczenie. Sieć drobnych zmarszczek na bladej cerze sprawiała, że kobieta wyglądała znacznie starzej niż jej koleżanki. Mokre włosy wiły się w cienkich strąkach, znacząc podkoszulek mokrymi plamami. Wyglądało na to, że wyrwały ją spod prysznica.

– Och, Halinko! – wykrzyknęła Kaśka i rzuciła się jej w ramiona.

Halinka odpowiedziała uściskiem, ale zamiast wtulić twarz w ramię dawnej przyjaciółki i wybuchnąć płaczem – co byłoby w tej sytuacji bardzo naturalne – wbiła czujny wzrok prosto w Agatę.

Bożena zrobiła krok w stronę zwartych w uścisku koleżanek i delikatnie wepchnęła je do środka.

– Nie stój w drzwiach, Halinko. Przecież masz mokre włosy, przeziębisz się.

– Ach tak. Moje włosy – powiedziała zachrypniętym głosem Halina, gładząc ręką po smętnych kosmykach, jakby potrzebowała potwierdzenia, że rzeczywiście są mokre.

– Racja! – wykrzyknęła Kaśka. – Wchodzimy do środka! No już! Raz, raz!

Kilka sprawnych ruchów Kaśki i już znalazły się w ciemnym przedpokoju. Mimo półmroku Agata od razu zauważyła, że w tym domu się nie przelewało. Stara, powycierana wykładzina, łuszczące się olejne

lamperie i żyrandol pamiętający głęboki PRL mówiły same za siebie. I ten specyficzny zapach, duszny i wilgotny, który zawsze kojarzył jej się z biedą.

– Bożenko... – Halina przez chwilę w milczeniu wpatrywała się w koleżankę z dawnych lat. – Nie wiedziałam, że przyjechałaś.

– Jestem dopiero od kilku dni, więc jeszcze nie zdążyłam do ciebie zadzwonić.

Mówiąc to, Bożena spuściła wzrok. Nie trzeba było być mistrzem dedukcji, by spostrzec, że gdyby nie tragedia, pewnie wcale by się nie odezwała. To nie była jednak pora na robienie sobie wyrzutów i delikatne kłamstwo przeszło bez echa.

– A pani? – Halina spojrzała na Agatę. – Chyba nie z policji? – Jej wzrok powędrował na ogromny brzuch.

– Nie, skąd! – zaprzeczyła Agata, lecz Kaśka od razu wpadła jej w słowo.

– To Agata, nasza nowa sąsiadka. Właśnie wpadła do mnie na kawę, gdy przyszła Bożena i postanowiłyśmy przyjść do ciebie, sprawdzić, jak się trzymasz, złożyć ci kondolencje, i... och! Halinko! – Kaśka znów rzuciła się na nią z szeroko rozpostartymi ramionami. – Musi ci być strasznie ciężko!

– Tak – przyznała kobieta i tym razem wtuliła twarz w rękaw przyjaciółki. Gdy po kilku minutach się oderwała, mamrocząc: „Chodźcie, wejdźcie, usiądźmy sobie może na chwilę...”, po jej twarzy spływało kilka łez.

Poprowadziła je do skromnej kuchni, ze stołem nakrytym wyślizganą do białości ceratą. Stała na środku i bezradnie rozejrzała się wokół.

– Może herbaty wam zrobię? – spytała po chwili.

– Siadaj. – Kaśka chwyciła ją za chude ramiona i posadziła na krześle. – Herbatę dopiero co piłyśmy.

Agata poczuła, że dziecko znów przemieściło się w okolice pęcherza. Fizjologia była nieubłagana.

– Chciałabym skorzystać z toalety – powiedziała cicho, zawstydzona, że w takiej chwili wyskakuje z tak prozaicznymi sprawami.

– Pierwsze drzwi po prawej – odparła gospodyni, znów wbijając w nią czujny wzrok, niezbyt pasujący do osoby w żałobie. Z doświadczenia Agaty

wynikało, że osoby, które właśnie kogoś straciły, zwykle wyglądały na zagubione, nieobecne, a wzrok Haliny przygważdżał niczym szpila. Czy naprawdę tylko ona to widziała?

Nieco speszona Agata wycofała się na korytarz i bez trudu znalazła właściwe drzwi.

Łazienka, podobnie jak reszta domu, była urządzona bardzo skromnie: na ścianie glazura z powycieranym wzorem, zaparowane lustro z ciemnymi plamami po bokach, powgniatana tu i ówdzie żeliwna wanna z odchodzącą emalią podziały na Agatę przygnębiająco. W dodatku pomieszczenie było tak małe, że przy swoich obecnych gabarytach czuła się tu dosłownie jak słoń.

Wyplątała się z kurtki – tak wielkiej, że w razie potrzeby mogłaby służyć za spadochron. Po chwili zastanowienia położyła ją na podłodze. Plastikowe wieszaczki były wypełnione spranymi ręcznikami z powyciąganymi nitkami, a pralka zastawiona środkami czystości i proszkami do prania, których zapach unosił się w powietrzu. Agata poczuła, że zaczyna ją boleć głowa. Szybko skorzystała z toalety.

Gdy myła ręce, jej wzrok padł na leżącą na umywalce maszynkę do golenia. W stojącym obok, umazanym pastą do zębów plastikowym kubku stały cztery szczoteczki – jedna różowa, ewidentnie dziecięca, trzy dorosłe. Agata przez chwilę nie potrafiła oderwać od nich oczu. Ciekawe, kiedy Halina znajdzie w sobie dość siły, by spakować rzeczy zmarłego męża i coś z nimi zrobić. Tylko co? Wyrzucić? To takie bezdusznie ostateczne. Zostawić? To z kolei bezsensowne. Poczuła głęboką wdzięczność, że sama nigdy nie musiała podejmować takich wyborów. Gdy zmarli jej rodzice, wszystkim zajęli się wujek Antoni i Aśka. Agata, jako dziecko, nie musiała robić nic. Mogła przeżywać swą stratę, nie podejmując tego typu decyzji, a i tak doskonale pamiętała, jak było jej wtedy ciężko. Miała nadzieję, że jeszcze wiele czasu upłynie, zanim znów będzie musiała przeżyć stratę kogoś bliskiego. Kermit. Na samą myśl o tym, że mogłoby coś mu się stać, poczuła, jakby jej serce zamieniło się w ciężką, zbitą grudę błota.

Wzięła kilka głębokich wdechów, chwyciła kurtkę pod pachę i wyszła z łazienki. Drzwi do kuchni były przymknięte. Gdy złapała za klamkę, by je popchnąć, usłyszała dość głośny, przepełniony pretensją szept Bożeny:

– Po co ją tu zapraszałaś?

– „Po co”, „po co” – równie głośnym szeptem przedrzeźniła ją Kaśka. – Przecież nie planowałam, że tu przyjdziemy. Od kilku tygodni próbowałam do niej zagadać i dopiero teraz jakoś się udało.

– Pfff! – parsknęła Bożena. – Naprawdę lepszego pretekstu nie było?

Agata westchnęła. Przecież nawet bez podsłuchania tej rozmowy wiedziała, że jest tu niczym więcej jak tylko piątym kołem u wozu. Chyba decyzja, by tu przyjść, była podjęta nieco zbyt pochopnie. Na szczęście była w ciąży, a jak powszechnie wiadomo, nikt nie ma pod ręką tylu wymówek co ciężarna.

Gdy weszła do kuchni, na stole stały cztery parujące kubki z herbatą. Wszystkie wyszczerbione.

– A gdzie Halina? – spytała, zauważywszy brak gospodyni.

– Poszła na chwilę do pokoju córki – wyjaśniła Kaśka. – Szuka dla niej cieplejszego swetra, bo dziś taki ziąb. Zaraz pojedzie po dzieciaki do szkoły. Chce odebrać je wcześniej i sama powiedzieć im o ojcu, zanim dowiedzą się od kogoś innego.

– Ja ją zawiozę – dodała Bożena. – Wezmę samochód rodziców i pojedziemy.

I to był najlepszy moment, by wymiksować się z tej sytuacji.

– Natomiast ja chyba wrócę do domu. – Agata położyła rękę na brzuchu. – Córcia daje mi się we znaki.

Nikt nie miał zamiaru jej zatrzymywać, nawet po to, by wypić stygnącą na stole herbatę. Nie czekając więc dłużej, włożyła kurtkę.

– To cóż, do zobaczenia. Miło było mi was poznać. Szkoda tylko, że w takich okolicznościach.

– Tak, nie bardzo to wyszło. – Kaśka pokiwała głową. – Ale mam nadzieję, że dasz się kiedyś jeszcze zaprosić.

– No ba! Pewnie, że tak! – Agata się uśmiechnęła. – To do zobaczenia.

Obróciła się i stanęła dokładnie na wprost Haliny. Kobieta podeszła od tyłu tak cicho, że zupełnie jej nie słyszała. W jej wzroku było coś przerażającego. Agata kiedyś słyszała, że każdy człowiek ma trzy twarze: dziecięcą, dorosłą i starczą. W twarzy Haliny dziecięcość dawno już została pogrzebana, natomiast starość już zaczynała zaznaczać swoją obecność.

Związek z dziewczyną ze zdjęcia na lodówce Kaśki był ledwie uchwytny.

– Proszę jeszcze raz przyjąć moje kondolencje – powiedziała Agata, ścisnąwszy jej suchą, zimną dłoń. Aż cisnęło się na usta „Pani mąż był na pewno wspaniałym człowiekiem”. Tak chyba zwykle się mówić w takich okolicznościach, ale po tym, co usłyszała wcześniej do Kaśki, mogła wnioskować, że chyba nie do końca była to prawda. Postanowiła nie płamić żałoby tej kobiety swoją obłudą, więc tylko pogładziła ją po ramieniu i wyszła z tego smutnego, biednego domu.

Dopiero dwie ulice dalej zorientowała się, że gdzieś po drodze zgubiła torbę z zakupami. Nie wiedziała, czy zostawiła ją u Kaśki, czy może u Haliny. Jasne było natomiast, że powrót po nią nie wchodził teraz w grę.

9

Dzień dobry – Agata powitała sprzedawcę już drugi raz tego dnia.

– O! – Mężczyzna zdziwił się na jej widok. – Jeszcze raz pani! A czym mogę tym razem służyć?

– Pięć serków poproszę.

– Ho, ho! – Z piersi sprzedawcy dobył się tubalny śmiech. – Widzę, że apetyt dopisuje! – Wskazał na jej brzuch. – Pani zjada słodkie, to i dziewczynka będzie! Zobacz pani! I to jaka! Przecież ja dopiero co kilka serków pani sprzedałem!

Agata miała ochotę ściągnąć z ramienia torbę, dobrze się zamachnąć i zdzielić nią tego mężczyznę po głowie. Boże, jak strasznie miała już dosyć tego typu uwag! Czemu wszyscy sądzili, że skoro jest w ciąży, to nagle zyskują prawo do komentowania jej jadłospisu, wielkości brzucha, a nawet do macanek. (A jakże! Nieraz się zdarzyło, że zupełnie obce osoby znieścacka wyciągały ręce, by dotknąć jej brzucha!) Była gotowa założyć się naprawdę o wiele, że gdyby nie fakt, że nosi w sobie dziecko, żadna tego typu uwaga by nie padła. I jeszcze te przesady, że skoro je słodkie, to będzie dziewczynka. Jak dorosły człowiek w dwudziestym pierwszym wieku może gadać takie rzeczy? Ale prawda była taka, że chyba nigdy nie nasłuchiwała się tylu przesądów co przez ostatnie miesiące. Okazało się, że Polacy to naród ekspertów nie tylko w zakresie piłki nożnej, ale też rodzenia dzieci, a przesady nigdzie nie mają się tak dobrze jak w tej właśnie dziedzinie. Gdziekolwiek spojrzysz, sami znawcy. Ona nigdy, nigdy przenigdy, nie odważyłaby się wygłaszać tego typu uwag pod adresem zupełnie obcej osoby. Bliskiej pewnie zresztą też nie. Ale cóż, pozostaje nadzieja, że już niebawem wszystko wróci do normy. Zaciśnęła zęby i powiedziała możliwie uprzejmym tonem:

– Te poprzednie zgubiłam.

– A, tak! W ciąży to głowa nie taka jak zwykle! Hurmony! – rzekł sentencjonalnie, dla podkreślenia wagi swych słów machając dodatkowo

serdelkowatym palcem tuż przed jej nosem.

– Co takiego? – Agata zmarszczyła brwi.

– Hurmony krążą we krwi! I na głowę to wpływa, to pani nie wie?

Chęć zamachnięcia się torbą powróciła z nową siłą.

– Poda mi pan te serki? – wycedziła przez zęby.

– A podam, podam, pewnie, że podam! Co bym miał nie podać! Lepiej niech pani weźmie do domu i zje, bo widzę, że jakaś taka nerwowa dzisiaj, czy coś. Ale czemu w sumie się dziwić. U nas dziś wszyscy nerwowi przez to, co się stało z Bolkiem. A u pani jeszcze te hurmony przecież...

Położył na ladzie pięć serków.

– To będzie razem dziesięć złotych.

Agata podała mu banknot.

– Siatkę może tym razem dam?

Agata chętnie by mu odmówiła, ale jej płócienna torba zaginęła gdzieś po drodze razem z poprzednią partią serków, a niesienie zakupów w rękach nie wchodziło w grę. W kieszenie sobie przecież ich nie napcha.

– Poproszę.

– No, i to to ja rozumiem! – Twarz sprzedawcy pojaśniała. – U mnie torby zawsze w cenie zakupów. Żadnych dodatkowych opłat nie naliczam, nie tak jak w tych hipermarketach niektórych porobili. To już się przecież ludziom zupełnie w głowach poprzewracało, żeby za torbę foliową kazać sobie płacić! – Pokręcił głową z dezaprobatą.

Sprzedawca nie wyglądał na otwartego na argumenty za wprowadzeniem opłat za foliówki, więc Agata, nie mając ochoty na jałowe dyskusje, pokiwała tylko głową i powiedziawszy „Do widzenia”, wyszła.

Na ławce przed sklepem siedziało dwóch pijaczków. Postawili między sobą butelkę taniego wina i skrywszy twarze w dłoniach, siedzieli bez słowa. Zapewne w ten sposób przeżywali śmierć kolegi. Agacie zrobiło się ich żal. Po tym, co dziś widziała w domu świeżo upieczonej wdowy, nie była wcale pewna, czy śmierć Bola nie była większym ciosem właśnie dla nich. Trudno byłoby jej to sensownie uzasadnić, ale miała wrażenie, że żona powinna bardziej przeżywać śmierć męża, niż robiła to Halina. Ale nie chciała nikogo oceniać. Może fakt, że mąż nie żyje, nie dotarł jeszcze do niej z pełną siłą i rozpacz wybuchnie nieco później? Mogło być różnie. W

każdym razie ci dwaj tutaj wyglądali na pogrążonych w prawdziwym smutku. Ich zgarbione sylwetki mówiły same za siebie.

– Dzień dobry – zwróciła się do nich kierowana zwykłym odruchem serca. Podnieśli na nią mętne spojrzenia. – Chciałam tylko powiedzieć, że naprawdę przykro mi z powodu tego, co się stało.

– Taaa... – mruknął jeden z nich, w czapce uszatce naciągniętej głęboko na czoło. – Nam też.

To lapidarne stwierdzenie zabrzmiało bardzo szczerze.

– Niech panowie uważają na siebie. Szczególnie zimą, gdy mrozy takie jak teraz, trzeba bardzo uważać.

– Uważać można, Bolek też uważał. Przecież nie był głupi chłop! – rzekł drugi, w płytkiej wełnianej czapce. Tak brudnej, że trudno powiedzieć, jakiego wyjściowo była koloru. – Wszyscy wiedzą, że zima zbiera żniwo, zwłaszcza wśród takich jak my. Nie dalej jak dwa dni temu żeśmy sobie o tym rozmawiali. Więc jak komuś zależało, by się z Bolkiem rozprawić, to akurat niezłą okazję trafił.

Mężczyzna przetarł dłonią usta i spojrzał na nią z lekkim przestrawem, jakby zdał sobie sprawę, że nieco za dużo powiedział. Ale Agata, gdy miała taki punkt zaczepienia, nie zamierzała dać się łatwo zbyć.

– Co takiego? – spytała, podchodząc bliżej. – Co miał pan na myśli?

– Aaa! Nic tam! – Machnął brudną, zaczerwienioną od mrozu ręką i odwrócił wzrok. – Ja tam nic nie widziałem, to gadał nie będę.

Agata spojrzała na drugiego mężczyznę. Czapka uszatka siedziała na jego czole tak głęboko, że niemal zakrywała mu oczy.

– A pan? Pan coś widział?

Mężczyzna zwrócił twarz w jej stronę, ale się nie odezwał.

– No proszę powiedzieć! Przecież to może być ważne!

– Dobra, dobra – odezwał się ochryplym głosem. – Niech się pani tak nie gorączkuje, bo jeszcze dziecku zaszkodzi! Widziałem, nie widziałem, noc była, to sam dobrze nie wiem, jak było! Ale wczoraj Bolek i ten tu kolega byli u mnie wieczorem. I jak się późno zrobiło i spać się zachciało, to się położyliśmy. Ja w pewnym momencie się obudziłem i patrzę, Bola nie ma! Pomyślałem, że może wyszedł na dwór się przewietrzyć i żeby tam gdzie w śnieg nie wpadł. Tak, tak właśnie pomyślałem! No więc wyszedłem zobaczyć,

czy gdzie nie leży pod drzwiami. Ale nie, wszystko dobrze było. Szedł chodnikiem prosto przed siebie. Do domu wracał. Często tak robił, że zamiast zostać do rana u mnie wymykał się do domu. Wie pani, rodzina. No więc ja spokojny wróciłem do siebie, spać dalej.

– No dobrze, ale czemu w takim razie pan sądzi, że ktoś mógł się z Bolkiem rozprawić?

– Bo on tam nie był sam, proszę pani! Widziałem, jak ktoś za nim szedł. To znaczy chyba widziałem, bo ciemno było i ja też... teges... no... zmęczony już byłem.

– Kogo pan widział?

– Nie wiem! Przecie mówię, że ciemno było! Tyle tylko że ktoś szedł za nim! No i niech pani powie, pani na uczoną wygląda, rozum chyba na swoim miejscu ma. No więc skoro ktoś za nim szedł, to chyba widział, że się biedak w śnieg zwałił. Tak czy nie?

– No tak – potwierdziła Agata.

– Właśnie! A to w takim wypadku powinien mu pomóc, prawda? Bo jak się człowiekowi nie pomoże, to chyba jakaś kara za to się należy. Ja się tam nie rozeznaję w tym za bardzo, ale coś takiego mi się o uszy obilo, że pomóc trzeba, jak ktoś umrzeć może. A nawet, tak sobie myślałem, może go ktoś w ten śnieg wepchnął? Bolek był chłopak spokojny, ale wie pani, jak to jest. Czasem człowiek nawet nie wie, że komuś za skórę zalazł. Chciał puścić baka, a się zesrał. A potem chodzi sobie po tym świecie, a ktoś w sercu stryczek na niego kręci. A tacy jak my to nigdy się zbytnią sympatią nie cieszą. Krzywdy przecie nikomu nie robimy, ale spode łba to i tak na nas patrzą.

– I nic więcej nie może pan o tej osobie powiedzieć? To była kobieta? Mężczyzna?

– A myśli pani, że ja tam wiem? Ciemno było, mówiłem już. Poza tym zima jest przecież. Każdy zakutany chodzi, że nawet w dzień czasem ciężko od tyłu rozpoznać, czy to facet, czy babka.

– Panie... – Agacie zabrakło imienia.

– Zbigniewie. Zbigniew jestem.

– Panie Zbigniewie! Przecież pan musi zgłosić to na policję!

– Pffff! – parsknął mężczyzna, zapluwając sobie usta, które zaraz otarł

brudnym rękawem. – Pani żartuje? Ja na policję? A kto by mnie tam wysłuchał? Może nawet by mnie przymknęli...

– Taaa – potwierdził drugi. – Przecie wiadomo, jak jest. Jak coś się stanie, zawsze my winni. Tak jak wtedy, jak ten rower ukradli. Pamiętasz, Zbychu?

– A pewno, że pamiętam! Zawinęli komuś rower spod sklepu, to od razu nas policja podejrzewała, że niby na złom żeśmy zabrali, a myśmy tu wtedy nawet nie siedzieli! A poza tym, co ja im powiem? Przecież ja nic nie widziałem!

– Nieprawda – zauważyła Agata. – Widział pan przecież kogoś. To, że pan go nie rozpoznał, nie sprawia, że to bez znaczenia. Każdy szczegół może być ważny.

– Szczegóły, pierduły! – odparł mężczyzna, wydymając dolną wargę, jakby właśnie wygłosił mądrość godną profesora uniwersytetu. Jego kolega pokiwał z uznaniem głową na znak, że w pełni popiera opinię kolegi. – Tak mnie tu pani zagadała, że mi się wymsknęło i teraz w ogóle żałuję, że z panią gadał. Może mi się coś po prostu wydawało.

– Taaa... Mogło mu się wydawać. Ciemno było.

– I zmęczony byłem, mówiłem przecież. I policja to samo powie!

Popatrzyli na nią wyzywająco. Nie wyglądali groźnie, ale nie sądziła, by mogła się jeszcze czegoś od nich dowiedzieć. Z ich twarzy biła zaciętość. Wiedziała jednak, że nie może tego tak zostawić. Być może osoba, którą widział Zbigniew, nie miała ze śmiercią Bolka nic wspólnego, ale mogło też być inaczej. Jej wątpliwości nie dotyczyły tego, czy informować o tym policję, ale czy mówić o swoich zamiarach temu mężczyźnie. Jeśli tak bardzo nie chce mieć z policją do czynienia, to może gdzieś nawiać, żeby tylko z nimi nie rozmawiać. Ale gdzie on miałby pójść? I to teraz, zimą? Postanowiła uczciwie uprzedzić go o swoich zamiarach. Może gdy zorientuje się, że jeśli on się nie zgłosi na policję, to policja zgłosi się do niego, zmieni zdanie w tej sprawie?

– Jak pan uważa, ale ja w takim razie zadzwonię na policję i powiem im, co pan widział. To naprawdę może być ważne. Przykro mi, ale po prostu nie mogę postąpić inaczej.

– Aaaa! – Mężczyzna skrzywił się i machnął ręką. – Poszła mi stąd! Po

co ja żem gębę otwierał? Daj no mi tę butelkę.

Wyciągnął z ręki kolegi otwartego jabola i pociągnął kilka głębokich łyków. Agata przez całą ciężę nie miała żadnych problemów z nudnościami, ale teraz poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Mężczyzna ponownie otarł usta obrzydliwie brudnym rękawem i zachwiał się na nogach.

– No i czego tu jeszcze stoi? – burknął drugi.

– Do widzenia – powiedziała i odwróciła się, by odejść. Po kilku krokach usłyszała wyraźnie mruknięte za jej plecami „Konfidentka!”. No tak, nie ma to jak zrobić sobie wrogów z miejscowych pijaczków tuż po przeprowadzce w nowe miejsce.

10

Sebastian wyjął spod ławki telefon i położył go na blacie ekranem w dół. Wyrzwał przez okno. Wbił wzrok w odśnieżającego chodnik przed szkołą woźnego i zupełnie przestał słuchać, co mówiła nauczycielka. W obliczu tego, co przed chwilą przeczytał, zawilóści mejozy traciły resztki znaczenia.

Ojciec nie żył.

Przed chwilą dostał SMS-a od Moniki, córki sklepikarza. Młodsza o dwa lata, kiedyś na jakiejś imprezie nawet się całowali, ale nic z tego nie wyszło. Ujmując rzecz nieco dokładniej: następnego dnia udawała, że go nie widzi, od tamtej pory nie zamienili ani słowa. W każdym razie z tamtej imprezy miała jego numer telefonu i teraz przysłała wiadomość: „Twój ojciec nie żyje. Przykro mi. M.”. I zaraz potem drugą: „Jakbyś chciał pogadać, zadzwoń”.

Ciekawe, skąd wie? Może dziś nie poszła do szkoły, cała wieś już o tym trąbi i tylko on siedzi na dupie w szkole i nikt mu o niczym nie mówi. No, prawie nikt. Poza Moniką. Potem jej coś odpisze. Podziękuje czy coś w tym rodzaju. Kto wie, może jednak coś się uda z nią jeszcze wykręcić? Wtedy po tej imprezie nie chciała się z nim spotykać, ale może zmieniła zdanie? Bo niby czemu miałyby przysyłać mu taką wiadomość?

W sumie nie dziwiło go, że wtedy tak go olała. Na tamtej imprezie była trochę wstawiona. Alkohol zrobił swoje i pozwoliła mu się do siebie zbliżyć, ale gdy następnego dnia wytrzeźwiała, nie chciała już mieć z nim nic wspólnego. Nikt nie chce się trzymać z synem moczymordy. Może gdyby mieszkał w mieście, byłoby inaczej, ale tu przecież całe Michałowice wiedziały, że jego ojciec był pijakiem. Takim niewiele trzeba, żeby pożegnać się z życiem. Chyba wszyscy liczyli się z tym, że stary któregoś dnia wpadnie pod samochód, rąbnie głową w jakiś mur lub po prostu zapije się na śmierć. Przyczyna śmierci mogła być różna, ale efekt: zawsze jeden i ten sam.

Sebastian zastanawiał się, co ta śmierć dla niego oznacza. Był zaskoczony tym, że wcale nie zbiera mu się na płacz. Jego serce było jak twarde kamień, zupełnie niewzruszone. Pomyślał, że tak chyba powinien zachowywać się prawdziwy mężczyzna. Był z siebie dumny, że nie reaguje na to jak jakaś baba. Jeszcze tylko tego by brakowało. Jako syn lokalnego moczymordy, zawsze w ciuchach z lumpeksu i z tandetnym telefonem, nie miał w szkole łatwo. Ale umiał sobie radzić. Przez lata nauczył się, że podstawa to niereagowanie na zaczepki i nieokazywanie żadnej słabości. Bądź twardy. Bądź silny. I taki właśnie zamierzał być.

Zresztą życie dało mu taki wycisk, że specjalnie nie miał innego wyjścia. Szkoła to jedno, ale w domu też przecież lekko nie było. Jak wtedy, gdy wychodząc do szkoły i prowadząc siostrę za rękę, znalazł ojca leżącego przed domem. Boże, jak się wtedy wkurwił. Nie ze względu na siebie, tylko ze względu na Anetkę. Biedna, naprawdę przestraszyła się, że tacie coś się stało. Próbował jej wytłumaczyć, że tata tylko tak odpoczywa, i w końcu nie wiedział, czy mu uwierzyła, czy nie. Najważniejsze, że dała się zaprowadzić do szkoły i więcej już do tematu nie wracała. Mądra dziewczynka. Ciekawe, jak teraz zareaguje. Będzie musiał ją chronić. Taka jego rola – rola starszego brata.

No i matka. Ale matka jest twarda. Matka da sobie radę. Teraz on będzie jedynym mężczyzną w ich domu i wszystko będzie dobrze. Nigdy nie będzie taki jak ojciec. To jedno wiedział na pewno. Nie stanie się kimś, kogo własne dzieci mają w pogardzie. Kimś, kto szlaja się po ulicach, przynosząc wstyd rodzinie. Kimś, na kogo własna żona nie patrzy inaczej niż spode łba.

Prawda, że ojciec nie zawsze był taki. Kiedyś, dawno temu, bywało dobrze. Nie jakieś tam fajerwerki, cuda na kiju. Na miano ojca roku nigdy nie zasługiwał. Ale zdarzały się takie momenty, gdy Sebkowi było w jego towarzystwie całkiem dobrze. Jak wtedy, gdy uczył go grać w warcaby i udawał, że Sebek ciągle wygrywa. Albo jak uczył go puszczać kaczkę na wodzie. Kiedyś nawet zbudowali razem igloo. Ale to było dawno. Jeśli chodzi o Anetkę, to puszczenia kaczek musiał nauczyć ją już Sebastian. Ojciec wolał zachlewać mordę pod sklepem.

Czy to, że nie żyje, będzie miało dla ich rodziny jakieś negatywne skutki?

Sebek szczerze w to wątpił. Zamieszanie z pogrzebem, smutek Anetki. Ale to wszystko minie, skończy się, a potem pozostanie tylko spokój. Cisza i święty spokój.

– Sebastian! – usłyszał głos nauczycielki. Natarczywy ton sugerował, że nie pierwszy raz go wołała, tylko on, zatopiony w rozmyślaniach, nic nie słyszał.

Spojrzał na nią zdezorientowany. Oczywiście nie miał pojęcia, o czym była mowa na lekcji. Znowu zarobi pałę. Trudno, nie pierwsza, nie ostatnia. Ale fason trzymać trzeba, dlatego grzecznie zapytał:

– Tak, proszę pani?

– Sebastian, pani dyrektor cię prosi. Mama przyjechała.

Dopiero teraz zobaczył stojącą w uchylonych drzwiach dyrektorkę i poczuł ucisk w klatce piersiowej. Może jednak nie był aż tak twardy, jak mu się wydawało.

Maj 1993 roku

Wojtek przyłożył dłonie do ust, nabrał powietrza i z całych sił krzyknął:

– Bolek!

Brat jednak się nie odwrócił. Z płóciennym plecakiem zarzuconym na jedno ramię i zbyt długimi, jasnymi włosami zwisającymi ze spuszczonej głowy szedł przed siebie tym swoim rozkołysanym krokiem.

Wojtek zaklął pod nosem. Gówniarz na pewno go słyszał. Dzisiaj była kolej Wojtka, by zabrać walkmana, a brat nie odważyłby się złamać tej reguły. Uszy więc miał wolne, a na ulicy było cicho. Najchętniej pobiegłby za nim, złapał za chabety i powiedział, co ma do powiedzenia, ale zostawił omlet na patelni i nie chciał go spalić. To były ostatnie jajka w domu, a przed wyjściem do szkoły coś przecież musiał zjeść. Przyłożył więc znów dłonie do ust i najgłośniejszym, jak potrafił, ryknął:

– Dziś Dzień Matki, matole! Jakies kwiaty matce przynieś!

Młodszy brat nawet się nie odwrócił. W odpowiedzi uniósł jedynie środkowy palec.

– Debil... – mruknął pod nosem Wojtek i wrócił do domu.

Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, w nozdrza od razu uderzył go zapach spalenizny. Biegiem rzucił się do kuchni, by ratować resztki śniadania. Na szczęście omlet nadawał się jeszcze do zjedzenia. Przełożył go na talerz, grubo posmarował dżemem i usiadł przy stole. Gdy przeżuwał pierwszy kęs, zamknął oczy. Uwielbiał środy. To były najlepsze dni z całego tygodnia. Do liceum szedł dopiero na dziesiątą, młody szkołę miał na ósmą, rodzice też rano wychodzili do pracy. To był jedyny czas, kiedy miał cały dom tylko dla siebie i mógł robić, co mu się żywnie podobało. A nie pragnął niczego innego jak tylko chwili ciszy i pewności, że nic jej nie przerwie. Uwielbiał tak siedzieć z zamkniętymi oczami i rozkoszować się spokojem.

Otworzył oczy i zerknął na ogródek. U nich ziemia była sucha,

przeważnie łyśa, tu i ówdzie pokryta kępami przerośniętej, brzydkiej trawy i skupiskami mleczy, z którymi ojciec kiedyś walczył, ale teraz dał już sobie spokój. Ale za to u sąsiadki, pani Kowalik, zadbane klombiki, najeżone pąkami, zwiastowały feerię barw, jaką lada chwila wybuchną. Pod samym płotem rosła grządka pięknych dorodnych konwalii. Gdy na nie patrzył, miał wrażenie, że nawet przez szybę czuje ich zapach. Wojtek był pewien, że jak się uśmiechnie do sąsiadki, kobieta na pewno da mu bukietik konwalii dla jego matki. Dla pewności weźmie też kilka dla Bolka, bo ten głupek na pewno zapomni, a nawet jak nie zapomni, to po złości przyjdzie z pustymi rękami. A Wojtek nienawidził awantur. I tak miał ich na co dzień po dziurki w nosie i wychodził z założenia, że jeśli można ich jakoś uniknąć, to należy to zrobić, tym bardziej jeśli można to zrobić niewielkim kosztem.

Jego wzrok padł na wiszące w korytarzu zdjęcie ślubne rodziców. Po raz kolejny zastanowił się, co tych ludzi ze sobą trzymało. Jaki diabeł ich podkusił, by się pobrali, i co do cholery sprawiło, że do tej pory się nie rozwiedli. Nie byli przecież jakoś przesadnie wierzący. Kościół odwiedzali w zasadzie tylko w Wielkanoc i w Boże Narodzenie, a i wtedy rzadko udawało im się wysiedzieć przez całą mszę. Normy społeczne też raczej nie były przyczyną. Jasne, rozwody nie były chlebem powszednim, ale nie były też czymś, co się nie zdarzało. Daleko nie szukając, pani Kowalik przecież rozstała się z mężem, i to wiele lat temu. I co? I wygląda na całkiem szczęśliwą, z tymi swoimi kwiatkami. A ludzie jakoś nie gadali.

Nagle rozmyślenia Wojtka przerwał dźwięk otwieranych drzwi. W progu stanął Bolek.

– A ty co tu robisz?

– A co, do własnego domu wejść nie można? – Bolek zerknął na niego przelotnie spod postrzępionej grzywki.

– W szkole powinieneś być, gówniarzu – prychnął Wojtek. – Jak tak dalej pójdzie, to w końcu nie zdasz i będziesz kiblował w tej budzie do usranej śmierci.

– A weź ty się odwal ode mnie, co? Prosił cię ktoś o komentarz? Pierwszą lekcję mi odwołali, to se do domu wróciłem herbaty się napić, a ten z mordą od razu wyjeżdża!

Wojtek spojrział na brata badawczo, ale nie wyczuł kłamstwa, postanowił

więc zmienić temat.

– Kwiatki dla matki weźmiemy od Kowalikowej – powiedział, kiwając głową w stronę ogródka sąsiadki.

– Taaa... już widzę, jak weźmiesz! Przecież ona pilnuje tego swojego ogrodu jak pies żarcia. Ciągle filuje zza firanki, czy ktoś czegoś nie podpierała.

Wojtek prychnął ze złością.

– Kurwa, Bolek, ty to naprawdę nienormalny jesteś. Ja nie zamierzam jej kraść tych kwiatków, tylko zamierzam o nie poprosić. Po-pro-sić. Słyszałeś kiedyś o czymś takim? Obiło ci się o te durne uszy?

Bolek spojrział na niego wyraźnie skonsternowany. Takie rozwiązanie chyba naprawdę nie przyszło mu do głowy. Po chwili wzruszył ramionami i podszedł do czajnika, żeby nalać sobie wody.

Gdy stał przy zlewie, Wojtek obserwował go z troską. Nie po raz pierwszy zwrócił uwagę na to, jaki brat jest chudy i jak często chodzi posiniaczony. Na pewno nadal często tłukł się z chłopakami ze szkoły, ale teraz, gdy Wojtek był już w liceum, nie miał tak łatwego dostępu do informacji o tym, co się u niego dzieje, a brat niechętnie dzielił się problemami. Rodzice, zajęci swoimi małymi wojnami, zupełnie nie zwracali na niego uwagi.

– A śniadanie jadłeś? – spytał.

– A co ci do tego?

– Gównno! Omlet mi został i może byś chciał? Bo jak nie, to wyrzucę.

Bolek omiótł spojrzeniem zawartość talerza i wzruszył ramionami.

– Jak masz wyrzucić, to mogę zjeść – mruknął, nieudolnie próbując odegrać brak zainteresowania.

Wojtek podsunął talerz z połowa omleta w stronę brata, choć sam wcale się jeszcze nie najadł. Bolek w kilku wielkich gryzach go pochłonął.

– A te konwalie... – zagaił, wciąż przeżuując resztki jedzenia. – To myślisz, że ta Kowalikowa naprawdę tak po prostu by dała?

– Pewnie! Powiesz, że dla matki, to da ci bez pudła!

– Tylko że ja nie dla matki chciałem, ale dla tej, no wiesz, Halinki – wyjaśnił Bolek, nie odrywając wzroku od okna.

Wojtek całym sobą starał się opanować uśmiech. Nie mógł tego zepsuć. Bolek po raz pierwszy wspominał przy nim o jakiejś dziewczynie. Gdyby

zobaczył, że się z niego podśmiewa, na pewno byłby to nie tylko pierwszy, ale zarazem ostatni raz.

– Dla Halinki pewnie też by dała.

Bolek zerknął na zegarek.

– Oż w dupę, no i nie zdążyłem z tą herbatą! – Chwycił plecak i wybiegł z domu.

Wojtek poderwał się z krzesła i obserwował przez okno, jak brat idzie do ogródka, rozgląda się wokół, po czym wsadza rękę między sztachetki płotu oddzielającego ich działkę od działki Kowalikowej i wrywa największą kępkę konwalii.

12

Agata weszła do domu. Na chwilę zamarła, nasłuchując dźwięków z góry. Cisza. Pan Andrzej chyba znów zapomniał jakiejś śrubki i musiał pojechać do marketu budowlanego. Westchnęła. Tak bardzo chciała, żeby już zniknął z ich domu i z ich życia. Może jego ślamazarność nie przeszkadzałaby jej aż tak bardzo, gdyby normalnie chodziła do pracy, ale teraz, gdy całe dni spędzała w domu, jego ciągła obecność sprawiała, że nie czuła się w pełni komfortowo. Wyciągnięcie się na kanapie z puchnącymi nogami w górze było nieco krępujące, wsmarowywanie w ogromniasty brzuch kremu na rozstępy możliwe do momentu, gdy nie zaczynał schodzić na dół, a głośnie śpiewanie z Freddie Mercuryem (jedna z jej ulubionych rozrywek), całkowicie wykluczone.

Rozebrała się i schowała serki do lodówki. Wstawiła wodę na herbatę. Zanim zadzwoni na policję, chciała jeszcze raz wszystko sobie przemyśleć. Ułożyć sobie w głowie jakąś historię, nawet jeśli nie dla policji, to dla samej siebie, żeby poczuła, że ma w tej sytuacji jakieś rozeznanie. Od dzisiejszego poranka do teraz przez jej życie przewinęło się sporo nowych osób. Chciała to wszystko jakoś uporządkować. A przy porządkowaniu zagmatwanych historii nic nie pomaga tak jak kubek gorącej herbaty, kartka i długopis.

A więc co wiemy do tej pory?

Na pewno wiadomo, że Bolesław Skowron był lokalnym pijaczkiem, spędzającym większość czasu na picciu alkoholu z kolegami – pod sklepem albo u któregoś z nich. Na to jest wielu świadków, nikt nie podaje tego w wątpliwość. Umarł, wracając z jednej z takich libacji. Co ważne, jeden z jego kolegów, niejaki Zbigniew, tuż przed śmiercią Bolesława wyrzwał na ulicę i widział, jak ktoś za nim szedł. Jeśli nie były to zwidy pijanego mężczyzny w środku nocy, jeśli Bolesław pod wpływem procentów mu się po prostu nie rozdwoił, to prawie na pewno ta druga osoba przyłożyła rękę do tej śmierci. Nawet jeśli ten ktoś nie wepchnął Bolesława w śnieg, ale przeszedł obojętnie obok, widząc, że on się przewrócił, też powinien

ponieść konsekwencje. Nie trzeba być asem intelektu, by wiedzieć, czym takie zalegnięcie w śniegu groziło, a nieudzielenie pomocy jest przecież karalne. Pijak nie pijak, życie ratować trzeba zawsze, a kto tego nie robi, ten szuja i kara mu się należy.

Szansa, że Zbigniewowi coś się przywidziało, oczywiście była, ale Agacie trudno było uwierzyć w taki scenariusz. W końcu to człowiek, cokolwiek by mówić, zaprawiony w piciu. Nie pierwszy raz był pijany i zapewne jak rzadko kto wiedział, jak alkohol wpływa na postrzeganie świata. Prawdopodobnie umiałby odróżnić majaki i zwiidy od tego, co naprawdę się wydarzyło. W końcu to nie LSD czy inne narkotyki, które wywołują halucynacje. Po alkoholu prędzej by czegoś nie zauważył, niż coś do rzeczywistości dodał. Poza tym gdy z nim rozmawiała, widziała w jego oczach szczerą i strach. On naprawdę wierzył w to, co mówił. I Bóg wie czemu zdecydował się powiedzieć o tym właśnie jej. Może to kwestia ogromnego brzucha, który przed sobą dźwigała? Kobiety w ciąży wydają się takie nieszkodliwe. A może go to gniołło. Czuł, że musi komuś o tym powiedzieć i ona, jako taki potencjalnie nieszkodliwy słoń jedną nogą na porodówce, była kandydatem idealnym. Nie chciał zgłosić się na policję. Być może miał w tym trochę racji. Rzeczywiście całkiem możliwe, że zostałby potraktowany źle: podważano by jego wiarygodność, zaczęto by szukać czegoś, za co można by się do niego przyczepić (i zapewne coś by znaleziono). W końcu bez jego zeznań sytuacja wyglądała bardzo klarownie – Bolo po prostu przewrócił się i zamarł. Uznajemy to za nieszczęśliwy wypadek, zamykamy teczkę, idziemy do kolejnych spraw albo nawet do domu. Dla policji – bardzo wygodne. Cała nadzieja w tym, że policja nie będzie chciała rozwiązania wygodnego, tylko prawdziwego.

Nie należy zapominać też o bracie Bola. Jak on miał na imię? Chyba Wojciech. Wojciech był przekonany o tym, że to nie mógł być wypadek. Mówił, że uczył brata, by uważał na mróz. Jasne, to żaden argument, a energia, z jaką mężczyzna zaprzeczał hipotezie o nieszczęśliwym wypadku, mogła być efektem żalu czy wręcz rozpacz po śmierci brata. Ale jakkolwiek by na to patrzeć, jest to kolejny – bardzo słaby, ale jednak – argument za tym, by przyjrzeć się tej śmierci bliżej.

Bolesław Skowron miał też żonę i dzieci. O nich Agata nie była w stanie

na razie zbyt wiele powiedzieć. Na pewno nie mieli z nim różowego życia, na pewno było im ciężko. Pytanie – jak ciężko? Tego na razie nie wiedziała. Czy jego winy polegały głównie na tym, że przepijał pieniądze, a cały czas spędzał pod sklepem? A może był agresywny? Będzie musiała jakoś się tego dowiedzieć. Kluczowe pytanie brzmiało: czy jego rodzinie zależało na tej śmierci? Czy był na tyle uciążliwy, że ktoś postanowił po prostu go zabić? A jeśli tak, to kto? Żona? Biedna, szara kobiecina, zniszczona przez życie w biedzie i stresie. Ale przecież w takich kobietach często coś pękało i nagle budziła się w nich dzika siła, która pchała je do zabójstwa męża. Czy Halina była jedną z nich? Podczas krótkiej wizyty w jej domu Agata nie dostrzegła w niej przesadnego żalu, łagodnie rzecz ujmując. Ale to przecież nie był jeszcze dowód jej winy. I był też syn. Niby dziecko, ale przecież już mężczyzna. Nietrudno się domyślić, że zapewne nie darzył ojca nadmierną miłością. Tak, zdecydowanie trzeba będzie bliżej przyjrzeć się tej rodzinie.

Może uda się czegoś dowiedzieć od nowych koleżanek – Kaśki i Bożeny? Teraz, gdy spokojnie o tym myślała, Agata dostrzegła, że zachowanie Kaśki było nieco dziwne. Wtedy, po zejściu z policją, nie dostrzegła nic nienormalnego w tym, że dziewczyna zaprasza ją na kawę i próbuje się zaprzyjaźnić. Ale gdy dołożymy do tego fakt, że zmarłym był mąż jej przyjaciółki z dzieciństwa, robi się to... hmm... zastanawiające. Może nie była z nim blisko, może nawet zbyt dobrze go nie знаła, ale nadal w takiej sytuacji raczej powinna chcieć pobyć sama, zadzwonić do tej byłej przyjaciółki, spotkać się tylko z Bożeną, a nie zapraszać do siebie obcą babę na pogaduszki o dupie Maryni.

O Bożenie trudno cokolwiek powiedzieć – ot, miła dziewczyna, bardzo ładna. Można by rzec – kobieta sukcesu. Zwłaszcza Halinie musiało być trudno na nią patrzeć. Kontrast pomiędzy tym, jak potoczyło się życie dwóch przyjaciółek z dzieciństwa, był uderzający. No, ale to wątek zupełnie poboczny.

Agata spojrzała na zarysowaną kartkę. Kółka z imionami i luźne notatki wypełniły całą jej powierzchnię. Nie można powiedzieć, żeby Agata czegoś się z tego dowiedziała, ale miała przynajmniej jasny obraz sytuacji, a o to jej przecież chodziło. Teraz rozmawiając z policją, będzie miała pewność, że wie, o czym mówi. Sięgnęła po telefon i w tym momencie usłyszała

chrobot zamka, a po chwili w korytarzu stanął pan Andrzej.

– O! Jest już pani! Bardzo dobrze, pani Agatko! Widzi pani, ja musiałem pojechać do marketu, bo mi kleju zabrakło, ale teraz mam dwie paczki, to powinno mi starczyć. – Położył na podłodze dwa worki.

„Słowo klucz: powinno!” – złośliwie pomyślała Agata. Była gotowa się założyć, że to nie ostatnia wycieczka do sklepu dzisiejszego dnia. Na pewno czegoś jeszcze mu zabraknie. Jak tak dalej pójdzie, to całe wynagrodzenie wyda na benzynę. Ale to już nie jej problem.

– Dobrze, panie Andrzeju. Mam nadzieję, że starczy.

– Była pani na górze? Oglądała pani, ile już dzisiaj przykleiłem?

– Yyy... no nie, nie byłam. – Agata była tak zaaferowana tym, co usłyszała pod sklepem, że zupełnie o tym nie pomyślała.

– No to w takim razie chodźmy. Pani zerknie okiem szefowej, powie, czy dobrze. Chyba że dla pani za ciężko tak biegać po schodach? – Spojrzał na nią z autentycznym niepokojem.

– Nie, skąd! – Agata podźwignęła się na nogi. Nie mogła powstrzymać kilku stęknień. Dziecko znów ułożyło się akurat na pęcherzu. Boże, jak było jej ciężko! Chwyciła rękami brzuch i delikatnie nim poruszała, by choć trochę przesunąć dziecko. No, chyba się udało.

Wspięła się po schodach tuż za panem Andrzejem.

Pan Andrzej chwycił klamkę i z miną czarodzieja, który zaraz wyciągnie królika z kapelusza, otworzył drzwi do łazienki.

– Tadam! – wykrzyknął.

Agata zajrzała i serce dosłownie jej zamarło.

– Panie Andrzeju! Przecież rano wyraźnie panu mówiłam, że białe mają być na górze, a czarne na dole! A pan białe nakleił przy samej podłodze!

Mężczyzna zmarszczył czoło, wyduł usta i podrapał się w głowę. Wyglądało to wręcz karykaturalnie i w innych okolicznościach pewnie by się roześmiała.

– Tak? Tak rozmawialiśmy? A może... Bo wie pani, ja to zaraz po naszej rozmowie tutaj sobie narysowałem na tym karton gipsie, a potem zaciągnąłem klejem i już tej mojej ściągawki nie widziałem... Bo tak to nie może zostać, prawda? – Spojrzał na nią z nadzieją.

– No skąd! Oczywiście, że nie może! Da się to jeszcze zerwać?

– Tak, tak. Klej jeszcze nie zasechł, to się zdejmie, płytki się wyczyści i machnie się na odwrót. No dobrze, to ja to teraz pozdejmuję. Nie ma żadnego problemu. Bo wie pani, ze mną to jak z dzieckiem.

„Tak. Trzy razy mówisz, a i tak nie dociera!” – pomyślała Agata.

– Niech pan zdejmuje w takim razie. I niech pan pamięta: białe na górze, czarne na dole. Może panu to gdzieś zapisać? Na kartce narysować? – Zabrzmiało to nieco ostrzej, niż planowała.

– Nie, nie! Nie ma potrzeby – odparł nieco obruszony. – Teraz to już będę pamiętał.

– Dobrze. To ja idę na dół.

Obróciła się na pięcie i zeszła po schodach. Boże, jak bardzo była na niego zła! Co za лихо ich podkusiło, by brać pierwszego lepszego patałacha, który się nawinął! Wychodziło na to, że dzisiejszy dzień wcale nie posunął prac do przodu. Pół dnia kładł płytki, drugie pół będzie je ściągał i czyścił. I jutro klejenie od nowa. I nie był to pierwszy raz, gdy w ten sposób przeciągał czas remontu. Najchętniej podziękowałaby mu, zapłaciła za dotychczasową pracę, a do skończenia roboty zatrudniła kogoś innego. Już kilka razy nawet o tym z Kermitem rozmawiali, ale zawsze w końcu dochodzili do wniosku, że na razie się z tym wstrzymają. Po pierwsze, nie chcieli robić mu przykrości. Widać było, że facet nie robił tego złośliwie, tylko po prostu był niezbyt mądry i gapowaty. Po drugie, nie mieli nikogo innego na oku. A wiadomo, co mówią: lepszy diabeł znany niż nieznany...

Położyła się na kanapie, sięgnęła po kubek i wypła resztę zimnej już herbaty. Cóż, czas zadzwonić na policję. Położyła sobie swoją kartkę na kolanach, by móc się nią w razie czego posiłkować, i sięgnęła po telefon. W tym momencie ekran rozbłysnął, a Freddie zaśpiewał „Under pressure!”.

– Kermit? – powiedziała tuż po naciśnięciu zielonej słuchawki. – Myślałam, że jesteś zajęty.

– Jestem, jestem, ale akurat mam wolną chwilę, więc postanowiłem zadzwonić i sprawdzić, jak się macie.

– Ja dobrze, dziecko chyba też.

– Nie wychodzi?

– Nic na to nie wskazuje.

– Ech, szkoda! Miałbym pretekst, żeby się stąd urwać – zażartował, a Agata się roześmiała. – Ale tak serio, serio, to co porabiasz? Możesz podenerwować lud pracujący historiami o tym, jak leżysz na kanapie i czytasz, nadrabiasz zaległości serialowe albo oddajesz się innym przyjemnościom, które aktualnie są całkowicie poza moim zasięgiem.

Agata oczami wyobraźni ujrzała minę męczennika, jaką na pewno zrobił, wypowiadając te słowa, i znów parsknęła śmiechem.

– Nic z tych rzeczy! Nigdy nie zgadniesz, co się dzisiaj wydarzyło!

– Skoro mówisz, że nie zgadnę, to nie będę nawet próbował. Opowiadaj! Opowiedziała. Ale reakcja Kermita była nieco inna, niż się spodziewała.

– Okej, rozumiem. Ale chyba nie zamierzasz tym razem na własną rękę poszukiwać ewentualnego mordercy, prawda? – Jego ton nagle stał się bardzo poważny.

– Nooo... nie wiem, nie myślałam o tym – odparła niepewnie.

– Nie chodzi mi o to, żebyś siedziała w domu. Agata, zrozum mnie! Pomyśl, gdyby to dziecko już się urodziło, ty byś była w pracy, a ja wziąłbym je pod pachę i zacząłbym uganiać się za jakimiś zabójcami, nie martwiłabyś się? Pozwoliłabyś mi na to?

– Ale ja się za nikiem nie uganiam!

– I żeby było jasne. – Kermit kontynuował, jakby nie usłyszał, co powiedziała. – Nie chodzi mi tylko o dziecko, chodzi mi też o ciebie. Przy poprzednich sprawach byłem obok, a teraz...

– Daj spokój, Kermit. Przecież wiem, że musisz pracować.

– Tak, a ty... – Instynkt samozachowawczy kazał mu urwać to zdanie w połowie, zanim niewybaczalne „powinnaś siedzieć w domu” wybrzmiało.

– Co ja?! Co ja?! – Agata poczuła narastającą wściekłość. Oczywiście dobrze wiedziała, jak zamierzał zakończyć to zdanie. Jeszcze tylko tego brakowało, by on jej mówił, co ma robić! Kolejny wujek dobra rada! Nie po raz pierwszy poczuła się jak zakładnik własnego brzucha.

– A ty wiem, że zachowasz się rozsądnie – próbował wybrnąć Kermit.

– Jak zawsze! – podkreśliła Agata, nieco udobruchana. Ale tylko nieco.

– Tak, jak zawsze – zgodził się. – Ufam ci – dodał po krótkiej chwili ciszy.

– I dobrze!

– Jeśli znajdę chwilę, to poszperam w internecie. Ten mój bonzo zaraz ma serię spotkań, na które ja na szczęście nie muszę iść. Potrwa to pewnie z półtorej godziny, a mój zespół wie, że dziś na cały dzień jestem wyjęty. Więc o ile coś mi zaraz nie wyskoczy, to będę mógł chwilę na to poświęcić. Mówisz, że jak ten człowiek, co zamarzał, się nazywał?

– Bolesław Skowron. Ale myślisz, że jest sens go googlać? Z tego co wiem, to był zwykły pijaczek, a tacy raczej nie śmigają po internetach.

– Nie wiem, czy jest sens, ale na pewno nie zaszkodzi. Może nie zawsze był pijaczkiem.

– Może. – Agata pokiwała głową. W ten sposób o tym nie myślała.

– A jak pan Andrzej? Robota posuwa się do przodu?

– Ech, szkoda gadać! Opowiem ci wieczorem.

– No dobra, kochana, jak chcesz. To w takim razie jesteśmy w kontakcie. Jak uda mi się znaleźć coś ciekawego, to się odezwę. A ty uważaj na siebie.

– Tak jak zawsze.

– Tak, tak jak zawsze. To buziak, pa.

– Pa.

Agata z westchnieniem odłożyła telefon. Cała wściekłość, która na chwilę ją ogarnęła, uleciała bez śladu. Teraz pozostała tylko ciekawość. Rzeczywiście, nie pomyślała wcześniej o tym, kim był Bolesław Skowron, zanim objął funkcję podklepowego moczymordy. Może jego przeszłość wyglądała inaczej. A przeszłość zawsze ma znaczenie.

No cóż, teraz pora na drugi telefon, na policję. Miała nadzieję, że uda jej się skontaktować z tą policjantką, którą widziała dziś rano. Wyglądała na sensowną. O wiele sensowniejszą niż Zawada – warszawski policjant, który był gotów zrobić wszystko, by nie robić nic.

13

Sebastian siedział na tylnym siedzeniu obok matki. Anetka siedziała z drugiej strony. Położyła mamie głowę na kolanach. Wcześniej gładko uczesane włosy teraz opadały jej na twarz, a plecy raz po raz drgały wstrząsane spazmami szlochu. Małe rączki były kurczowo zaciśnięte na kurtce Haliny. Sebastian położył dłoń na główce siostry. Była gorąca, zupełnie jakby dziecko było chore. Ale to tylko od płaczu. Przejdzie jej, jak tylko trochę się uspokoi.

On nie odczuwał niemal żadnych emocji. Po chwilowym wzruszeniu, gdy musiał spojrzeć matce w oczy, znów czuł się prawie normalnie. Matka też znosiła tę sytuację nadzwyczaj dobrze. Była blada i smutna, ale opanowana. Nie było mowy o jakiegokolwiek hysterii. Zastanawiał się, co tak naprawdę czuje, jakie myśli kłębią się w jej głowie. Nigdy o tym nie rozmawiali. W ogóle w ich domu w zasadzie nigdy nie rozmawiało się o uczuciach. Takie rozmowy mogłyby być zbyt niebezpieczne. O negatywnych uczuciach można rozmawiać wtedy, gdy jest szansa na wyjście z mroku. W ich rodzinie uczucia były głównie negatywne, a szanse na wyjście z mroku nie było. Więc co dobrego mogłoby dać otwarte roztrząsanie tego, co wszystkich bolało? Wyjmowanie z serc tych wszystkich brudów i rozkładanie ich, by inni widzieli, że ojciec jest jak wrzód na dupie? Że zawsze pieniędzy jest za mało? Że wszyscy wokół patrzą na nich albo z podejrzliwością, albo z politowaniem i trudno wskazać, które z tych dwóch typów spojrzeń jest gorsze? Najwyraźniej każde z nich wolało przeżywać swój żal w samotności. Jedyne chwile, gdy dawali sobie przelotny wgląd do swoich myśli, to wymiany spojrzeń, gdy słyszeli dźwięk otwieranych drzwi i było wiadomo, że ojciec wrócił do domu. Na pewno pijany.

Teraz też matka najwyraźniej nie zamierzała publicznie wylewać swojego żalu, o ile w ogóle go odczuwała. Gdy wyszedł z klasy, powiedziała tylko: „Sebastian, twój ojciec nie żyje. Przewrócił się w śnieg i zamarzl”, po czym przytuliła go mocno, ale jej twarz była sucha. Nie płynęły po niej żadne łzy.

Dyrektorka powiedziała, że oczywiście przez kilka najbliższych dni nie musi uczestniczyć w lekcjach. Nawet sama wróciła do klasy, spakowała jego rzeczy i przyniosła mu plecak. Teraz taka niby dobra, a wcześniej zawsze patrzyła na niego spode łba. Jej spojrzenie niezmiennie dawało mu do zrozumienia, że święcie wierzy w zasadę, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Ciekawe, czy ta nagła serdeczność to na stałe, czy za kilka tygodni nie będzie po niej śladu? Stawiał na to drugie.

Tacy jak on zawsze mają w życiu pod górkę. Tacy jak on, ale nie wszyscy. Jak ta koleżanka mamy, Bożena, która teraz ich wiozła. Rzeczywiście, kiedyś już ją widział, ale to było ładnych parę lat temu. Pamiętał ją jak przez mgłę. Teraz był pewien, że długo jej nie zapomni. Wyglądała, jakby wyskoczyła z telewizora. Nie co dzień widywało się takie osoby. A nawet jak się widywało, to te osoby nigdy nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. A ona, ta Bożena, która czekała pod szkołą przy samochodzie, paląc długiego cienkiego papierosa, gdy tylko go zobaczyła, rzuciła niedopałek w śnieg i wzięła go w ramiona, mówiąc: „Sebastian! Tak mi przykro!”. Poczul się wtedy oszołomiony. Zapach drogich perfum wymieszany z resztką woni mentolowego papierosa sprawił, że zakręciło mu się w głowie. Przez chwilę zastanawiał się, kim ta kobieta jest, ale zaraz przypomniał sobie, że gdy ubierał się w szatni, mama wspomniała, że jakaś koleżanka ją podwiozła.

„Ta to musi mieć życie” – pomyślał teraz. Mężulek siedzi na Wyspach i kosi grube funty czy inne tam franki, a ta pewnie chodzi po sklepach, kosmetyczkach, w przerwach sącząc szampana i pogryzając sushi. I trzeba przyznać, że taki żywot jej służy. W życiu by nie powiedział, że ona i matka mogą być w tym samym wieku, a przecież chodziły do jednej klasy. Kaśka też wyglądała młodziej niż matka, ale Kaśka to Kaśka. Ją znał od zawsze i choć raczej ich nie odwiedzała, to widywał ją przecież przynajmniej raz w tygodniu na ulicy albo w sklepie. Wiedział, że kiedyś z matką się przyjaźniły, ale odkąd pamiętał, rzadko rozmawiały, a już na pewno nie tak, jak rozmawiają ze sobą przyjaciółki. Zresztą matka nie miała żadnych przyjaciółek.

Kiedyś zdarzało mu się zastanawiać, co by było, gdyby urodził się w innej rodzinie, choćby takiej Kaśki. I nawet niech by żył bez ojca. Gorzej by

mu było? Małe szanse. Ale już dawno odpuścił sobie takie rozważania. Konkrety – to się liczyło w życiu! Bzdurne bajanie o scenariuszach, których nie da się wprowadzić w życie, nikogo do niczego nie doprowadziło. Może taka Bożena ma czas na bujanie w obłokach. Może nawet taka Kaśka go ma. Ale on nie miał. Jeśli chciał coś zmienić w swoim życiu, musiał działać, skupić się na konkretach, na planach, które krok po kroku można wprowadzać w życie. Odkąd zrozumiał tę prostą prawdę, było mu lżej, naprawdę dużo lżej. Nie ma co się nad sobą użalać, nie ma co zastanawiać się „co by było gdyby...”. Jeśli chcesz zmiany, musisz wziąć los w swoje ręce i zacząć działać. Czyny! Tylko to się liczy. Tak właśnie postępują prawdziwi mężczyźni. Teraz tak postępował także i on.

Agata z trudem znalazła miejsce, w którym mogła zostawić smarta. Nie chodziło o to, że pod komendą stało dużo samochodów. Po prostu parking nie był odśnieżony. Potencjalne miejsca były zawałone zwałami odgarniętego z chodnika śniegu. Nie chciała wjeżdżać w zaspy, bo wiedziała, że potem się z nich nie wygrzebie. Smartowi, mimo wielu zalet, daleko było do demona mocy. A teraz, z brzuchem, na którym pożyczona od Aśki ciężowa kurtka ledwo się dopinała, wypychanie go i podsypywanie piachu pod koła nie wchodziło w grę (zresztą skąd tu wziąć piach?). Na pomoc przechodniów wołała nie liczyć. Raz jej samochód padł i będąc w widocznej ciąży, pojechała do centrum komunikacją miejską. Gdy wracała do domu, zmachana jak koń po westernie, nikt się nie kwapił, by ustąpić jej miejsca. W końcu jakaś starsza pani, również stojąca, zwróciła uwagę siedzącemu młodemu mężczyźnie, że mógłby jednak wstać, by ciężarna mogła usiąść. Na co on, odrywając na chwilę wzrok od ekranu smartfona, z niewyrażającą absolutnie niczego miną odparł: „A ja wiem, czy ta pani na pewno jest w ciąży? Może gruba jest? Albo piłkę połknęła?”. Od tej pory pokłady zaufania w życzliwość bliźniego znacząco u Agaty stopniały. Na szczęście po drugiej rundce wokół komendy zobaczyła jakąś bordową hondę zwalniającą miejsce, na które Agata szybko wskoczyła.

Wysiadając, obiecała sobie, że jak tylko znajdzie wolną chwilę (może jutro?), posprząta w samochodzie, bo wałało się po nim tyle różnych rupieci, że to już naprawdę wstyd. Tym bardziej że lada chwila może urodzić się dziecko i jak ona potem będzie wozila maleństwo w takim bałaganie? Tak, koniecznie trzeba coś z tym zrobić, a jutro będzie idealny dzień, żeby się za to zabrać.

Z trudem wspięła się po kilku wiodących do drzwi schodkach. Czowała, jak przy każdym kroku dziecko coraz mocniej się rozpycha. „Ten, kto nazwał ciężę stanem błogosławionym, musiał być facetem” –westchnęła w duchu. Gdy stanęła w korytarzu, czowała, jak pot spływa jej po plecach. Siedzący za

kontuarem młody policjant obrzucił ją znudzonym spojrzeniem.

– Dzień dobry. Pani do kogo?

– Jestem umówiona z Renatą Bogucką. Dzwoniła niedawno i poprosiła, żebym przyjechała o piętnastej.

Agata rzuciła okiem na wiszący na ścianie plastikowy zegar. Wszystko się zgadzało. Była o czasie.

Policjant zerknął w ukryty za kontuarem zeszyt.

– A pani się nazywa...?

– Brok. Agata Brok.

Policjant podrapał się po nosie, by ukryć uśmiech. Zrobił to wyjątkowo nieudolnie.

– Co? O co chodzi? Czemu pan się uśmiecha?

Była bardzo zmęczona i marzyła o szklance wody. Zdecydowanie nie było jej do śmiechu.

– Nic, nic... Tylko to nazwisko.

– Co z nim?

– Brok, jak to piwo.

– Tak – przyznała poirytowana i spragniona Agata. – I też jak to miasto za Wyszkowem i taki kapsel wciskany w blok silnika, by nie rozsadził go lód. Jeszcze jakieś ciekawe uwagi na temat mojego nazwiska?

Policjant spuścił wzrok, a resztki młodzieńczego trądziku na jego policzkach stały się nieco mniej widoczne na tle rumieńca, który zalał mu twarz i szyję.

– A sierżant sztabowa Renata Bogucka jest? – spytała Agata.

Policjant otworzył szeroko oczy, jakby nagle przypomniał sobie, po co ona tu w ogóle stoi.

– Tak! Jest, oczywiście, tylko teraz jeszcze z kimś rozmawia. Proszę, niech pani usiądzie. Zaraz powinna skończyć i wtedy na pewno panią poprosi.

– Mam nadzieję, że to nie potrwa długo – mruknęła Agata, zerkając znów na zegarek. Nie chciała stracić tu całego dnia.

– Niech się pani nie denerwuje, bo dziecku pani zaszkodzi – powiedział, wskazując na jej brzuch. Następny ekspert! Miłosierny młodzieniec, któremu nic tak nie leży na sercu jak dobro maluczkich!

– Jak pan tak się martwi o dziecko, to niech mi pan poda kubek wody, bo dziecku chce się pić.

– Już się robi!

Rączo zerwał się z krzesła, wyjął z dystrybutora wody plastikowy kubeczek i nalał do pełna. Gdy wręczał go Agacie, gdzieś w tyle korytarza otworzyły się drzwi.

– Jakby sobie pani coś jeszcze przypomniała, proszę do mnie zadzwonić – powiedziała Renata Bogucka, którą Agata natychmiast rozpoznała po blond kucyku. Wręczyła wizytówkę idącej obok kobiecie, ubranej w szarą, nieforemną kurtkę i musztardowożółtą czapkę.

Tę drugą kobietę Agata też skądś знаła. Nie potrafiła przypisać do tej twarzy żadnego imienia ani nazwiska, ale była pewna, że nieraz już ją widziała. Pewnie mieszka gdzieś w jej okolicach.

– Tak, na pewno tak zrobię – zapewniła kobieta. – Ale nie wiem, co jeszcze mogłabym dodać.

Policjantka położyła jej rękę na ramieniu.

– Rozumiem. I tak dziękuję, że pani przyjechała.

– Nie ma sprawy. To przecież obowiązek w takiej sytuacji. Ja tam za wiele do powiedzenia nie miałam, ale mówi się, że każdy szczegół jest ważny, więc kto wie, może te moje zeznania, czy jak to się tam nazywa, do czegoś wam się przydadzą. Tylko powrót do domu teraz będę miała ciężki. – Zerknęła na zegar. – Tak, do nas to mało co jeździ, a autobus chyba przed chwilą odjechał. Następny dopiero za godzinę... No, ale trudno. Cieszę się, że mogłam pomóc.

– Przepraszam bardzo – wtrąciła się Agata. – Agata Brok. To ja jestem z panią umówiona na teraz – zwróciła się do policjantki. – Ja dużo więcej niż to, co powiedziałam już przez telefon, to nie wiem, więc chyba zbyt długo nie będziemy rozmawiały. A pani – zwróciła się do drugiej kobiety – o ile się nie mylę, mieszka gdzieś niedaleko mnie, prawda? Tam, gdzie zamieszkuje pan Bolesław?

Kobieta wyglądała na tyle znajomo, że założenie, że jest tu w tej samej sprawie, wydawało się uzasadnione.

– Tak – przyznała kobieta. – Właśnie też ze względu na Bolka tu jestem. To ja go znalazłam. Paulina Kluzik, bardzo mi miło. – Podała Agacie

szorstką, spracowaną dłoń. Mocny uścisk kobiety, której praca fizyczna nie jest obca.

– Mnie również. – Agata się uśmiechnęła. – Przyjechałam samochodem, więc może niech pani poczeka tu chwilę, to potem zabierze się pani ze mną.

– Naprawdę? – Paulina zdziwiła się tak bardzo, jakby Agata zaproponowała, że w sumie ten samochód może jej oddać na zawsze, bo na parkingu czekają na nią jeszcze dwa. – No sama nie wiem...

– Przecież to żaden problem! Przyjechałam sama, mam wolne miejsce w samochodzie.

„No, prawie wolne” – dodała w myślach, przypominając sobie stertę starych gazet i toreb po zakupach leżących na siedzeniu pasażera. Trochę wstyd zapraszać kogoś do takiego zabałaganionego samochodu, ale trudno, słowo się rzekło. Wewnętrzny kompas moralny Agaty jasno wskazywał, że lepiej skazać samą siebie na odrobinę wstydu niż Paulinę Kluzik na czekanie na przystanku przez godzinę na mrozie.

– No to świetnie się składa! – poparła ją policjantka. – Takich okazji nie należy marnować. A pani niech nie każe się prosić, jak sąsiadka pomoc proponuje!

– No tak, tak, macie panie rację – przyznała Paulina. – To ja w takim razie tu poczekam.

– Czyli ustalone. Nie traćmy zatem czasu. Zapraszam panią za mną.

Renata zaprowadziła Agatę do pokoju, z którego przed chwilą wyszła z Pauliną.

Pomieszczenie w niczym nie przypominało pokojów przesłuchań, jakie Agata widywała w serialach kryminalnych. A może to wcale nie był pokój przesłuchań? Trudno powiedzieć, w każdym razie nie było tu żadnego lustro weneckiego, które wzbudzałoby w przesłuchiwanym lawinę przypuszczeń, kto też przysłuchuje się jego zeznaniom, ani sporego stołu, na którym policjant mógłby w kluczowym momencie rozłożyć pogrążające dowody. W tym pokoju na ścianie wisiał trójdzielny kalendarz z dzisiejszą datą zaznaczoną czerwoną rameczką, na małym stoliku w rogu stał czajnik elektryczny, kilka pudełek z herbatami, kawa rozpuszczalna, cukierniczka, a nawet cytrynka w płynie. Pod ścianą stare, zniszczone, typowo urzędowe szafki z paździerza i półki zapełnione napęczniałymi teczkami i

segregatorami. W powietrzu unosił się zapach tanich konwaliowych perfum. Policjantka zaprosiła Agatę, żeby usiadła przy niewielkim stoliczku.

– Proszę, niech się pani rozbierze. Wodę widzę, że już pani dostała, ale może napije się pani herbaty albo kawy?

– Nie, dziękuję, woda mi wystarczy – odparła Agata, wyplątując się z kurtki.

– Przepraszam, że prosiłam, by pani przyjechała. Nie wiedziałam, że pani jest w tak zaawansowanej ciąży. Może rzeczywiście mogłyśmy załatwić to przez telefon.

„Olśnienie rychło w czas!” – pomyślała Agata, ale na głos powiedziała:

– Nie, nie, żaden problem. Ale jak już jestem, to może byśmy to sprawnie załatwiły, bo rzeczywiście chciałabym się już położyć. Ten gigant jednak trochę mi ciąży. – Pogłaskała się po brzuchu.

– Dobrze, więc niech pani powtórzy, co pani usłyszała. – Policjantka usiadła i wyjęła z kieszeni mały czarny notes i zwykły pomarańczowy długopis BiC. Uwagę zwracały jej wprawdzie krótko obcięte, ale bardzo zadbane paznokcie. Do tego dochodził dyskretny, ale staranny makijaż. Widać było, że policjantka lubi czuć się kobieco.

Rozmowa przebiegała sprawnie i szybko. Agata raz jeszcze zrelacjonowała swoją rozmowę ze Zbigniewem. Renata co i rusz coś sobie notowała.

– Dobrze, a więc nie zna pani nazwiska tego mężczyzny?

– Nie, nie znam. Dziś pierwszy raz z nim rozmawiałam. Ale z tego, co wiem, to on pod tym sklepem często siedzi. Pewnie tam go państwo znajdą. A jeśli nie, to warto zapytać sklepikarza. Powinien wiedzieć, gdzie ten mężczyzna mieszka i jak się nazywa.

– Okej, tak zrobimy, dzięki – odparła policjantka z lekkim przekąsem. – Ale mówi pani, że nie będzie chciał z nami rozmawiać?

Agata wzruszyła ramionami.

– Tego nie wiem. Wiem, że nie chciał sam się do państwa zgłosić. Bał się, że państwo go nie wysłuchają albo zaczną czegoś na niego szukać.

Policjantka pokręciła głową.

– I dlatego nie chce powiedzieć, że widział coś, co może wskazywać, że jego przyjaciel został zamordowany? Naprawdę, ciężko czasem zrozumieć

niektórych ludzi... No, ale dobrze. Dobrze, że pani o tym powiedziała. Pojadę do niego w cywilnym ubraniu, to może nie ucieknie na sam mój widok. Tylko niech go pani nie uprzedza, bo jeszcze zacznie nam się chować!

– Nie uprzedzę! Choć wspominałam mu...

– Tak?

– Kiedy powiedział, że sam się nie zgłosi, uprzedziłam go, że w takim razie będę musiała powtórzyć policji to, co powiedział.

Policjantka spojrzała na nią z kiepsko skrywaną irytacją, ale po chwili westchnęła i powiedziała:

– Trudno. Tego nie cofniemy. Ale niech pani więcej go już nie ostrzega. Rozumiemy się?

– Rozumiemy – odparła Agata, spuszczać głowę. Było jej wstyd, że tak głupio się zachowała. Wtedy wydawało jej się, że poinformowanie mężczyzny o jej planach było po prostu uczciwym postawieniem sprawy. Teraz widziała, że nawet jeśli było uczciwe, to z pewnością nie najmądrzejsze.

– Najlepiej w ogóle niech z nim pani nie rozmawia, póki my tego nie zrobimy, a postaramy się to zrobić jeszcze dziś.

– Mogę potem do pani zadzwonić i zapytać, czy to coś dało?

Renata Bogucka rzuciła jej uważne spojrzenie.

– Nie mogę pani zdradzać szczegółów śledztwa. Pani, o ile wiem, nawet nie znała zmarłego, prawda?

– Prawda. – Agata znów spuściła wzrok, tym razem zawstydzona swoją ciekawością. Rzeczywiście, z jakiej racji policjantka miałaby zdradzać jej, czego się dowiedzą? Tylko po to, żeby zaspokoić jej ciekawość? Dobre sobie!

– Ale gdyby jeszcze coś interesującego wpadło pani w ucho, niech pani dzwoni śmiało. Tak jak powiedziała pani nowa koleżanka, każdy szczegół jest ważny. No, a teraz nie będę pani już dłużej zatrzymywać.

Agata wstała i założyła kurtkę. Przed wyjściem zagadnęła:

– Ale jedną rzecz może mi pani powie, pani Renato.

– Tak?

– Czy w świetle tego, czego udało wam się dotychczas dowiedzieć,

patrzycie na tę sprawę jak na morderstwo czy raczej jak na zwykły wypadek?

Policjantka patrzyła na nią chwilę w milczeniu, pewnie rozważając, jak wiele może i chce jej powiedzieć.

– Na razie z naszego punktu widzenia to raczej wypadek – powiedziała w końcu. – To, z czym pani teraz przyszła, to pierwsza przesłanka świadcząca, że może się za tym kryć coś więcej. Ale najpierw musimy porozmawiać z tym panem Zbigniewem. Nic pani nie ujmując, wie pani przecież, jak to jest z takimi wiadomościami z drugiej ręki. Nietrudno o jakieś przeinaczenie. Ale jeśli on potwierdzi, że rzeczywiście tamtej nocy widział drugą osobę idącą za panem Skowronem, będziemy rozważać przekwalifikowanie tej sprawy. A! I jeszcze jedno! Zapomniałabym na śmierć!

– Tak?

– Niech pani opisz mi trochę tego pana Zbigniewa.

Policjantka znów wyjęła swój notesik i skrupulatnie notowała wszystkie szczegóły wyglądu mężczyzny, które Agata zdołała wydobyć z pamięci.

– No dobrze, to teraz wiemy mniej więcej, kogo szukać – skwitowała policjantka, zamykając notes i chowając go do tylnej kieszeni dzinsów. – W takim razie z mojej strony to na chwilę obecna wszystko. Nie wykluczam, że może jeszcze będę musiała się z panią skontaktować, ale obiecuję, że dwa razy się zastanowię, zanim znów panią tu ściągnę. – Kobieta uśmiechnęła się miło.

Agata pomyślała, że to aż dziwne, że to ta sama osoba, która potrafiła poradzić sobie ze zdenerwowanym bratem Bolka. Była mającą wszystko pod kontrolą policjantką, najbardziej kompetentną przedstawicielką tego zawodu, jaką Agata dotychczas spotkała, a teraz wyglądała jak zwykła, sympatyczna dziewczyna, z którą Agata łatwo mogłaby się zaprzyjaźnić. Pewnie dlatego, wkładając swą monstrualną kurtkę, odważyła się zagadnąć:

– Pewnie nie ma pani łatwo w tym zawodzie, prawda?

Na twarzy Renaty Boguckiej odmalowało się szczere zdziwienie.

– Ja nie mam łatwo? Wydaje mi się, że bycie policjantem z definicji nie jest szczególnie łatwe...

Agata szybko zrozumiała, że policjantka nie ma zamiaru roztrząsać z nią tematu uprzywilejowanej pozycji mężczyzn w tej profesji. Cóż – kolejny

dowód jej profesjonalizmu. Trzeba było jednak jakoś wybrnąć, więc powiedziała:

– No tak, ale z tego, co zdążyłam się zorientować, to radzi tu sobie pani chyba najlepiej. Tam, gdzie znaleziono Bolesława, to pani udało się opanować brata zmarłego. Pani kolega nie dałby sobie rady. A teraz, ten drugi tutaj, żartował sobie z mojego nazwiska. Wyobraża pani sobie?

– Proszę wybaczyć. Po prostu niefortunnie pani trafiła. Akurat tych dwóch jest świeżo po szkole policyjnej i jak to ze świeżymi absolwentami bywa, sporo się jeszcze muszą nauczyć, ale... – Oczy policjantki zwęziły się, a uśmiech zniknął z twarzy. – Skąd pani wie, jak sobie poradziłam przy miejscu znalezienia pana Skowrona? – Notes błyskawicznie znalazł się w jej ręce, a palce szybko przerzucały kartki, aż zatrzymały się na jednej z nich. – Właśnie, tak mi się wydawało! Nie podała pani wtedy swojego nazwiska, a przecież wyraźnie mówiliśmy, by każdy ze zgromadzonych podał swoje dane. Jak pani to wytłumaczy?

– Ja... ja nie sądziłam, że mogłabym mieć coś wartościowego do dodania. Znalazłam się tam przez przypadek. Ja nawet nie znam tych ludzi! Mieszkam tam zaledwie od trzech miesięcy i po prostu poszłam do sklepu po serek. Doszłam na to miejsce tuż przed państwa odjazdem. Nie chciałam, by mnie bez sensu ciągnano po komendach...

I to był jeden z tych momentów, gdy pragnęła zapaść się pod ziemię. Jak to możliwe, że ona, która zawsze uważała się za dość rozgarniętą, dziś strzela gafę za gafą? Miała tego dość. Postanowiła, że wróci do domu i już do końca dnia, a najlepiej do porodu, nie będzie wchodzić z nikim w żadne dyskusje. Czowała, że otwieranie ust może jej tylko zaszkodzić. Chociaż przecież zrobienie jednej głupoty (okej, może kilku...) jeszcze nie czyni z człowieka półgłówka. Była gotowa założyć się, że Einstein też nieraz powiedział coś głupiego, a Maria Skłodowska-Curie spaliła niejednego czajnik. Więc może jest jeszcze dla niej jakaś nadzieja? Ale jeśli jakaś sprawa była przegrana, to na pewno była to luźna pogawędka z miłą panią policjantką.

– Hmm... – mruknęła Renata Bogucka. – Gdyby wtedy się pani zgłosiła, pamiętałabym, że pani jest w tak zaawansowanej ciąży i pewnie nie ciągnęłabym pani tutaj. Jak pani widzi, uczciwość jednak popłaca.

Zwłaszcza uczciwość w stosunku do policji.

– Tak, przepraszam... – Czuła się jak mała dziewczynka, która dostaje burę, i było jej w tej roli bardzo niewygodnie. Ale dalsze poszukiwanie argumentów na swoją obronę byłoby zupełnie bez sensu. – To może ja już pójdę. Do widzenia.

– Do widzenia – odparła policjantka, nadal bez uśmiechu. Nie odprowadziła jej też do wyjścia.

Gdy Agata była już na korytarzu Renata Bogucka zawołała za nią:

– Pani Agato!

– Tak?

– Proszę od tej chwili nie kontaktować się z panem Zbigniewem.

Rozumiemy się?

– Rozumiemy.

Agata odwróciła się i usłyszała za plecami głuchy odgłos zamykanych drzwi.

15

Paulina Kluzik siedziała, wciąż ubrana w kurtkę. W dłoniach miętoszyła czapkę. Na widok Agaty poderwała się z krzesła.

– Rzeczywiście, szybko pani poszło – zauważyła.

– Tak. Nie miałam zbyt wiele do powiedzenia.

Szybko pożegnawszy się z siedzącym za kontuarem policjantem, wyszły z komendy i ruszyły w stronę smarta Agaty. Agata pierwsza weszła do środka i możliwie szybko zgarnęła z siedzenia pasażera stare gazety, ulotki i inne śmieci, które dawno temu powinna była wyrzucić. Wrzuciła je do bagażnika i dopiero wtedy otworzyła drzwi Paulinie.

– Przepraszam za bałagan – powiedziała z niepewnym uśmiechem. – Jakoś nie mogę się zabrać, by tu posprzątać.

– Tak, tak, pogoda teraz nie bardzo sprzyja – kurtuazyjnie potwierdziła Paulina. – Jak jest tak zimno, to pewnie ostatnie, o czym człowiek myśli, to wyjść i posprzątać samochód. Zwłaszcza w pani stanie.

Ruszyły. Samochodów nie było dużo, ale ulice były śliskie, więc jechały dość wolno. Po chwili zaczął jeszcze padać gęsty śnieg. Płatki spadały na szybę w dużych zbitkach i wokół momentalnie zrobiło się białe. Agata skupiła się na tym, by nie doprowadzić do wypadku. Warunki były niesprzyjające, dziecko znów zaczęło się wiercić, a ona była dodatkowo nieco wytrącona z równowagi rozmową z policjantką. Źle to wyszło, oj źle. Te wszystkie czynniki sprawiały, że ostatnie, na co miała ochotę, to nic niewnosząca pogawędka z obcą osobą. Ale cóż, sama zaprosiła Paulinę, a niegrzecznie byłoby wieść ją w grobowej ciszy i z naburmuszoną miną. Zagadnęła ją więc na jedyny temat, jaki przyszedł jej do głowy:

– A pani dobrze знаła tego Bolka?

– Nie, tak dobrze to nie. Trochę oczywiście tak, no bo wie pani, jak to u nas jest. Wszyscy trochę się znają. Ale ja jestem, to znaczy byłam, kilka lat starsza od niego, więc jak byliśmy dziećmi, to w ogóle się ze sobą nie trzymaliśmy. Potem, jak człowiek dorasta, to wiek niby już nie gra takiej

roli, ale i tak jakoś tak raczej się mijaliśmy. Nawet nie wiem, czy kiedyś pogadałam z nim jakoś bardziej niż zwykle „cześć – cześć”. – Wydęła dolną wargę i wyjrzała za okno. – Nie, chyba nigdy. Ale i tak, wie pani, jak się kogoś widuje całe życie, to nawet jak nie jest się z nim blisko, to i tak człowiek tę śmierć przeżywa. Nie jest tak, że spływa to po człowieku jak po kaczce.

– Na pewno. – Agata pokiwała głową, nie odrywając wzroku od jezdni. – Tym bardziej jak się go znalazło.

– No tak, tak... – Paulina energicznie pokiwała głową. – Ja na początku to w ogóle, jakby mi rozum odebrało. W ziemię mnie wryło, no mówię pani, jak słup soli stanęłam i ani wte, ani wewte. Zupełnie nie wiedziałam, co mam robić. A potem dawaj, kopać, raz-dwa, próbować ratować, wyciągnąć go z tej zasy, ale to przecież wiadomo było, że nic z tego nie będzie. Jak leży człowiek taką warstwą śniegu przysypany, to choćby nie wiem jak był ubrany, to nie ma szans, no nie ma szans, by ujść z czegoś takiego z życiem.

– Racja...

– No więc zaraz potem, jak go odkopałam i zobaczyłam tę jego siną twarz, szarą, niebieskawą, zupełnie bez życia... Te brwi w śniegu, oczy w półprzymknięte, matowe i niewidzące, to zaczęłam ludzi wołać, ale nikt nie szedł akurat, a okna teraz każdy szczelnie zamyka, żeby ziąb po chałupie nie hulał, to i nikt mnie nie usłyszał. Pobiegłam więc do domu i zadzwoniłam na policję. Przyjechali szybko, nie mogę powiedzieć. I policja, i karetka była. Choć ta karetka to, rzecz jasna, bez potrzeby, niestety. No ale przyjechali. Powiedziałam im, co miałam do powiedzenia, a potem pojechałam do roboty.

– A pani zawsze tak rano wychodzi? – Dała o sobie znać żyłka detektywistyczna.

– Ja tak! Bo ja do roboty na siódmą rano jadę, a zanim dojadę, to z czterdzieści minut trzeba liczyć, a w taką pogodę to nawet godzinę. A przedtem przecież i odśnieżyć trzeba przed domem. Ja sama jestem, męża nie mam, więc muszę sama się tym zająć. I niektórym innym też odśnieżam. Tak sobie dorabiam troszkę.

– To rzeczywiście wcześniej pani musi wstawać.

– Wiadomo, samotnej kobiecie nie jest łatwo, trzeba sobie jakoś radzić...

– A ta praca to gdzie? Daleko pani jedzie?

– A, w zasadzie prawie w samym centrum. W sklepie spożywczym pracuję. Niby o ósmej otwieramy, ale wcześniej dostawy trzeba odebrać, sprzątnąć trochę. Roboty nigdy nie brakuje. No i na siódmą trzeba być! A pani, jeśli można spytać, to w jakiej sprawie na policję przyjechała? Bo pani przecież od niedawna chyba u nas mieszka, to i wiedzieć dużo nie może.

– Prawda. – Agata zaśmiała się z tej bezpośredniości. Postanowiła jednak, nauczona doświadczeniem, nie kłapać jęzorem tam, gdzie nie trzeba, odpowiedziała więc zdawkowo: – Ale w jakiej sprawie byłam, to chyba nie bardzo mogę mówić. Sama pani wie, jak to jest: policja kazała milczeć, to trzeba słuchać!

– A tak! Oczywiście! Skoro tak, to nie dopytuj! Najważniejsze, żeby tam wszystko dobrze wyjaśnić, jak to było. O! A czy to nie nasza ulica już? No, samochodem to zupełnie inna jazda niż autobusem. Gdyby pani nie była taka miła, to pewnie jeszcze bym na przystanku czekała! Naprawdę, ślicznie pani dziękuję za tę podwózkę!

– Trzeba sobie pomagać. – Uśmiechnęła się do niej Agata.

– O! A to już mój dom! Jakby pani mogła się zatrzymać. – Pobocza były zasypane zwałami śniegu, więc Agata stanęła po prostu na środku drogi. Na szczęście nic za nimi nie jechało. – Och! I znowu trzeba będzie odśnieżać!

– Cóż zrobić, pani Paulino! Taki los!

– Taki los... – potwierdziła Paulina, wygrzebując się z samochodu.

Czajnik wyłączył się z cichym pstryknięciem, oznajmiając, że już tylko kilka minut dzieliło Agatę od momentu, gdy będzie mogła wypić ciepłą herbatę z miodem. Uśmiechając się pod nosem, zalała zaparzaczkę wypełnioną ulubionymi listkami, po czym rozpuściła w wodzie łyżeczkę miodu, w błogim poważaniu mając fakt, że właśnie zabija chyba całe dobro, jakie miał w sobie miód.

Już dawno nic jej tak nie ucieszyło jak fakt, że pan Andrzej w końcu przykleił płytki w odpowiedniej konfiguracji. Jeszcze kilka tygodni temu potraktowałaby to jak najbardziej naturalną kolej rzeczy, a teraz proszę – w jej oczach był to prawdziwy bonus! To jest w właśnie plus trudnych sytuacji: gdy życie trochę cię doświadczy, znów zaczynasz cieszyć się z czegoś, co w innych okolicznościach zostałoby uznane za coś oczywistego. Ale by nie było za różowo, wychodząc, poinformował, że jutro go nie będzie. Ważne sprawy rodzinne. Drugi raz w ciągu trzech tygodni. Cóż, przynajmniej będzie miała trochę swobody...

Wyjrzała przez okno. Ogród był jedną wielką czarnogranatową plamą. Trzeba będzie pomyśleć nad jakimś oświetleniem na zewnątrz... Ciekawe, kiedy wróci Kermit? Dochodziła dwudziesta, lada moment powinien być. Może jakiś film by sobie obejrzała? Pograżona w rozmyślaniach, z kubkiem w ręce ruszyła w stronę stołu, na którym stał komputer.

Gdy za jej plecami zadzwonił telefon, podskoczyła, rozchlapując gorącą herbatę. Parę kropel skapnęło jej na dłoń, ale nigdy nie była wybitnie wrażliwa na wysokie temperatury. Bardziej wkurzyło ją to, że zalała sweter i będzie musiała się przebrać. Strata tym większa, że wcale nie miała wielu swetrów, w które jeszcze się mieściła...

– Cholera jasna! – burknęła, odstawiając kubek na stół, i pobiegła po telefon. – Halo! – niemalże krzyknęła do słuchawki.

– Boże, co się stało? – spytał zdziwiony jej agresywnym tonem Kermit.

– Nic, nieważne. – Agacie nie chciało się tego tłumaczyć. – Poczekaj

chwile. – Ściągnęła mokry sweter i sięgnęła po leżący na kanapie koc, który narzuciła sobie na ramiona. Dopiero wtedy wróciła do rozmowy. – No, co tam? Kiedy będziesz?

– Oj, nie wiem, niestety.

– Kermit! Jest dwudziesta! – Odparła nieco bardziej wzburzonym głosem, niż chciała. Dla upewnienia zerknęła jeszcze na zegarek, ale była dwudziesta jak byk! Nawet pięć po!

– Tak, wiem, ale jeszcze dziś muszę iść na tę kolację, pamiętasz?

– Faktycznie...

– Słuchaj, ale dzwonię w zupełnie innej sprawie. Prosiłaś mnie, żebym rozejrzał się po sieci za jakimiś informacjami o Bolesławie...

Agata w mig zapomniała o złości z powodu rozlanej herbaty i perspektywy samotnego wieczoru.

– No i co? No i co? – dopytywała, oczekując jakiejś bomby. Bo przecież nie dzwoniłby, gdyby nie miał nic ciekawego do przekazania. – Dowiedziałeś się czegoś?

– Takiego bardzo ciekawego to chyba nie, ale miałaś rację, mówiąc, że może nie był takim zwykłym pijaczkiem. Otóż okazuje się, że Bolesław Skowron studiował, i to nie byle co, tylko matematykę na politechnice.

– Hmm... No dobra, ale to jeszcze chyba żadna sensacja...

– Niby nie, ale z tego, co udało mi się dowiedzieć, to miał spore zdolności w tym kierunku. Miał doskonałe oceny, jako student publikował artykuły w krajowych czasopismach, a nawet z jednym profesorem napisał artykuł w wysoko punktowanym czasopiśmie zagranicznym.

No, to już było coś! Agata pamiętała ze studiów, że czasopisma naukowe mają swoją punktację. Im bardziej restrykcyjne reguły przyjęcia artykułu, bardziej wymagający recenzenci, tym wyższa punktacja. A publikacje w wysoko punktowanych periodykach przekładają się na prestiż jednostki naukowej oraz oczywiście samego autora. Największy splendor wędruje do pierwszego autora, ale współautorom też oczywiście skapuje nieco chwały. Każdy pracownik naukowy byłby usatysfakcjonowany taką publikacją, a co dopiero student! Znalezienie się wśród współautorów było niemałym zaszczytem, i to na pewno zasłużonym. Zdarza się, że ktoś wciąga na listę autorów jakieś znane nazwisko, by podkreślić prestiż artykułu i zwiększyć

szanse na publikację, ale w przypadku studentów rzecz jasna nie ma tego typu motywacji. Musiał się naprawdę przyłożyć, żeby się tam znaleźć.

– Pamiętasz, jak się ten profesor nazywał?

– Majewski. Bohdan Majewski.

Agata szybko sięgnęła po kartkę i długopis i zapisała nazwisko, zanim uleciało jej z pamięci.

– Sprawdziłem i wygląda na to, że nadal wykłada na politechnice. Ten artykuł też mam. Mogę ci podesłać, jeśli chcesz, ale to jakiś bardzo hermetyczny temat. Zacząłem to czytać, co prawda odpadłem przy drugim akapicie, ale jeśli masz ochotę...

– Pewnie, podeslij. – Agata nie miała zamiaru próbować go zrozumieć. Matematyka nigdy nie przychodziła jej z łatwością, może poza geometrią, więc próba czytania wysoce specjalistycznego artykułu naukowego z tej dziedziny, i to jeszcze po angielsku, była z góry skazana na porażkę. Ale zawsze lepiej mieć go pod ręką niż nie mieć. Tym bardziej że rzeczywiście wyglądało to dość dziwnie... – Czyli mówisz, że opublikowali ten artykuł, ale co było dalej? Skończył te studia?

– No właśnie nie skończył. Krótco po opublikowaniu tego artykułu skreślono go z listy studentów. Nie wiem czemu. Czy coś przeszkrobał? Czy nie wywiązywał się z obowiązków? Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wykreślili go i to był koniec jego kariery naukowej. W zasadzie koniec jakiegokolwiek kariery. Znalazłem jego konto bankowe, z którego korzystał chyba ze dwadzieścia lat, no i jasno z niego wynika, że niedługo potem zatrudnił się w jakiejś drukarni. Pracował tam dziesięć lat, a potem nie zahaczył się na stałe już nigdzie. Od czasu do czasu dostawał jakiś przelew, ale rzadko to były jakieś dorywcze prace, częściej różnego typu zasiłki. Żadne większe kwoty się tam nie przewijały, więc jeśli rzeczywiście ktoś targnął się na jego życie, to raczej nie stał za tym motyw finansowy. Chyba że w grę wchodziła gotówka, ale tu już nie pomogę.

– I tak dużo się dowiedziałeś.

– Zrobiłem, co mogłem. Na szczęście udało mi się poświęcić temu trochę czasu, ale teraz już naprawdę muszę zmykać, choć wierz mi, wiele bym dał, by wrócić do ciebie do domu.

– Oj, ja też wiele bym dała, żebyś wrócił. Postaram się nie zasnąć do

twojego powrotu.

– Już to widzę! – Kermit się roześmiał. – Stawiam zmywanie przez miesiąc, że jak dojadę do domu, to już przy bramie będę słyszał, jak chrapiasz.

– Ja nie chrapię! Przez trzydzieści lat ani razu nie słyszałam własnego chrapania! Ale zakładu nie przyjmuję, bo może się zdarzyć, że strudzona ciężkim dniem jednak zasnę.

Wiedziała, że zaśnie na pewno. Ostatnio chodziła spać wcześniej jak dziecko.

– Istotnie, przychyliłam się do opinii, że takie przypuszczenie nie jest zupełnie bezzasadne – odparł ze śmiechem Kermit. – To pa, naprawdę muszę już kończyć.

– Pa!

Agata odłożyła telefon i wypła łyk herbaty, która przez ten czas zdążyła zupełnie wystygnać. Wylewając ją do zlewu, pomyślała, czy nie powinna zadzwonić do Renaty Boguckiej i opowiedzieć jej o tym, czego dowiedział się Kermit. Szybko jednak odrzuciła tę myśl. Co takiego miałyby jej powiedzieć? Nie miała przecież żadnych konkretów. Wyjdzie tylko na wścibską babę. To nie była też wiedza tajemna. Policja prędzej czy później sama dotrze do tych informacji.

Plan dyżurów wykładowców powinien być chyba na stronie internetowej wydziału. Sprawdzi, kiedy Bohdan Malinowski będzie dostępny i może się do niego wybierze, żeby go poinformować o śmierci Bolesława, a przy okazji wypytać trochę o to, w jakich okolicznościach tak dobrze zapowiadający się student zrezygnował z dalszej nauki. Może wybierze się też do tej drukarni? Być może, ale to wszystko w drugiej kolejności. Na poranek miała zupełnie inne plany...

P aździernik 1994 roku

Bolek stał oparty plecami o mur szkoły i obserwował stojących na boisku uczniów. Miał ogromną ochotę wyciągnąć z plecaka papierosy i zapalić, ale wiedział, że nie może sobie na to pozwolić. Przerwa była za krótka, żeby pójść za sąsiedni blok i zakurzyć. Może na następnej się uda. Teraz miała być matematyka, a matematyk nie tolerował spóźnień. Cóż, dobra okazja, żeby sobie popatrzeć na tych buców z klasy.

Od początku roku szkolnego minęło już półtora miesiąca. Przez ten czas przywdziane na początku pierwszej klasy maski zdążyły się już trochę poobsuwać. Potworzyły się też grupki, tak żałośnie typowe dla każdej klasy. Trzy najatrakcyjniejsze dziewczyny trzymały się razem i patrzyły na wszystkich z góry. No, prawie na wszystkich, poza dwoma chłopakami, którzy mieli dzianych rodziców i dobrze grali w piłkę. Naprawdę, żenujące. Było kilka dziewczyn kujonek, choć trochę niedorobione z nich te kujonki, skoro wylądowały w takiej szkole jak ta – praskim liceum z dolnej ćwiartki stołecznego rankingu. Ale jak dostawały piątki, to głowy nosiły wysoko, że ho, ho! Jakby normalnie Harvard skończyły. Kilku chłopaków zgadało się, że lubią gry RPG i cały czas o tym gadali, a po lekcjach spotykali się na wspólne granie. A Bolek wciąż trzymał się z boku. Ani on nie szukał towarzystwa, ani do niego nikt się nie garnął. Bardzo mu to odpowiadało. Świeżo zdobytą anonimowość chronił niczym najcenniejszy skarb.

Zastanawiał się, czy to aby na pewno była dobra decyzja, żeby wybrać tę szkołę. Początkowo chciał iść do jakiejś zawodówki, żeby szybko zdobyć jakiś fach, znaleźć robotę i uniezależnić się od rodziców. Jego dotychczasowa kariera edukacyjna jasno wskazywała, że profesora to z niego nie będzie. Ale Wojtek cisnął go, żeby zdawał do liceum. „Maturę zawsze warto mieć” – powtarzał. – „Nie musisz iść do nie wiadomo jakiego liceum. Znajdę ci takie, które da się skończyć bez większego problemu” –

przekonywał, a Bolek w końcu się zgodził. Często kłócił się z bratem, ale tak naprawdę cenił jego zdanie. Wiedział, że Wojtek nie jest głupi, a swojej mądrości nie był już taki pewien.

Przez uczniowski gwar przebił się świdrujący uszy dzwonek. Kurwa! Jakby nie mogli tego przyciszyć! Przecież to nie szkoła dla niedosłyszących! Bolek odkleił plecy od muru i ruszył do szkoły.

Ze stoickim spokojem wszedł do sali i zajął miejsce w ostatniej ławce. Bardziej z przyzwyczajenia niż dla stwarzania pozorów wyjął z plecaka zeszyt i długopis. Nie miał odrobionych lekcji, zresztą jak zwykle. Był przekonany, że nawet gdyby spróbował do tego usiąść w domu, i tak nic by z tego nie wyszło. A bratu nie chciał zawracać głowy. Pozostali uczniowie usiedli w ławkach i nauczyciel rozpoczął lekcję.

– No dobrze, moi drodzy – rzekł nauczyciel, patrząc na nich spod opuszczonych na czubek nosa okularów. Jego ciemne oczy pod krzaczastymi czarnymi brwiami kontrastowały z bielusieńkimi włosami. Chuda, żylasta postura dobrze pasowała do jego nazwiska, Maciej Patykowski. Uczniowie zwali go po prostu Patykiem. Nie był szczególnym postrachem, ale też nie dawał sobie wchodzić na głowę. – To dzisiaj w takim razie będziemy kontynuowali nasze ukochane nierówności kwadratowe. W domu na pewno wszyscy sobie je pięknie poćwiczyli i dziś na lekcji utrwalimy to, co już wiemy.

– I w koło Macieju to samo – scenicznym szeptem powiedział klasowy błazen, Tomek, w niewybredny sposób żartując z imienia nauczyciela. Po sali przebiegł nieśmiały chichot. Ot, tyle żeby nie wyjść na tchórzliwego lamusa, ale też żeby nie wybić się na tle klasowego chóru.

Patykowski przygwoździł prowodyra spojrzeniem.

– O! Widzę, że pan Tomasz zgłasza się na ochotnika! Zapraszam, zapraszam do tablicy. Proszę się nie krępować.

Patykowski napisał kredą nierówność, a uczeń, wprawdzie niezbyt szybko i z kilkoma podpowiedziami, ale w końcu sobie z nim poradził. Bolek nawet nie próbował tego słuchać ani przepisywać do zeszytu. Zerknął na zegarek. Minęło dopiero piętnaście minut lekcji. Jezu, jak ten czas się wlecze!

– Siadaj, Tomek. Za takie rozwiązanie to ci mogę trójkę postawić. Co ty na to?

– No pewnie, że biorę! Dobra trójka nie jest zła! – Ucieszony uczeń odłożył kredę i wyciągając ręce do góry w geście zwycięstwa, wrócił do ławki.

– To kogo by tu jeszcze zaprosić? – Nauczyciel zajrzał do dziennika i przez dłuższą chwilę błędził wzrokiem po dotychczasowych ocenach uczniów.

Dwie kujonki z pierwszej ławki wpatrywały się w niego z nadzieją, że właśnie je poprosi do tablicy, pozostali trwali w napięciu, modląc się, by to nie na nich padło tym razem, a Bolek spokojnie wyglądał przez okno.

– O! Może Bolek Skowron. – Patyk spojrział na niego. – Ocenę jak dotąd niespecjalne, może uda się coś poprawić. Zapraszam, zapraszam.

Po klasie przebiegło zbiorowe westchnienie ulgi. Przez te półtora miesiąca nauczyli się już, że jak Bolek idzie do tablicy, to na pewno zostanie tam do końca lekcji i oni mogą już czuć się bezpiecznie. Patykowski wstał, startł tablicę i przepisał z książki nowe równanie. Bolek w tym czasie podszedł i wziął do ręki mały kawałek kredy. Nauczyciel odłożył książkę, otrzepał ręce i rozsiadł się wygodnie na krześle.

Bolek odwrócił się tyłem do klasy i utkwiał wzrok w tablicy. Myślał o tym, czy po drodze do domu kupić sobie drożdżówkę i jogurt, czy raczej szarpnąć się na zapiekankę. Zaraz koło przystanku była budka z fantastycznymi zapiekankami i niespecjalnie chujowym keczupem.

– No i co, Bolek? Nie masz żadnego pomysłu na to, jak zacząć?

Z tyłu rozległy się chichoty. Zabawne, że najgłośniej chichotali ci, którzy jeszcze chwilę wcześniej prawie zesrali się ze strachu, że sami wylądają pod tablicą.

– Nie bardzo, panie profesorze.

– To może spróbuj tak... – Patykowski zaczął mu dyktować pierwsze przekształcenia.

I tak, na mozolnym brnięciu przez rozwiązanie, minęła reszta lekcji. Bolek, ciągnięty za język, nie dodał nic od siebie. Nie umiał odpowiedzieć na żadne pytanie. Gdy rozległ się dzwonek, nawet nie czekał na informację, jaką ocenę dostanie za ten występ. Odpowiedź była przecież oczywista. Odłożył kredę i poszedł po plecak. Spakował zeszyt i długopis i ruszył do wyjścia.

– Bolek! – zawołał go nauczyciel. – Pozwól no na chwilę.

Gdy klasa opustoszała, Patykowski wskazał mu miejsce w pierwszej ławce.

– Siadaj – powiedział, a Bolek posłusznie zajął miejsce. – Bolek, widzę, że z matematyką ci nie po drodze. Zresztą jak przejrzałem sobie dziennik, to z innymi przedmiotami jest niewiele lepiej. Ja nie zamierzam zatruwać ci życia. Nie chcesz się uczyć, twój wybór. Ale nie zamierzam marnować kolejnych lekcji w ten sposób, bo to nie jest potrzebne ani mnie, ani tobie, ani reszcie klasy. Dwójki za nicnierobienie też ci nie mogę postawić. Mam więc dla ciebie pewną propozycję. Zrobimy tak. Jeśli nie zamierzasz się uczyć, to ustalmy już teraz, że po prostu nie zdajesz. Na moich lekcjach siadasz sobie z tyłu, czytasz jakąś książkę, komiks czy po prostu wyglądasz przez okno. Mnie to nie interesuje. Ty nie przeszkadzasz mnie, ja nie robię ci wiochy przy kolegach, zapraszając cię do tablicy, a na koniec roku dostajesz uczciwą pałę. Jest też druga możliwość. Możemy umówić się tak, że zadam ci konkretny temat. Jeden temat do nauczenia się. Powiedzmy na za tydzień. Może być na za dwa tygodnie – dodał szybko, widząc minę Bolka. – Jeśli chcesz, możesz do mnie w tym czasie przychodzić po lekcjach. Pomogę ci go opanować. I po tym tygodniu, czy kiedy tam będziesz to umiał, zaproszę cię na lekcji do tablicy. Ty rozwiązujesz zadanie, piszesz z tego samego klasówkę na jakąś tam choćby i tróję, a ja na koniec roku stawiam ci dwójkę. Niczego więcej nie będę od ciebie na tę dwóję wymagał. Tylko ten jeden temat. Co ty na to?

Bolek uważnie wpatrywał się w nauczyciela, próbując dociec, o co mu tak naprawdę chodzi. Nie ma w tym żadnego podstępu? Naprawdę chodzi tylko o jeden temat? Układ wydawał się korzystny. Jedną rzecz chyba uda mu się opanować, a potem będzie miał już spokój. Matka nie będzie się czepiała, Wojtek nie będzie jojczył, że Bolek znowu coś zawalił. Może i warto spróbować?

– Zgoda – mruknął.

– Zgoda na co?

– Zgoda na tę opcję z dwójką na koniec.

Nauczyciel kiwnął głową.

– W porządku. To może te równania byśmy poćwiczyli. Zapraszam cię do

tej sali po lekcjach. Będę czekał.

Bolek przyszedł. A potem przychodził już codziennie.

Efekty nauki były zaskakujące. Okazało się, że Bolek, gdy zmienił nastawienie, dość szybko pojął, o co w tych równaniach chodzi. Do tej pory nawet nie próbował tego rozumieć. Od razu założył, że to nie dla niego, że to za trudne. Ale teraz, przekonany przez nauczyciela, że naprawdę da radę się tego nauczyć i że jak pojmie tę prostą rzecz, będzie miał już spokój, naprawdę skupił się na tym temacie. Łączył ze sobą różne fakty i starał się samodzielnie myśleć, naprawdę zrozumieć, co za tym wszystkim stoi. Patykowski musiał cofnąć się trochę z programem i powtórzyć pewne podstawy, bez których Bolek nie dałby sobie rady, ale to też poszło bardzo sprawnie. W rezultacie po niespełna dwóch tygodniach Bolek był gotowy do ponownego występu przed klasą.

– Jutro – powiedział nauczyciel, klepiąc go po ramieniu. – Jutro zaproszę cię do tablicy, a ty pokażesz, jak świetnie umiesz już te równania.

Bolek po raz pierwszy od dawna przyszedł na lekcję podenerwowany. Wiedział, że umie, a mimo wszystko stresował się. Teraz, po tylu godzinach nauki dać ciała, to byłaby już przesada. Inni uczniowie nie wiedzieli o jego dodatkowych zajęciach, ale byłoby mu głupio przed samym sobą. No i dostałby pałę na koniec roku. Pała za nicnierobienie go nie ruszała, ale skoro już włożył w to tyle wysiłku, to zależało mu, by tę dwóję dostać.

Po rozpoczęciu lekcji Patyk zgodnie z zapowiedzią poprosił go do tablicy. W sali jak zwykle rozległ się poszum ulgi, a potem chichoty. Bolek nic jeszcze nie zrobił, o nic go nie zapytano, ale uczniowie już się dobrze bawili. Jego wizyty pod tablicą były dla nich jak oglądana po raz kolejny dobrze znana komedia, gdy jeszcze przed zabawnym momentem czujesz, jak śmiech narasta ci w płucach.

Nauczyciel stanął obok niego i przepisał z książki nierówność. Siadając, szepnął:

– Dasz radę. Umiesz.

Bolek nieznacznie skinął głową, chwycił kredę i skupił się na działaniu. Przestał słyszeć to, co działo się za nim. Szepty i chichoty zniknęły. Były tylko cyfry, wzory, wiadome i niewiadome. Z początku powoli, ostrożnie, ale z każdą chwilą z coraz większą pewnością wypisywał na tablicy kolejne

etapy zadania. Nie potrzebował żadnych podpowiedzi. Naprawdę to umiał. Rozumiał, co pisze i dlaczego właśnie to. Gdy skończył, spojrzał na nauczyciela. Patykowski skinął głową z uznaniem i powiedział:

– Doskonale. Pewnie i bezbłędnie. Stawiam mocną piątkę.

I rzeczywiście wpisał ją do dziennika. Pierwszą piątkę Bolka od niepamiętnych czasów. Prawdziwą, uczciwie zarobioną piątkę.

Uczeniowie byli w takim szoku, że w klasie zaległa kompletna cisza. Bolek wrócił na miejsce i lekcja trwała dalej.

Po dzwonku Bolek specjalnie zwlekał z pakowaniem plecaka, aż wszyscy wyjdą. Potem podszedł do nauczyciela.

– To jak? Mam tę dwójkę? – zagadnął.

– Jak na razie to masz piątkę. Bardzo mocną piątkę. Z taką piątką na pewno nie dam ci pały na koniec roku. Ale gdybyś chciał, zawsze możesz spróbować zawalczyć o lepszą ocenę.

– Bez pomocy profesora nie dam rady... – bąknął Bolek, błędząc wzrokiem po podłodze.

– Po tym, co widziałem przez ten tydzień z okładem, śmiem wątpić w to, co mówisz. Wierz mi lub nie, ale ty, Bolek, masz talent do matematyki. Wielu uczniów już miałem i potrafię taki talent rozpoznać. Jeśli chcesz, pomogę ci nadrobić zaległości. Dzień w dzień nie mogę się z tobą spotykać, ale wtorki i czwartki mam wolne.

– To ja bym przychodził, jeśli można.

– Zapraszam.

Bolek, wracając do ławki, czuł się, jakby wygrał na loterii. Nogi same go niosły. Naprawdę mu się udało. Naprawdę to zrobił. Może nie jest taki do końca głupi? Może jest dla niego jakaś nadzieja?

Na korytarzu zaczepił go jeden z kolegów:

– Ty, Bolek, jak ty to zrobiłeś?

– No jak to jak? – zachnął się. – Nauczyłem się. To nie jest takie trudne.

I z uśmiechem na ustach wyszedł ze szkoły i poszedł w stronę przystanku. Z pewnością zasłużył na zapiekankę.

Drobiazgi.

To właśnie małe, drobne rzeczy czasem decydują o czymś życiu. Czyny innych ludzi, na które nie mamy żadnego wpływu. Ich myśli, mowa, uczynki i zaniedbania. No, wkurwić się można na samą myśl o tym, co czasem przechodzi nam koło nosa, bo ktoś coś powiedział lub ktoś coś zrobił. Albo nie zrobił. Świat nie jest sprawiedliwy.

A życie mogło być takie piękne, proste, udane. Widok innych ludzi i ich szczęścia jest jak zadra w sercu. Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – mówi stare przysłowie – i jest w tym święta prawda.

Bolek, Bolek, Bolek... On też nie miał w życiu łatwo, ale przynajmniej sam sobie nagrabił. Mówili, że był nie był taki głupi, jak można by sądzić, ale ile w tym prawdy? Grunt, że życie sobie przejechał koncertowo. Ale jego koniec nie był taki zły. Gdy zasypiał wtedy w śniegu, jego twarz wyrażała taki spokój. Zamknął oczy, ufnie jak dziecko. Nawet delikatnie się uśmiechnął. Podobno gdy człowiek zamarza, jest mu całkiem przyjemnie. Wcale nie czuje, że umiera. Jest mu wręcz ciepło. W sumie, jak o tym pomyśleć, to całkiem przyjemna śmierć. Jest wiele gorszych opcji, bardziej bolesnych. A on po prostu zasnął.

A potem, gdy go znaleźli, rozpętała się burza.

I dobrze. Tak właśnie miało być.

Odszedł po cichu, a wywołał huragan.

Dokładnie o to chodziło.

19

Cholera, trochę przypieczone – mruknęła Agata, okiem eksperta patrząc na nieco zbyt przyrumienione bułeczki na blasze. – Trudno, to nie koniec świata.

Wyłączyła piekarnik, a blachę postawiła na kuchence, by bułki trochę przestygły. Gdyby były przeznaczone dla niej, nie przejmowałaby się aż tak bardzo. W związku ze swoimi ograniczonymi umiejętnościami kulinarnymi z musu przyzwyczała się do zanadto spieczonych potraw, tłumacząc sobie, że węgiel przecież podobno dobrze robi na żołądek.

Ale te bułki były nie dla niej.

Miała zamiar zanieść je w prezencie Wojciechowi Skowronowi. Owszem, miała w związku z tym poczucie lekkiego absurdu. No bo jak to tak, wparować do kogoś w żałobie z bułkami? Co miałyby z tymi bułkami zrobić? Zalepić sobie nimi dziurę po bracie? Ale z drugiej strony nie wyobrażała sobie przyjść do niego z pustymi rękami. W końcu w amerykańskich filmach jak się odwiedza kogoś w żałobie, zawsze przynosi się blachy ciasta czy czegoś w tym stylu. Poza tym to zawsze jakiś pretekst... Ułożyła bułki na swoim najładniejszym talerzu, który kupiła kiedyś na targach rękodzieła za absurdalną kwotę, i okryła torbą foliową. Folia momentalnie zaparowała. Agacie tak się spieszyło, że cud, że folia się na tych bułkach nie stopiła.

Wojciech uchylił drzwi i wyjrzał na zewnątrz. Oczy miał czerwone, twarz szarą, a włosy w kompletnym nieładzie. To nawet nie był smutek. On po śmierci brata po prostu rozpaczał. Agata zapragnęła natychmiast odstawić te kuriozalne bułki i po prostu go przytulić. Zamiast tego jednak powiedziała uprzejmie:

- Dzień dobry, jestem Agata. Nowa sąsiadka.
- Wojciech – burknął. – W czym mogę pomóc?

– Chciałam tylko powiedzieć, że bardzo mi przykro z powodu tego, co się stało, i gdybym mogła jakoś pomóc...

– Ale jak niby mogłaby mi pani pomóc?

Pytanie było bardziej niż trafne.

– Nie wiem... Bułki upiekłam. Może się panu przydadzą?

Wojciech przetarł dłonią twarz.

– Przepraszam. Byłem niemily. Jedzenie rzeczywiście się przyda. Zupełnie nie miałem głowy do zakupów i lodówka faktycznie świeci pustkami. Proszę, niech pani wejdzie.

Agata dokładnie wytarła buty w wycieraczkę z ironicznym w tych okolicznościach napisem Welcome. Raczej nie była tu mile widziana. Ostrożnie przestąpiła próg domu.

– Zapraszam. Pani nie zdejmuje butów. – Wojciech ruszył do dużego pokoju. Agata pospieszyła za nim. – Pani siada, ja herbatę zrobię.

Usiadła na brązowej skórzanej kanapie. Poczula, że robi jej się duszno, więc zdjęła kurtkę i położyła szalik. Rozejrzała się po pokoju. Widać było, że nie mieszka tu żadna kobieta. Na parapetach nie było kwiatów, stolik kawowy nie był nakryty żadną serwetką. Ślady po kubkach zdradzały, że podkładek też tu nie używano. Brak dywanów i rolety zamiast zasłonek w połączeniu z meblami z Ikei tworzyły dość nowoczesną, ale też bezpłciową mieszankę. Ewidentnie wystrój wewnątrz był w życiu Wojciecha kwestią drugorzędną. Jediną ozdobą, jaką Agata wypatrzyła, było sporego formatu czarno-białe zdjęcie przedstawiające dwóch nastoletnich chłopców. Nie mogła się powstrzymać, więc podeszła do niego i uważnie mu się przyjrzała.

W starszym chłopcu od razu rozpoznała Wojciecha. Przybyło mu parę kilogramów, kilka zmarszczek, a linia włosów odsunęła się trochę do tyłu, jednak to na pewno był on. Nieco wyższy, obejmował niedbale ramieniem drugiego chłopca. Patrzył w obiektyw, uśmiechając się półgębkiem, lecz w jego oczach nie widać było radości, raczej troskę.

Młodszy chłopiec to zapewne był Bolesław. Agata zdała sobie sprawę z tego, że do tej pory nawet nie wiedziała, jak wyglądał. Dotychczas mgliste wyobrażenie nagle zyskało konkretne rysy twarzy. Zobaczyła szczupłego chłopca o potarganych jasnych włosach, długim nosie usianym piegami i

nico za dużych, odstających uszach. Śmiał się, szturchając brata pięścią w bok, jakby chciał się uwolnić z objęcia, ale widać było, że tak naprawdę nie ma nic przeciwko temu. Bracia byli do siebie zupełnie niepodobni.

Z zamyślenia wyrwał ją brzęk stawianej na stole tacy ze szklankami i bułkami. Odwróciła się, nieco zawstydzona swoim wścibstwem, ale Wojciech nie sprawiał wrażenia niezadowolonego z faktu, że oglądała jego fotografię.

– To zdjęcie zrobił nam kolega. Jedno z niewielu zdjęć, na których jesteśmy razem – wyjaśnił suchym głosem.

– Rodzice nie robili wam zdjęć?

Po twarzy Wojciecha przebiegł dziwny skurcz. Odwrócił wzrok i spojrzał w okno.

– Nie, nie robili. Mieli inne sprawy na głowie – wyjaśnił.

– Rozumiem – powiedziała Agata, choć nic nie rozumiała. Odstawiła zdjęcie na półkę i wróciła na kanapę. Czuła się skrepowana, więc żeby zrobić coś z rękami, zaczęła mieszać herbatę. – Czy pan... czy pan już wie, kiedy będzie pogrzeb?

Wojciech usiadł w fotelu i spojrzał na nią spode łba.

– Nie wiem. Skąd miałbym wiedzieć? – burknął, po czym dodał już uprzejmie: – Zadzwoń niedługo do Haliny i ustalimy, co i jak. Ona ma dzieciaki na głowie, a ja nie mam rodziny, więc może zaproponuję jej, że to ja się zajmę organizacją pogrzebu. Albo chociaż pomogę. Na pewno rozwiesimy klepsydry, więc jeśli będzie pani zainteresowana, na nich znajdzie pani konkretne informacje.

– Tak, będę ich wypatrywać.

Znów zapadła niezręczna cisza. Wojciech założył nogę na nogę, potem zaczął bębnić palcami w poręcz fotela, aż wreszcie nachylił się w jej stronę i spojrzał jej w oczy.

– Przepraszam, ale spytam wprost. Czy pani w ogóle знаła mojego brata?

– Ja? No... nie, nie znałam. Ale byłam w pobliżu miejsca, gdzie go znaleźli. Widziałam, jak pan rozmawiał z policją i pomyślałam... pomyślałam, że skoro i tak siedzę w domu, to chociaż te bułki panu zrobię. Żeby jakoś pomóc, sama nie wiem...

– Właśnie, nie wie pani. A wydawałoby się, że dorosła kobieta, w

dotadku taka, która lada moment ma zostać matką – wskazał na jej brzuch – powinna wiedzieć, że człowiek w żałobie nie potrzebuje towarzystwa obcych osób, które robią sobie z jego tragedii rozrywkę! I bułki, choćby nie wiadomo jak świeże, też nie są na szczycie jego listy życzeń.

– Ale ja przecież... – próbowała protestować, lecz Wojciech, którego twarz wykrzywiła się w gniewnym grymasie, nie dał jej skończyć zdania.

– Pani się po prostu nudzi i dlatego wtyka pani nos w nie swoje sprawy! Czy pani kiedyś kogoś straciła? Czy umarł pani ktoś bliski?

Trafił w czuły punkt.

– Moi rodzice nie żyją.

– Moi rodzice też od dawna nie żyją, ale to zupełnie co innego. – Jej odpowiedź nie zrobiła na nim wrażenia. Jeśli oczekiwała współczucia, to się przeliczyła. – Czy ma pani rodzeństwo?

– Mam siostrę.

– To proszę sobie wyobrazić, że pani siostra umiera. Bach! I nie ma jej! I nagle zostaje pani na świecie zupełnie sama. I kompletnie pani nie wie, jak odnaleźć się w tej nowej rzeczywistości. Czuje pani w sobie taką pustkę, taką nicość. I wtedy ja, obcy facet, przychodzę do pani z czym? Z bułkami! Chce pani wiedzieć, jak by się pani poczuła?

Agata kiwnęła głową.

– Chciałaby pani, żebym zabierał te swoje bułki i spieprzał! Przepraszam, Bóg mi świadkiem, że próbowałem być miły, ale po prostu nie daję rady! Przychodzi pani tu sobie na jakąś pogawędkę z dupy, a mnie, jak Boga kocham, nie stać teraz na takie pogawędki!

Ukrył twarz w dłoniach, a jego ciałem wstrząsnął szloch. Agata zacisnęła usta. Chwyciła kurtkę, torebkę i wstała.

– Przepraszam – wykrztusiła i ruszyła w kierunku drzwi. Gdy wyszła, zerknęła na zegarek. Rany, jak późno się zrobiło! A przecież ma dzisiaj wizytę u lekarza! Możliwie szybkim krokiem skierowała się w stronę domu. Po drodze myślała o tym, co powiedział Wojciech.

Trudno odmówić mu racji. Czego właściwie oczekiwała, przychodząc do niego? Gdy zapytał, co czułaby, gdyby to jej siostra umarła, a on by przyszedł z tymi debilnymi bułkami, serce jej się ścisnęło. Aśka... Nawet nie chciała myśleć, co by było, gdyby ją straciła. Starsza siostra zawsze była

dla niej podporą. Razem z wujkiem Antonim stanowili całą jej najbliższą rodzinę. Nie zastanawiając się zbyt długo, sięgnęła po komórkę i wybrała numer Aśki.

– No co tam, siostra? Coś ważnego? – usłyszała jej radosny głos. – Rodzisz?

– Nie, nie rodzę. I przestań mnie o to pytać! Już nie mogę do nikogo normalnie zadzwonić, bo wszyscy od razu myślą, że rodzę!

– Tak, tak, pamiętam, że mnie też to wkurzało. Ale skoro nie ma żadnego alarmu, to może umówmy się, że oddzwonię wieczorem, okej? Teraz jestem w pracy i akurat mam nawał roboty.

– Jasne... – Agacie zrobiło się przykro. Już nawet własna siostra nie ma chwili, żeby z nią pogadać. Perspektywa roku na urlopie macierzyńskim zapowiadała się bardzo samotnie, oczywiście jeśli nie liczyć małego człowieka.

– Ale stało się coś, Agata? – Czujne siostrzane ucho w mig wychwyciło smutek w jej głosie. – Bo jakoś tak marnie brzmisz...

– Nie, nic się nie stało, naprawdę. Chciałam usłyszeć twój głos, usłyszałam i teraz wszystko jest już w najlepszym porządku.

– Taaak... Słuchaj, nie martw się niczym, okej? Obiecuj, że niczym nie będziesz się martwić. Wiem, że jesteś już zmęczona, ale to już długo nie potrwa. A potem... och, zresztą sama wiesz, co będzie potem, bo bardzo mi pomagałaś przy moich dzieciach. Nie wkraczasz więc na zupełnie nieznane terytorium. Tak więc nic się nie przejmuj. I pamiętaj, że zawsze możesz dzwonić, dobrze? Nawet jak nie mam czasu pogadać dłużej, to zawsze chętnie usłyszę twój głos. I zawsze potem oddzwonię w wolnej chwili.

– Mhmm... – mruknęła Agata bez przekonania.

– Wiem, że pewnie już ci się trochę nudzi to siedzenie w domu, że lepiej się czujesz, uganiając się za mordercami niż remontując łazienkę na przedmieściach, ale cóż, teraz jest taki właśnie etap w twoim życiu i musisz się z tym pogodzić. To nie jest takie straszne, jak by się mogło wydawać. – Agata usłyszała, że ktoś coś do Aśki mówi. – Kochana, naprawdę muszę już kończyć. Pa! Zadzwonię wieczorem!

– Pa! – Agata wsunęła telefon do kieszeni kurtki.

„Lepiej się czujesz, uganiając się za mordercami niż remontując łazienkę

na przedmieściach, ale cóż, teraz jest taki właśnie etap w twoim życiu i musisz się z tym pogodzić” – powtórzyła w myślach słowa Aśki i uśmiechnęła się pod nosem. Gdyby Aśka tylko wiedziała, co Agata tak naprawdę porabia w wolnym czasie...

Wizyta w przychodni trwała dość krótko. Wszystkie wyniki były w porządku, ciśnienie w normie, na poród w najbliższych dniach się nie zanosilo. Lekarz wygłosił swoją stałą mantrę: spacerować, odpoczywać, zgłosić się za tydzień. Miała wielką nadzieję, że za tydzień to już będzie po porodzie. Wprawdzie lekarz miał inne zdanie na ten temat, ale wiadomo, że wiara czyni cuda... Ale nie to zaprzętało jej myśli. Wracając do domu, myślała głównie o swojej wizycie u Wojciecha. Teraz, gdy otrząsnęła się już po tym, jak ją wygonił, mogła na chłodno przeanalizować całą sytuację.

Z perspektywy czasu nie żałowała, że do niego poszła. Wprawdzie nie była tam mile widziana, jej wizyta do szczególnie taktownych nie należała, jednak dzięki niej dowiedziała się kilku ciekawych rzeczy.

Po pierwsze nie ulegało wątpliwości, że Wojciech i Bolesław byli sobie bardzo bliscy. Jedyne zdjęcie, jakie widziała, przedstawiało braci. Duże, wyeksponowane w centralnej części domu. Nie ma więc podstaw, by sądzić, że rozpacz Wojciecha była udawana. Zresztą wyglądała bardzo naturalnie. Mężczyzna chwilami po prostu tracił nad sobą panowanie. Na pewno warto przyjrzeć mu się nieco bliżej, sprawdzić, kim on właściwie jest? Czym się zajmuje? Zdecydowanie przyda się tu pomoc Kermita, ale a nuż uda jej się do czegoś dogrzebać samodzielnie. Postanowiła, że zaraz po powrocie do domu siądzie do komputera.

Był jednak jeszcze jeden szczegół rozmowy, który nie dawał jej spokoju. Moment, gdy zaczęli rozmawiać o ich rodzicach. Wprawdzie nic konkretnego nie zostało powiedziane wprost, ale Agata odniosła przemożne wrażenie, że coś było na rzeczy. Wspomnienie rodziców obudziło w Wojciechu niezbyt przyjemne wspomnienia. Ten grymas ust, odwrócenie wzroku. Widać było, że nie chciał ciągnąć tego tematu. Ciekawe dlaczego? Co było w nim tak bolesne? Może rodzice niedawno zmarli i po prostu rany były jeszcze zbyt świeże, by rozmawiać o nich normalnie? Mogło tak być, jednak intuicja podpowiadała Agacie, że to nie w tym leży sedno problemu.

Rodzice Bolesława i Wojciecha Skowronów – to kolejny temat, który trzeba będzie zgłębić. Tu też najpierw poprosi o pomoc wujka Google, a dopiero potem zwróci się do Kermita. Biedak nie miał przecież za dużo czasu, a sprawdzenie kartoteki Wojciecha było priorytetem.

Spróbowała zadzwonić do Kermita, ale nie odbierał, więc stojąc na czerwonym świetle, napisała krótkiego SMS-a, w którym wyjaśniła, o co chodzi. Oczywiście fakt, że była w mieszkaniu Wojciecha, pominęła taktycznym milczeniem. Kermit na pewno nie byłby zadowolony, gdyby się o tym dowiedział. Zresztą, trudno mu się dziwić. Tu musiała przyznać mu rację. Jeśli to Wojciech był winny, to odwiedzanie go było niezbyt mądre, a odwiedzanie go w dziewiątym miesiącu ciąży było wręcz idiotyzmem. Ale trudno, stało się. Nie zamierzała kłamać na ten temat, gdyby ją spytał, ale też nie widziała powodu, dla którego miałaby się tym chwalić.

„No, zaraz pana posprawdzamy, panie Wojtku” – mruknęła, zatrzymując auto pod domem.

Gdy wysiadła z samochodu, najpierw pomyślała, że coś jej się przywidziało. Przecież to niemożliwe... Druga myśl zmierzyła w kierunku pana Andrzeja – pewnie rozlał jakąś farbę, jakiś podkład czy coś takiego. Ale przecież dzisiaj miało go nie być. I w łazience na górze nic nie miało być malowane na czerwono. Dopiero po chwili dostrzegła małe bure futerko leżące pośrodku największej kałuży krwi – bo nie miała już wątpliwości, że czerwona ciecz, która spryskała jej drzwi, elewację i ganek, to była właśnie krew. Bez trudu rozpoznała bezdomnego bezimiennego kota, którego dokarmiła, odkąd się tu przeprowadziła. To na pewno był on. Kilka razy udało jej się przyuważyć go z okna. Charakterystyczna biała plamka na czole nie pozostawiała wątpliwości. Leżał rozciągnięty, z pustymi, matowymi oczami wpatrującymi się w nicość, z rozdziawionym pyszczkiem, z którego sterczały białe kielki i, co najważniejsze, z poderżniętym gardłem. Cięcie było głębokie i czyste. Z całą pewnością zrobił to człowiek. Człowiek, który następnie zadał sobie wiele trudu, by krwią tego kota jak najbardziej zabrudzić jej podwórko.

Agata poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Przycisnęła dłoń do ust, a z oczu pociekły jej łzy. Nawet nie czuła, jak zamarzają, spływając po zdrętwiałych policzkach. Drugą ręką objęła brzuch, jakby chciała chronić

dziecko przed tym, co miała przed sobą. Gdy odruch wymiotny nieco zelżał, z jej gardła wydobył się krzyk.

Zalewając kawę wrzątkiem, Halina patrzyła na fusy wirujące w gorącej wodzie. Od zawsze lubiła ten widok: nagły ruch ziaren, które jeszcze chwilę temu były takie nieruchome, twardo osadzone na dnie kubka. Teraz czuła się jak takie ziarno. Jeszcze wczoraj zdawało jej się, że w jej życiu już nigdy nic się nie zmieni. Że jej los biegnie sztywno wytyczoną ścieżką i że nic nie jest w stanie zepchnąć go z raz obranej trajektorii. A jednak zmiana nastąpiła. Teraz już nic nie będzie takie samo. Śmierć Bolka to była dla niej szansa na nowe życie, w którym będzie sama sobie panią i bez balastu w postaci wiecznie pijanego męża będzie mogła dalej kształtować swoje życie wedle własnego upodobania. Już nikt nie będzie wyciągał do niej ręki po pieniądze na wódkę. Nie będzie musiała chować z trudem uciulanych oszczędności na ubrania czy książki dla dzieci w przysłowiowej skarpecie pod materacem, żeby mąż ich przypadkiem nie znalazł i nie przehułał. Nie będzie musiała patrzeć, jak ledwo przytomny wtacza się do domu po to tylko, by walnąć się w łóżku i zasnąć; brudny i śmierdzący przetrawionym alkoholem. Wreszcie będzie normalnie. Tylko czy ona jeszcze potrafi normalnie żyć? Mocno wierzyła w to, że tak. Że sobie poradzi, że razem z dziećmi stworzą normalną rodzinę.

Dodała łyżeczkę cukru, zamieszała kawę i pociągnęła spory łyk. Zamknęła oczy i poczuła, jak przyjemnie rozgrzewa jej żołądek, a połączenie goryczki i słodczy przyjemnie drażni jej kubki smakowe. Jedna z niewielu codziennych przyjemności. Zazwyczaj po prostu jedyna.

Nagle usłyszała w korytarzu kroki. Sebek wyszedł ze swojego pokoju i zmierzał do kuchni.

– Jak mała? – spytał.

– Śpi.

Anetka, wyczerpana płaczem, zasnęła zaraz po tym, jak weszli do domu. Halina ułożyła ją na kanapie i przykryła kocem. Choć minęła ponad godzina, dziecko nawet nie drgnęło. Z mokrymi włosami przyklejonymi do

czoła, zaschniętymi ścieżkami słonych łez na policzkach, spała twardym snem.

– A ty, jak się czujesz?

– Ja? – zdziwiła się Halina. – To raczej ja ciebie powinnam zapytać, Sebek. To ja jestem tutaj rodzicem.

Sebek podkulił ramiona i spojrzał na nią spode łba.

– Dobra, jasne, wiem... Tylko pytałem.

Halina wzięła jeszcze jeden łyk kawy i zebrała się w sobie, by zadać pytanie, które ciążyło jej w ustach od momentu, w którym dowiedziała się o śmierci Bolka.

– Sebek, muszę cię o coś zapytać. Tylko proszę, żadnych krętałów, naprawdę, to nie jest pora na żadne uniki. Po prostu mi odpowiedz na jedno proste pytanie.

– No? – Niedbałe spojrzenie, z którego biło buzujące w chłopaku napięcie.

– Co robiłeś dzisiejszej nocy?

Syn spojrzał na nią czujnie, jak zwierzę, które wyczuło obecność drapieżnika.

– Ja? Jak to co robiłem? Spałem, a co miałem robić?

Halina odstawiła kubek na blat i splotła ręce na piersiach.

– Sebastian, choć jestem twoją matką, rzadko o coś cię proszę. A teraz nawet nie proszę, ale po prostu ci każę: powiedz mi, co robiłeś w nocy. Bo że wychodziłeś z domu, to wiem na pewno. Tę część rozmowy możemy sobie darować.

Chłopak patrzył na nią chwilę w milczeniu. Widać było jak na dłoni, że kotłują się w nim emocje: nozdrza rozszerzały się przy każdym wdechu, usta zacisnęły się w wąską kreskę, a ze zmrużonych oczu biła wściekłość. Nie strach, tylko właśnie wściekłość. W końcu odwrócił się bez słowa i poszedł z powrotem do swojego pokoju.

– Sebastian! – wycedziła przez zaciśnięte zęby Halina. Nie mogła krzyknąć, żeby nie obudzić Anetki. Pewność siebie powoli ją opuszczała, zastępowana przez bezradność. Łzy cisnęły jej się do oczu. I co ma teraz zrobić? Pójść za nim do pokoju? Stawić mu czoła jeszcze raz? I co dalej? Nakrzyczeć? Dać karę? Tylko jaką karę mogła mu dać? Jaką miała moc, by

ją wygekwawać? Obcięcie żałośnie niskiego kieszonkowego? Śmiechu warte! Szlaban? Już widziała, jak się do niego stosuje! Karty, jakie miała do dyspozycji w tej rozgrywce, były beznadziejnie słabe. Wiedziała jednak, że musi wyciągnąć jakiegoś asa z rękawa, wymyślić coś, co pozwoli jej odzyskać kontrolę nad synem i zmusi go do udzielenia prawdziwej odpowiedzi na to proste pytanie: co robił poprzedniej nocy? Gdzie był? Halinie od kilku nocy doskwierała bezsenność i wczoraj wyraźnie słyszała, że syn wychodził. Była pierwsza dwadzieścia. Spojrzała na zegarek, więc wiedziała dokładnie.

Nie pierwszy raz się to zdarzyło i nigdy nie dawała po sobie poznać, że wie o jego nocnych eskapadach. Dopóki rano wstawał na czas do szkoły, nie wtrącała się w to. Był prawie dorosły. Miał swoje życie, swoje sprawy. Szanowała to, póki nic złego się nie działo, a nie widziała żadnych powodów do niepokoju. Syn się nie upijał, żadnych śladów po narkotykach nie znalazła, nie miała podstaw, by sądzić, że wmieszał się w jakieś szemrane interesy. Ale teraz musiała wiedzieć, co robił. Po prostu musiała. Inaczej nie będzie mogła mieszkać z nim pod jednym dachem, patrzeć mu codziennie w oczy, nie wiedząc, jaką tajemnicę skrywa.

Na razie nie miała żadnego planu, ale wiedziała, że musi dokończyć tę rozmowę. Pokazać mu, że nie może tak po prostu się odwracać i zamykać w swoim pokoju, gdy ona go o coś pyta. Nie tak syn powinien traktować matkę. Rodzicielstwo: kolejna dziedzina jej życia najeżona porażkami. Ale teraz przecież był nowy początek, nowe rozdanie. Może jeszcze uda jej się uratować tę rodzinę. Tylko musi się dowiedzieć, co syn robił w nocy. I w ten czy inny sposób na pewno się tego dowie. Dopięła kawę i odstawiła kubek do zlewu, gotowa pójść do jego pokoju, gdy usłyszała za sobą cichy szmer.

Odwróciła się i zobaczyła córeczkę, owiniętą w kocyk, z opuchniętą, zaczerwienioną twarzą.

– Mamo... – pisnęło dziecko.

Halina podeszła do niej i wzięła ją w ramiona.

– Chodź, Anetko, kochanie moje. Nic się nie martw, mama tu jest. Napijesz się czegoś? Herbatki ciepłej?

– Nie... – Usteczka dziecka wygięły się w podkówkę. – Ja bym chciała

do taty...

– Oj, słoneczko moje...

Halina podniosła córkę i poszła z nią na kanapę. Teraz nią trzeba było się zająć. Problemy z synem muszą poczekać. Dziewczynka znów się rozpłakała, a Halina gładziła ją po plecach, bujała i szeptała do ucha uspokajające słowa. Nawet nie zauważyła, kiedy również po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. Po śmierci Bolka mogła się prześlizgnąć, nie opuszczając gardy, ale widok cierpienia własnego dziecka był jednak ponad jej siły.

Po tym, co się zdarzyło, Agata nie chciała być sama.

Kermit znów miał intensywny dzień w pracy, więc postanowiła, że nie będzie do niego dzwonić. Na pewno od razu by przyjechał, a ona potem czułaby się winna, że oderwała go od obowiązków w zasadzie bez potrzeby. Bo jak mógłby jej pomóc? Siedzieć z nią i trzymać ją za rękę? Myć te cholerne drzwi?

Wyszła na ulicę i rozejrzała się wokół. Nadal było pusto. Drogą przejechał jakiś samochód. Zdusiła chęć zatrzymania kierowcy. Co by mu powiedziała? „Przepraszam, czy pomógłby mi pan umyć drzwi?” Litości...

Znów podeszła do schodków i stała, zastanawiając się, co robić.

– O mój Boże! A co tu się stało? – usłyszała za plecami znajomy głos.

Obróciła się i zobaczyła Kaśkę. Prowadzony na smyczy Jazgot tym razem wyjątkowo nie szczekał. Zamarł w bezruchu, wpatrując się czarnymi oczkami w truchło kota.

– Ktoś... Nie wiem. Właśnie wróciłam do domu i... i... zastałam coś takiego.

– Rany! Ale masakra! Nie zbliżaj się do tego. Jesteś w ciąży. – Kaśka odruchowo chwyciła ją za rękaw kurtki i odciągnęła do tyłu. – Słyszałam, że ciężarne powinny uważać na koty. Martwe pewnie tym bardziej. Poczekaj tu, kochana. Odprowadzę Jazgota do domu i zaraz do ciebie wracam. Pomogę ci posprzątać. A ty tymczasem nic nie rób. Stój tu i się nie ruszaj.

– Może zadzwonię na policję?

– No co ty? Na policję? Do kota?! – zdziwiła się Kaśka. Przy każdym kolejnym zdaniu jej brwi wędrowały coraz wyżej. – Już ja ich widzę, jak się przejmują bezpiecznym kotem! Rób, jak chcesz, ale moim zdaniem to tylko cię wyśmieją. A jeśli już, to przyjadą za nie wiadomo ile, a te drzwi będą straszyć jak w horrorze. Krew będzie się w nie wżerać i potem nawet szczotką ryżową tego nie doczyścisz. Dopóki jest świeża, trzeba się za to

zabrać, bo później może być problem. Czekał na mnie i nic nie rób. Zaraz będę z powrotem.

Nie czekając na odpowiedź, Kaśka chwyciła wciąż zastygniętego w jednej pozycji Jazgota pod pachę i pobiegła do domu.

Agata postanowiła, że mimo wszystko spróbuje skontaktować się z policją. Wykręciła numer Renaty Boguckiej.

– Halo? – odezwała się policjantka.

– Dzień dobry, Agata Brok. – Jej głos zadrżał o wiele bardziej, niż by sobie tego życzyła.

– Dzień dobry. Co się stało? – Czuźne ucho policjantki w lot wychwyciło jej zdenerwowanie.

– Ktoś... ktoś zabił kota tuż przed moimi drzwiami.

– Zabił kota? – Bogucka była wyraźnie skonsternowana.

– Tak. Ktoś poderznął gardło bezdomnemu kotu. Moje drzwi, ściany, ganek, wszystko jest obryzgane krwią!

Chwila ciszy, w tle kilka kroków. Gdziekolwiek policjantka się znajdowała, odeszła kawałek, by kontynuować rozmowę.

– Jest pani pewna, że to gardło jest poderżnięte, a nie po prostu rozszarpane?

– Całkowicie! Cięcie jest proste i czyste. Tego nie zrobiło żadne zwierzę.

– Dobrze, rozumiem. Musi się pani czuć okropnie.

– Czy może pani przyjechać?

– Niestety, teraz to niemożliwe. Może zadzwonię po kogoś z moich kolegów...

Agata nie miała pewności, czy któryś z tych wysokiej klasy profesjonalistów nie zemdleje na widok martwego kota, więc odrzekła:

– Nie, jakoś sobie bez nich poradzę. Nie ma szans, aby była to pani?

– Pochlebia mi, że pani tak nalega, ale niestety w tym momencie jest to wykluczone. Jestem z dzieckiem u lekarza...

Agata była lekko zszokowana. Policjantka nie wyglądała na kogoś, kto ma dziecko.

– Ach, rozumiem. W taki razie nie ma sprawy.

– Dobrze. Ma pani aparat fotograficzny? – Bogucka szybko przeszła do konkretów.

– Oczywiście! W telefonie.

– Proszę w takim razie dokładnie wszystko obfotografować. Jutro... – w tle rozległ się uporczywy dziecięcy kaszel – ...albo w najbliższych dniach do pani podjadę. Wtedy dokładnie je sobie obejrzymy. Albo jeszcze lepiej: niech pani wyśle na adres mailowy komendy. Jak tylko dotrę do pracy, to się z nimi zapoznam. Adres znajdzie pani w internecie.

– Dobrze.

– I jeszcze jedna sprawa, jak już z panią rozmawiam. Ten pan Zbigniew spod sklepu, który podobno widział coś tej nocy, gdy zamarzył Bolesław Skowron...

– Co z nim?

– Od wczoraj nie możemy go znaleźć. Nie ma go w domu, jego towarzysz spod sklepu twierdzi, że nie widział go od wczorajszego południa. Wiadomo pani coś na ten temat?

– Mnie?! A niby czemu miałabym coś na ten temat wiedzieć?

– Nie wiem, po prostu pytam. Dobrze, niech pani zadzwoni po męża czy jakąś przyjaciółkę, żeby pomogli pani te drzwi umyć, ale wcześniej niech pani porządnie to wszystko obfotografuje.

– Okej. Pani Renato...

– Tak?

– Czy sądzi pani, że zniknięcie tego mężczyzny może mieć coś wspólnego z tym kotem?

– Wcale tak nie sędzę – odparła policjantka, nieco zbyt szybko i trochę zbyt pewnym tonem, jakby chciała nim zamaskować zupełnie inną opinię. – Zwyrondnialców mordujących zwierzęta nigdy nie brakowało. To zupełnie co innego niż zniknięcie dorosłego mężczyzny. Proszę się nie denerwować, zadzwonić po kogoś bliskiego, żeby pomógł pani posprzątać przed domem, i postarać się o tym nie myśleć. Wiem, że to niełatwe, ale musi pani teraz myśleć o dziecku. Musi pani zachować spokój.

– Dobrze, do widzenia. – Agata pożegnała się i rozłączyła. Była zirytowana tym, że policjantka ją zbyła. Nie chodziło o to, że nie przyjechała. W końcu była z dzieckiem u lekarza. Co ważniejszego mogłaby właśnie załatwić? Agata była zła, że Renata Bogucka nie podzieliła się z nią swoimi obawami. Czy zamordowany kot to była groźba

pod jej adresem? Mało delikatna sugestia, żeby przestała wtykać nos w nie swoje sprawy? Jeśli policjanci już szukali Zbigniewa, musiał się o tym dowiedzieć. Postanowił zniknąć, ale wcześniej zostawił Agacie jasne ostrzeżenie, by więcej nie rozmawiała z policją na jego temat. Nie mógł mieć wątpliwości, kto nasłał na niego funkcjonariuszy. Przecież sama go uprzedziła, że to robi. Taka wersja wydarzeń wydawała jej się dużo bardziej prawdopodobna niż to, że te zdarzenia nie mają ze sobą nic wspólnego.

Otuliła się szczelniej kurtką i rozejrzała dookoła. Cisza, wszędzie pusto. W oddali zaszczekał jakiś pies, ale po chwili ucichł. Nie chciała wchodzić do domu. Przebywanie w zamkniętej przestrzeni, gdy w pobliżu mógł czaić się Zbigniew, wydawało jej się mało rozsądne. Na zewnątrz czuła się bezpieczniej. Tu w razie czego jest gdzie uciekać i gdy zawoła, jest szansa, że ktoś ją usłyszy. A Kaśka zaraz powinna przyjść.

Weszła ostrożnie na ganek, starając się jak najmniej ubrudzić buty w krwi kota, i sprawdziła, czy drzwi są zamknięte na klucz. Były. Czyli nikt się nie włamał. Zajrzała z jednej strony domu, potem z drugiej. Nie odśnieżali ogrodu, więc wszędzie leżały hałdy nienaruszonego śniegu – znak, że nikt nie poszedł na tył budynku. „Zimą dużo trudniej popełniać przestępstwa niż latem” – pomyślała Agata. – „Jakby wszystko wokół było obsypane proszkiem do pobierania odcisków palców”.

Agata podeszła do schodów i wyjęła telefon. Starając się zachować spokój i opanować drżenie rąk, zrobiła kilka zdjęć. Kiedy patrzyła na nieruchome futerko kota, nie potrafiła powstrzymać łez. Jakim człowiekiem trzeba być, żeby zrobić coś takiego? Tak bezdusznie pozbawić życia bezbronne zwierzę? Jakaś siła pchała ją, by wziąć bezwładne ciało na ręce i po prostu je przytulić.

– No! Jestem! – Z zamyślenia znów wyrwał ją głos Kaśki. – Przepraszam, że tyle to trwało, ale szukałam u siebie jeszcze jakiegoś wiadra, płynu do mycia i ścierek, bo to, co ty masz na stanie, może nie wystarczyć na taki bałagan.

Demonstracyjnie wyciągnęła przed siebie żółte plastikowe wiaderko, z którego wystawały różnokolorowe korki.

– Otwórz drzwi. – Kaśka mówiła do niej jak do małego dziecka. –

Wejdziemy do środka. Ty usiądziesz, a ja się tym zajmę.

– Pomogę ci!

– Nie wygłupiaj się! Przecież w twoim stanie nie będziesz tego sprzątała!

– Nie zostawię cię z tym samej.

– Chyba żartujesz! – prychnęła Kaśka.

Agata też prychnęła, ale z zupełnie innych powodów. Miała już dość tego, że jest taka nieporadna i tak zdana na pomoc innych ludzi. Do tej pory zawsze radziła sobie sama, a teraz czuła się jak małe dziecko. Musiała jednak przyznać – mycie drzwi z kocięj krwi na mrozie w dziewiątym miesiącu ciąży nie było najlepszym pomysłem, nie było nawet pomysłem dobrym ani choćby akceptowalnym. Musiała przyjąć ofertę Kaśki.

– To ja chociaż herbatę zrobię.

– Bez herbaty ani rusz. Ale, kurczę, jak to się mogło stać? Może to jakieś zwierzę zrobiło, nie wiem... dziki pies? – Podeszła bliżej i marszcząc nos, nachyliła się nad truchłem kota.

– O ile wiem, psy nie biegają z nożami i nie podrzynają kotom gardel. Chyba że trochę się zagapiłam, gdy ewolucja wystrzeliła do przodu...

– Nie, nie, głupio palnęłam. Oczywiście masz rację. Teraz widzę, że tutaj jest wyraźne cięcie. Rany boskie! Kto mógł zrobić coś takiego? Agata, ty chyba nie jesteś w jakiejś mafii, prawda? – Spojrzała na nią niby żartobliwie, ale jednak z pewnym oczekiwaniem na odpowiedź.

– No skąd! Poza tym mafiosom to chyba końskie łby podrzucają czy inne ryby.

– Racja... Kurczę, a może jednak byś zadzwoniła na policję?

– Dzwoniłam, ale najwyraźniej zabójstwa kotów nie zajmują najwyższej pozycji na ich liście priorytetów. Kazali zrobić zdjęcia i pozwolili posprzątać.

– No to nie ma co czekać. Zabieramy się do roboty.

Kaśka zatarła ręce i rażnym krokiem ruszyła w stronę wejścia do domu. Agata pospieszyła za nią z kluczem w ręce i już po chwili drzwi stanęły otworem.

– To jak? Od czego zaczynamy? – spytała.

Kaśka zmarszczyła brwi.

– Jak mawiał w takich wypadkach Sokrates: trzymajmy się ramy, to się

nie posramy. Potrzebny jest plan! Myślę, że zaczniemy od drzwi, potem spłuczemy gorącą wodą ściany i schody. I cóż, miejmy nadzieję, że to jakoś wsiąknie w tę zmarzniętą ziemię.

Agata spojrzała na nią z wdzięcznością. Jak to miło mieć obok siebie kogoś, kto w rozsądny sposób, a do tego z humorem, potrafi opanować tak przerąbaną sytuację. Agata zapragnęła ją uściskać i nawet nie próbowała się pohamować. Przytuliła Kaśkę mocno. Ta poklepała ją po plecach i powiedziała:

– No już, już, bo mnie zgnieciesz tym swoim bembolem albo dziecko jakieś płaskie urodzisz. Idź lepiej gotować tę wodę. Po pierwsze na herbatę, a po drugie na spłukanie schodów. Nastaw wodę w największych garnkach na wszystkich palnikach. I w czajniku! Pamiętaj o czajniku!

Radio cicho szumiało w tle, wygrywając dawno przebrzmiałe przeboje, a Agata siedziała na kanapie w salonie, otulona ciepłym kocem, dzierżąc w dłoni wielki kubas pełen gorącej herbaty z imbirem i miodem. Kaśka godzinę temu wyszła do pracy. Agata myślała o niej z ogromną wdzięcznością. Tak bardzo jej pomogła. Sama wymyśla gorącą wodą drzwi i ganek, rozpuściła wrzątkiem zakrwawiony śnieg, by jego widok nie powodował ciągłego ściskania w żołądku, po czym zawinęła w foliową torbę to, co zostało z kota, i gdzieś wyniosła. Agata nawet nie pytała gdzie. Była tak bardzo wdzięczna za to, że sama nie musiała się tym zajmować – tym bardziej że lekarz ostrzegał ją, by nie zbliżała się do nieznanych kotów. A dziecko było przecież najważniejsze. Z czułością pogłaskała się po brzuchu, który był akurat zadziwiająco nieruchomy. Chyba mała sublokatorka spała. Agata – wyjątkowo – śpiąca nie była.

Wyjrzała za okno. Białe płatki znów wirowały w powietrzu. Bezszelestnie pokrywały świat kolejną warstwą puchu. Widziała je wyraźnie, bo rozświetliła wszystkie żarówki zamontowane na zewnątrz. Ten, kto tak bezwzględnie rozprawił się z kotem, w każdej chwili mógł wrócić.

Kermit pewnie szybko nie przyjedzie, więc postanowiła poszperać trochę w Internecie. W końcu miała kilka rzeczy do sprawdzenia.

Odstawiła kubek i sięgnęła po leżący na stoliku laptop.

Najpierw otworzyła pocztę. Prawie podskoczyła, gdy zobaczyła, że Kermit przesłał jej ten artykuł, którego współautorem było Bolesław Skowron. Szybko go otworzyła i przeleciała wzrokiem przez pierwszą stronę. To było zupełnie bezsensowne. Już po przeczytaniu tytułu wiedziała, że próbując się w niego zagłębić, tylko straci czas. Dla takiego laika jak ona był zupełnie niezrozumiały, a poza tym zapewne nie miał najmniejszego związku ze sprawą śmierci Bolesława.

Inaczej sprawa się miała z profesorem Bohdanem Malinowskim –

głównym autorem artykułu i opiekunem naukowym Bolesława. Szanse na to, że utrzymywali kontakt do śmierci Bolka, były w zasadzie zerowe, ale może ten człowiek mógł powiedzieć jej coś więcej o tym, jaki był Bolesław. Być może wiedział też, co skłoniło tak świetnie rokującego studenta do zakończenia kariery naukowej, zanim na dobre się rozpoczęła. Agata wciąż miała przed oczami zdjęcie, które wisiało w domu Wojciecha: on i Bolek objęci, roześmiani, po prostu cieszący się życiem dwaj chłopcy. Nic nie zapowiadało tego, że Bolek tak się stoczy... Ale co ona mogła wiedzieć? W końcu widziała tylko to jedno zdjęcie, a wszystkie osoby, z którymi dotąd rozmawiała o tej sprawie, mówiły o Bolku tylko i wyłącznie w kategoriach małomiasteczkowego pijaczka. Jakby to, co było przedtem, zupełnie się nie liczyło. A doświadczenie nauczyło Agatę, że przeszłość zawsze ma znaczenie. Być może to właśnie profesor Malinowski uchylił jej okienko, przez które będzie mogła w tę przeszłość zajrzeć.

Szybko wklepała w Google jego nazwisko. Miała szczęście! Nie dość, że nadal pracował na Wydziale Matematyki, to w dodatku miał jutro dyżur! Od dziesiątej do dwunastej – idealnie! Zanotowała na karteczce adres wydziału i numer pokoju. Zatarła dłonie na myśl o jutrzejszej rozmowie.

Ale to nie była jedyna rzecz, którą miała na liście do sprawdzenia. Był jeszcze przecież brat Bolesława – Wojciech. Chciała sprawdzić, czym się zajmuje, kim jest. Słowem – wszystko, co ktoś niebędący Kermitem może wydobyć z Internetu na ten temat.

Tu już nie miała tak dużo szczęścia. Wojciech Skowron albo nie korzystał z Internetu, albo bardzo dbał o prywatność w sieci. Nie znalazła go na żadnym portalu społecznościowym ani w żadnym ogólnodostępnym rejestrze firm. Cóż, w sumie nie było w tym nic dziwnego. Wojciech należał przecież do pokolenia, dla którego obecność w sieci nie była czymś naturalnym, tylko czymś ewentualnie nabytym. Być może on nie dał się porwać cyfrowej rewolucji i jeśli korzystał z komputera, to raczej w charakterze maszyny do pisania. Wróciła pamięcią do dzisiejszej wizyty w jego domu i stwierdziła, że rzeczywiście, nigdzie na wierzchu nie było komputera, nie rzuciła jej się w oczy też torba na laptopa. Jakoś z Internetu pewnie korzystał. Mało prawdopodobne, żeby nie miał maila i konta internetowego – jednak najwidoczniej nie był to u niego towar pierwszej

potrzeby, który musi być zawsze pod ręką. Trudno, trzeba będzie poczekać na Kermita. Jak jego szefuńcio wyjedzie, będzie mógł poświęcić trochę więcej uwagi tej sprawie. Tęskniła za Kermitem. Ostatnio tak rzadko był obok. Ale niedługo to się zmieni. Na świecie pojawi się ich córeczka, on weźmie urlop ojcowski i spędzą trochę czasu razem.

Jej myśli pofrunęły w stronę dziecka i tego, na ile jego pojawienie się na świecie zmieni jej życie. Oczywiście miała nadzieję, że nie wyrzuci wszystkiego do góry nogami, że nadal będzie mogła pozostać sobą, Agatą Brok (ewentualnie Jaworską, tego jeszcze nie przemyślała do końca), robić to, co lubi i przy okazji wychowywać dziecko. Miała jednak starszą siostrę, Aśkę, matkę trójki dzieci, i wiedziała, że nie będzie to takie proste. Małe dziecko nie jest szczególnie dobre w chodzeniu na kompromisy. Och, daj Boże, żeby trafił jej się przynajmniej łatwy w obsłudze egzemplarz, mało płaczący i rzadko chorujący.

Z zamyślenia wyrwał ją dźwięk telefonu. Spodziewała się, że to Kermit, ale to była Kaśka.

– Hej. Co tam? – spytała zaintrygowana Agata. Przecież dopiero co się widziały.

– No hej. Wiesz, postanowiłam, że zadzwonię i cię uprzedzę. Wracając od ciebie, spotkałam Wojtka Skowrona. Opowiedział mi, jak cię od siebie wygonił.

– Tak – przyznała zawstydzona Agata. – To było głupie, że w ogóle tam poszłam.

– Cóż, nie będę się spierać. – Kaśka chrząknęła znacząco. – W każdym razie głupio mu jest, że tak cię potraktował i chciał cię przeprosić, więc dałam mu twój numer telefonu. Nie jesteś zła?

Agata zła nie była. Raczej skonsternowana.

– Co? Nie, chyba nie jestem zła. Ale naprawdę nie musi mnie przeproszać. Zasłużyłam sobie.

– Cóż, on sądzi inaczej. W każdym razie bądź przygotowana na telefon od niego.

– Okej, dzięki. – Agacie przyszła do głowy jeszcze jedna sprawa, o którą warto zagadnąć Kaśkę, a która jakoś jej umknęła wcześniej, wyparta przez wydarzenia z kotem. – Słuchaj, a nie widziałaś ostatnio Zbycha? Tego

kolegi Bolka?

– A widziałam! Wczoraj wieczorem poszłam do sklepu po karmę dla Jazgota, bo mi zabrakło, i widziałam, jak siedzi na tej swojej ławeczce. Gadał z kimś i jak zwykle popijał.

– A nie wiesz, z kim rozmawiał?

– Nie mam pojęcia. Wiesz, było już ciemno.

– No tak... A dzisiaj?

– Hmm... Poczekaj... Nie, dziś go nie widziałam. Ale raczej nie widuję go codziennie. A czemu pytasz?

– Bo policja szuka go od rana i nie mogą go znaleźć.

– W sprawie tej tajemniczej osoby, którą być może widział?

Po tym, jak Kaśka sprzątnęła przed domem, Agata opowiedziała jej o swojej rozmowie ze Zbychem i o wizycie na komisariacie. Chciała to z siebie wyrzucić, a poza tym potrzebowała potwierdzenia, że dobrze zrobiła, zgłaszając to policji.

– Tak, właśnie w tej.

– Hmm... jak go zobaczę, to dam znać. A teraz muszę kończyć. Na pewno nie masz do mnie pretensji, że dałam mu twój numer?

– Na pewno. Pa.

– Pa.

Zanim zdołała przygotować się psychicznie na rozmowę z Wojciechem, telefon znów zadzwonił. Numer nieznany, ale dość łatwo było domyślić się, kto zacz. Nie ma co tego odwlekać. Agata odetchnęła głęboko i odebrała.

– Słucham? – Starła się brzmieć możliwie neutralnie, ale głos oczywiście splątał jej figła i był dużo bardziej piskliwy, niż by sobie tego życzyła.

– Dobry wieczór. Wojciech Skowron. – Mówił szybko, jakby za wszelką cenę chciał już wyrzucić z siebie to, co miał do powiedzenia.

– Dobry wieczór.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno.

Agata zerknęła na zegar ścienny. Była dwudziesta, jeszcze nie tragedia. O tej porze sama bez zastanowienia wybrałaby cudzy numer, gdyby miała do załatwienia jakąś sprawę.

– Nie szkodzi. Jak dla mnie to nie jest późna godzina na telefon –

odparła.

– Pozwoliłem sobie poprosić Katarzynę o numer pani telefonu, ponieważ chciałem panią przeprosić. Żle się dzisiaj zachowałem, niepotrzebnie na panią napadłem. Pani przyniosła jedzenie, a ja na panią naskoczyłem. Niezależnie od mojego zdenerwowania i stresu, w jakim się znajduję, nie powinienem był tego robić. Tak więc przepraszam.

– Rozumiem, dziękuję. Nie mam do pana pretensji.

– A powinna pani. Tym bardziej zważywszy na pani stan, powinienem się pohamować. Chciałem też sprawdzić, czy nie zanadto panią zdenerwowałem. Czy z panią i z dzieckiem wszystko dobrze?

A więc dlatego miał takie wyrzuty sumienia... Oczywiście chodziło mu o dziecko, a nie o nią.

– Wszystko w porządku, proszę się nie martwić. Oboje czujemy się dobrze. Nie zdenerwował mnie pan aż tak bardzo, jak pan sądzi.

Z trudem się powstrzymała by nie dodać: „Proszę sobie nie pochlebiać”. Na szczęście w porę ugryzła się w język.

– Dobrze, w takim razie nie będę przeciągał. Dziękuję za bułki, talerz oddam przy okazji. Jeszcze raz przepraszam. I mam nadzieję, że nie uznała mnie pani za totalnego buca na wieki wieków amen i że uda nam się jeszcze zbudować w miarę poprawne relacje sąsiedzkie.

– Jestem przekonana, że tak właśnie będzie.

– A więc dobranoc.

– Dobranoc.

„Co za dziwny typ” – pomyślała, rozłączając się i wpisując jego numer do książki telefonicznej. Najpierw na nią naskakuje, a potem dzwoni skruszony. Ciekawe, czy zawsze jest taki porywczy, czy to śmierć brata go tak rozstroiła? Będzie musiała spytać Kaśkę, ona powinna wiedzieć. A jeśli zawsze tak się zachowuje? Najpierw daje się ponieść emocjom, a potem skruszony przeprasza? Wcześniej go w ogóle nie podejrzewała, ale w obliczu takiego zachowania nie od rzeczy jest hipoteza, że mógł mieć coś wspólnego ze śmiercią brata, a jego okrzyki, że brat nie mógł umrzeć sam, bo wiedział, że nie wolno zasypiać na mrozie, miały tylko zagłuszyć wyrzuty sumienia. Albo odsunąć od niego podejrzenia. Rozpacz wyglądała bardzo naturalnie, ale mało to dobrych aktorów chodzi po świecie? Na samą

myśl o tym przeszedł ją dreszcz. Całe szczęście, że nie wpadł na pomysł, by przyjść do niej i przeprosić ją osobiście. Na dźwięk dzwonka do drzwi chyba dostałaby zawału. Kermit miał przecież swój klucz, a nikogo innego nie wpuściłaby do domu. Wspomnienie widoku kociej krwi na ganku było aż nazbyt żywe.

Dopiła ostatni łyk herbaty, zamknęła laptopa i szczelnie otuliwszy się miękkim kocem, wstała z kanapy. Podeszła do okna i wyjrzała. Pusto, ciemno i cicho. Śnieg przestał padać i nawet wiatr nie poruszał gałęziami drzew. Wpatrywała się w ciemność, próbując wybadać, czy ktoś może się tam czaić, ale niczego nie zauważyła. Zaciągnęła rolety. Miała zamiar zaraz się położyć, ale jeśli Zbigniew obserwował dom, wołała, by myślał, że nadal siedzi na dole, całkiem rozbudzona, a nie pochrapuje w łóżku na górze, zupełnie bezbronna. O ile w ogóle uda jej się zasnąć... Jednak hormony, czy co tam w niej buzowało, robiły swoje i mimo ledwie dwudziestej czuła, że zaraz po prostu padnie.

Przeszła po całym parterze, wyglądając przez każde okno, a następnie zaciągając rolety. Na koniec upewniła się, że drzwi wejściowe są zamknięte na wszystkie możliwe zamki. Z niepokojem rozejrzała się po domu. Do tej pory przez całe życie mieszkała w bloku i teraz po raz pierwszy pomyślała, że być może wyprowadzka do własnego wolnostojącego domu nie była najlepszym pomysłem. Gdy mieszkasz w bloku i krzykniesz, zawsze ktoś cię usłyszy. Owszem, jest szansa, że zignoruje, ale przynajmniej usłyszy. A tu? Mogła wydzierać się sobie a muzom. Nikt by jej nie usłyszał, a już na pewno nie w zimie, gdy każdy szczelnie zamyka okna i drzwi.

Poszła do łazienki odświeżyć się przed snem i przebrać w piżamę. Gdy łykała w kuchni wieczorną porcję witamin dla kobiet w ciąży, niewiele się zastanawiając, sięgnęła do szuflady z nożami. Wzięła jeden z nich, długi i ostry, i mocno ściskając go w dłoni, ruszyła na górę do sypialni. Może przesadzała, a może wcale nie. W końcu przezorny zawsze ubezpieczony. Ułożyła go na szafce nocnej, pod książką, tak by rękojeść wystawała od strony ściany. Całość przykryła jeszcze gazetą. W razie czego będzie mogła chwycić nóż w mgnieniu oka, ale dla osoby, która o nim nie wie, będzie niewidoczny. Nie było ryzyka, że napastnik z niego skorzysta albo że Kermit padnie na zawał, gdy wróci w nocy. Właśnie, Kermit!

Wysłała mu krótkiego SMS-a, że idzie spać. Weszła pod kołdrę, ściskając w dłoni telefon. Chwilę zajęło jej znalezienie w miarę wygodnej pozycji. Zamknęła oczy i wsłuchiwała się w ciszę. Nim telefon zabrzączał, obwieszczając nadejście odpowiedzi od Kermita, spała głębokim snem.

Jeszcze zanim otworzyła oczy, wyczuła, że jest w łóżku sama. Przesunęła rękę na połowę Kermita. Była jeszcze ciepła.

– Kermit? – zawołała zachrypniętym, zaspanym głosem.

– Na dole! – odkrzyknął.

Uff... Jeszcze nie wyszedł.

Z cichym stęknieniem usiadła na łóżku. Dziecko poruszyło się, bezbłędnie trafiając ją prosto w pęcherz. Pierwsze kroki skierowała do łazienki, a potem zeszła na dół. Chętnie by jeszcze poleżała, ale dużo bardziej zależało jej na tym, by zobaczyć się z Kermitem.

– Cześć, kochanie. Nie widziałas noża? – spytał, gdy ją zobaczył.

– Nóża? – Zmarszczyła nos, demonstrując zdziwienie.

– No tego długiego. Bułkę chciałem przekroić i nigdzie nie mogę go znaleźć. – Bezradnie grzebał w szufladzie.

– Masz, weź ten.

Agata wyjęła ze zmywarki mniejszy nożyk i mu podała. Gdyby przyniosła nóż z góry, musiałyby wytłumaczyć, czemu go tam zanosła. Musiałyby opowiedzieć o kocie, a na to nie miała najmniejszej ochoty. Jeszcze wczoraj wiele by dała za możliwość oparcia głowy na piersi Kermita i opowiedzenia mu wszystkiego, ale dziś ten problem wydawał się taki... wczorajszy. Nie chciała tracić tej krótkiej wspólnej chwili na roztrząsanie makabry i denerwować go czymś, co być może nie będzie miało dalszych konsekwencji.

Kermit na szczęście wziął nożyk i nie drażył już tematu.

– A jak ty się w ogóle czujesz, co? – pytał. – Od dwóch dni jesteś prawie cały czas sama... – Spojrzał na nią z troską.

Agata wzruszyła ramionami.

– W porządku – odparła.

– Jeśli chcesz, to wystarczy jeden telefon do mojej mamy i będzie tu w ciągu kilku godzin.

Rzeczywiście, Maria przy okazji każdej rozmowy telefonicznej oferowała im swoją pomoc. Zapewniała, że chętnie przyjedzie pomóc w domu i przy dziecku, ale Agata zupełnie sobie tego nie wyobrażała. Uwielbiała Marię, ale nie aż do tego stopnia.

– Ooo nie, zapomnij o tym. Poza tym to chyba ostatni dzień, w którym będziesz aż taki zajęty, prawda? – zabrzmiało to nieco ostrzej, niż chciała.

Kermit odłożył bułkę, podszedł do niej i ją objął.

– No pewnie, że tak. Szef dziś wyjeżdża i wszystko wróci do normy. A gdy tylko dziecko pojawi się na świecie, zostaję z wami na minimum dwa tygodnie. Tak, jak ustaliliśmy.

Pocałował ją w czubek głowy i wtedy w Agacie coś pękło i wybuchnęła płaczem, co zaskoczyło nie tylko Kermita, ale również ją. Bardzo starała się być dzielna i nie rozczulać się nad sobą, ale naprawdę ostatnio nie miała lekko. Wczorajszy dzień był trudny, wieczorem czuła się taka samotna i zagrożona. Już samo oczekiwanie na poród i na dziecko było stresujące, a tu doszła jeszcze ta sytuacja z kotem.

– O Boże, Agata – powiedział Kermit, szczerze przejęty. – Jeśli chcesz, to i dzisiaj zostanę w domu. Powiem, że źle się czujesz, i nikt nie będzie miał do mnie pretensji. Dobrze?

Odsunął się i ujął jej twarz w dłonie, by spojrzeć jej w oczy. Zawstydzona swym wybuchem spuściła wzrok.

– Nie, no co ty – odparła i otarła łzy rękawem szlafroka. Zdała sobie sprawę z tego, jak żałośnie musi teraz wyglądać. – Oszczędzaj urlop na potem. Mnie nic nie jest, tylko, tylko... to chyba hormony tak we mnie buzują. – Nie po raz pierwszy pomyślała, że wielkim plusem ciąży jest to, że wszystko można zwalić na hormony. – Zaraz wypiję kawę, zjem serek i wszystko wróci do normy.

Zmierzył ją niepewnym spojrzeniem. Sięgnął po stojącą na blacie filiżankę i jej podał.

– Chyba raczej pół kawy. Zostawiłem ci. Powinna być jeszcze ciepła. A! I uzupełniłem zapas serków. Wczoraj wracając, wstąpiłem do nocnego i kupiłem chyba z dziesięć, żebyś nie musiała rano przedzierać się do sklepu przez ten śnieg.

Agata jednym haustem wypila kawę, po czym rzuciła się Kermitowi na

szuję na tyle gwałtownie, na ile pozwalał jej brzuch.

– Och, kochany jesteś!

– Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić. – Pogłaskał ją po plecach.

I wtedy Agacie coś się przypomniało.

– W zasadzie to jest jeszcze coś.

– Hmm? A co takiego?

– Jakbyś znalazł wolną chwilę, to może mógłbyś poszukać jakichś informacji o Wojciechu Skowronie, bracie tego Bolka. – Sięgnęła do leżącego na parapecie bloczku z małymi karteczkami, zanotowała nazwisko i wsunęła mu notatkę do kieszeni. – Pisałam ci wczoraj w SMS-ie. Widziałeś?

– A! Tak, ale nie miałem czasu, by się tym zająć.

– Wczoraj próbowałam czegoś się dowiedzieć na własną rękę, ale nie bardzo mi to wyszło. Niezbyt internetowy z niego człowiek.

– W porządku, będę pamiętał, choć nie sądzę, bym dziś wyskrobał na to choć chwilę. A ten artykuł, co ci wczoraj wysłałem, przeczytałaś?

Agata parsknęła śmiechem.

– No co ty?! Nawet specjalnie nie próbowałam. Ale namierzyłam tego profesora i dziś może do niego pojedę.

Kermit mocniej ścisnął trzymaną w ręce kanapkę i spojrzał na nią poważnie. Przez chwilę bił się z myślami, ale w końcu instynkt samozachowawczy wygrał i Kermit nic nie powiedział. Zerknął na zegarek.

– Jeśli mam zdążyć, to powinienem już się zbierać. Mój szef odlatuje o siedemnastej, więc powinienem być w domu normalnie. Telefonu nie wyłączam, w razie czego dzwoń. – Ruszył do przedpokoju i zaczął się ubierać. – Nawet jeśli nic strasznego nie będzie się działo, tylko będzie ci po prostu smutno: dzwoń. Nie musisz zacząć rodzić, żeby mnie tu ściągnąć, okej?

– Okej.

– I jedź ostrożnie do tego profesora. Przez noc znów napadało. A, właśnie! – Ściągnął brwi i spojrzał na nią spode łba. – Miałem cię ochrzanić!

– Mnie? – Agata zrobiła ogromne oczy niewiniątka. Tym razem naprawdę nie wiedziała, o co może mu chodzić.

– Tak, ciebie! Dlaczego wczoraj odśnieżyłaś ganek, co? Chyba to nie jest specjalne wskazane w twoim stanie. Przecież ja mogłem to zrobić choćby dzisiaj rano. Proszę cię, Agata, bądź rozsądna. Chcesz jechać do tego profesora, proszę bardzo, ale na to, żebyś tuż przed porodem latała z łopata do odśnieżania, nie mogę się zgodzić. Po prostu nie i już.

– Ale to nie ja!

– A niby kto?

– Koleżanka! – odpowiedziała zgodnie z prawdą. – Sąsiadka mnie wczoraj odwiedziła no i... odśnieżyła!

– Sąsiadka, powiadasz? – zmierzył ją sceptycznym wzrokiem. – Chętnie kiedyś poznam tę sąsiadkę.

– Jasne! Może w ten weekend ją zaproszę? Kaśka, bardzo fajna dziewczyna. Mieszka jakieś pięć domów stąd.

– Zobaczymy. Ale teraz to już naprawdę muszę lecieć. To pa! – Cmoknął ją i szybko wyszedł, by nie nawpuszczać za dużo zimnego powietrza.

Agata pozostała jeszcze chwilę ze skrzywioną miną. Nie czuła się dobrze z tym, że nie powiedziała Kermitowi całej prawdy. Technicznie rzecz biorąc, nie skłamała, ale absolutną szczerością też tego nie można było nazwać. Ale czy był sens stresować go wydarzeniami wczorajszego dnia? Nie, zdecydowanie nie było. Kiwnęła głową do lustra, by utwierdzić samą siebie, że dobrze zrobiła. Poczłapała w stronę komputera. Zaraz włączy starego, dobrego Freddiego i świat stanie się odrobinę znośniejszy. Przechodząc koło okna, podciągnęła rolety i uważnie obejrzała śnieg wokół domu. Nieskazitelny. A więc nikt się tu nocą nie zakradał. Tak, zdecydowanie dobrze zrobiła, nie zwracając Kermitowi głowy tym, co się wczoraj stało.

Czerwiec 1996 roku

Wojtek wyszedł z autobusu i zamiast pójść prosto do domu przystanął, zamknął oczy i wystawił twarz do słońca. Jak przyjemnie grzało! Szkoda, że już niedługo dzień się skończy. Od rana aż do późnego popołudnia miał zajęcia. Był na trzecim roku ekonomii i ostatnio zrobiło się naprawdę intensywnie. Zależało mu na dobrych stopniach, więc z trudem znajdował czas, żeby spotykać się ze swoją dziewczyną. Zresztą, jeśli miał być szczery, coraz mniej mu na tych spotkaniach zależało. Chyba pora przemyśleć, czy w ogóle warto to ciągnąć. Byli na jutro umówieni. Może to będzie dobra okazja, żeby poważnie porozmawiać. Choć ona wydawała się bardzo nakręcona. To nie będzie łatwa rozmowa...

Rozmyślenia przerwało mu uderzenie w plecy. Tak silne, że na moment zabrakło mu tchu.

– Się ma, brachol! – powiedział z uśmiechem Bolek. – Co to? Solarium dla ubogich?

– Wal się! – odparł Wojtek i uderzył go pięścią w ramię. Nie za mocno, ale oddać musiał. Nieubłagane zasady braterskich relacji. – A ty co taki zadowolony?

– Bo może mam powody, co?

Wojtek z uśmiechem spojrział na brata. Choć Bolek miał trudny charakter, a sytuacja w domu nie sprzyjała temu, by nauczył się go poskramiać, od jakiegoś czasu zaczął wychodzić na prostą. Wojtek nie wiedział dokładnie, jak to się stało, ale był pewien, że dużą rolę odegrała tutaj zmiana szkoły. Odkąd Bolek poszedł do liceum, nie towarzyszyła mu już łaska największego rozrabiaki i odludka. Odkrył też w sobie talent do matematyki. Nadal nie potrafił zmusić się do tego, by ślęczeć nad książkami, ale akurat matematyka tego nie wymagała. W lot chwycił to, co działo się na lekcjach, a nauczyciel zapraszał go na dodatkowe zajęcia, na których pokazywał mu

zagadnienia wykraczające poza program szkolny. Bolek chodził tam chętnie, bo zrozumienie tych rzeczy nie sprawiało mu większego problemu, ale co ważniejsze – nareszcie znalazł coś, co dało mu oparcie do budowania poczucia własnej wartości. Po raz pierwszy w życiu był w czymś dobry. Nie potrzebował pomocy brata. Nikt nie musiał się nad nim litować ani go bronić. Po raz pierwszy, odkąd pamiętał, zdarzało się, że patrzono na niego z podziwem, a nawet z pewną zazdrością.

Za tym poszły kolejne zmiany. Teraz już nie chodził wiecznie nabuzowany, wściekły na cały świat. Przestał widzieć wokół siebie samych wrogów. Zaczynał rozumieć, że aby coś dostać, nie musi o to walczyć pięściami albo tego kraść, ale może będzie mógł na to normalnie zarobić. Wojtek czuł, że ten nowo zbudowany spokój, ta nowa pewność siebie, to bardzo krucha konstrukcja i że niewiele trzeba, by brat wrócił na dawne tory, dlatego wspierał go, jak mógł, i mocno trzymał za niego kciuki. Za rok matura i o ile nie zawali polskiego, to będzie mógł pójść studiować tę swoją matematykę, a potem to już się wszystko jakoś ułoży. Kiedyś myśl, że Bolek mógłby pójść na studia, była równie prawdopodobna jak to, że zapisze się do szkoły baletowej. A jednak proszę, wszystko zmierzało w zaskakująco dobrym kierunku. Ale coś Wojtkowi mówiło, że tym razem nie tylko o tę matematykę chodzi...

– Gadaj! Co się stało?

Bolek odpowiedział radosnym uśmiechem. Taki uśmiech mógł świadczyć tylko o jednym.

– Halinka! – wykrzyknął Wojtek. – Zamoczyłeś!

– Spierdalaj! – odparł Bolek, uśmiechając się jeszcze szerzej.

Bolek kochał się w Halince od wczesnych klas podstawówki. Była to miłość, wydawałoby się, skazana na niepowodzenie. Halinka była ładna, radosna, lubiana. A Bolek... Bolek był Bolkiem. Czaił się wokół niej, podrzucał kwiatki, liściki, a ona zawsze z uśmiechem, zawsze miło, ale jednak spuszczała go na drzewo. Teraz jednak najwidoczniej coś się zmieniło. Odkąd przestali chodzić do jednej szkoły, a Bolek nie patrzył już na cały świat spode łba, Halinka postanowiła dać mu szansę. Spotkali się kilka razy i Bolek najwyraźniej przy bliższym spotkaniu zyskał w jej oczach na tyle, by pozwoliła mu się do siebie zbliżyć. Oby tylko jej się teraz nie

odwizniało, bo to mogłoby znów podciąć Bolkowi skrzydła.

Wszystko układało się tak dobrze, że Wojtek chwilami czuł autentyczny strach, że za chwilę wydarzy się coś strasznego. Jakby za to całe dobro, które im się przydarza, trzeba było zapłacić. Ale dziś nie chciał o tym myśleć. Uśmiechnął się i klepnął brata w plecy.

– No to gratulacje, stary! Kolejne spotkanie już ustawione?

Bolek wzruszył ramionami, jakby niewiele go to obchodziło, ale oczy błyszczały mu jak rzadko kiedy.

– W sobotę mamy się spotkać. Ale wiesz, to tylko tak wstępnie się umówiliśmy. Zobaczymy, jak to tam wyjdzie.

– Będzie dobrze. To co, teraz na chatę zmykamy? – Kiwnął głową w stronę domu.

– No trzeba, trzeba – odparł Bolek i ruszyli we wskazanym kierunku. – Jeszcze muszę lekcje odrobić. Tobie to dobrze, że jesteś na tych studiach...

– Na studiach też się trzeba uczyć. Zresztą, jak tak dalej pójdzie, to sam zobaczysz.

– Tak, tylko że uczysz się tego, co sam sobie wybrałeś, a nie jakichś pierdół z dupy. Przyznasz chyba, że to jednak robi różnicę.

– Co nieco... – odpowiedział Wojtek z uśmiechem. – Już niedługo też będziesz tak miał. Głodny jesteś?

– Trochę, a co?

– Parówki kupiłem po drodze. Będę gotował na kolację. Może chcesz trochę?

– W sumie czemu nie? A co ty w ogóle dzisiaj tak wcześniej wracasz? W środy chyba zwykle masz zajęcia do dwudziestej...

– Ano mam, ale dzisiaj je odwołali. A ty też chyba powinieneś być u tego swojego profesorka, prawda? To w środy chodzisz do niego na te kosinusy?

– Pierdusy – odburknął Bolek. – Dziś ma urodziny córki i odwołał.

– No to pięknie się składa! Uczcimy twój sukces parówkami!

– „Parówkami” – przedrzeźnił go Bolek. – Browara byś postawił, a nie parówki.

– Browara? Gówniarzowi? Chyba cię powaliło! Parówki, mój drogi, parów-ki! Ale to nie są zwykłe parówki, o nie! To są parówki mocy! Pewnie chcesz spytać, jakiej mocy, ale ja ci nie powiem. Zdradzę tylko, że falliczny

kształt nie jest przypadkowy...

– Spierdalaj! – powtórzył swoim zwyczajem Bolek i obaj roześmiali się radośnie.

Tylko Wojtkowi przebiegło przez myśl, że to kolejny szczęśliwy zbieg okoliczności. A w życiu nie ma przecież nic za darmo.

Przepraszam, gdzie znajdę pokój numer dwieście trzy? – Agata zwróciła się do grupki studentów stojących przy szatni.

Dwie młodziutkie dziewczyny, mimo wczesnej pory w pełnym makijażu. Nie tak wyobrażała sobie studentki matematyki. Towarzyszyło im dwóch chłopców, chudych, z włosami nieokreślonej długości, nawet w połowie nie tak atrakcyjnych jak ich towarzyszki. Na ich twarzach pałętały się jeszcze resztki młodzieńczego trądziku. Całe to towarzystwo spojrzało najpierw na jej twarz, a potem, w idealnej synchronizacji, jakby grali w jakimś filmie, spuściło wzrok na jej ogromny brzuch.

– Dwieście trzy? To będzie drugie piętro. Potem w prawo i proszę szukać gdzieś na początku korytarza.

– Dziękuję – odparła Agata i ruszyła w kierunku schodów.

– Proszę pani! – zawołał za nią jeden z chłopców.

– Tak?

– Tam jest winda. – Wskazał w przeciwną stronę. – Może windą pani wjedzie?

– Nie, dziękuję. Chętnie się przejdę.

W tym „chętnie” może było trochę przesady, ale czytała, że chodzenie po schodach może przyspieszyć poród, a ponieważ na nią był już czas, postanowiła pomóc trochę naturze. Uderzyło ją też to, że zwrócili się do niej per „pani”. Nie zaglądała na żaden wydział od czasu, gdy sama skończyła studia, ale nie miała wrażenia, żeby od tego czasu jakoś specjalnie się postarzała. W swoich oczach nadal mogłaby uchodzić za studentkę. Może jednak jej autopercepcja nieco się rozmijała z rzeczywistością...

Docierając na drugie piętro, zaczęła żałować, że nie skorzystała z rady, by wjechać windą. W mgnieniu oka zlał ją pot. Choć ledwie godzinę temu wyszła spod prysznic, zamarzyła, by znów się pod nim znaleźć. Rozpięła kurtkę, zdjęła szalik i chwilę powachlowała się otwartą dłonią, oddychając głęboko. Mijający ją studenci spojrzeli na nią z niepokojem.

– Wszystko w porządku – uspokoiła ich. – Nie rodzę, tylko się zmęczyłam na tych schodach.

Kiwnęli głowami bez przekonania i poszli dalej.

Gdy trochę ochłonęła, bez problemu znalazła właściwy pokój. Profesor chyba nie należał do szczególnie obleganych, bo korytarz świecił pustkami. Delikatnie zapukała do drzwi.

– Proszę? – dobiegł ją lekko zdziwiony głos.

Zajrzała do środka. W niewielkim pokoiku siedział mężczyzna pod sześćdziesiątkę, może nawet siedemdziesiątkę. Gładko ogolony, o niemal łysej, okrągłej czaszce i w grubych okularach o staromodnych plastikowych oprawkach. Ubrany był w sweterek, który czasy świetności miał już dawno za sobą, a modny to nie był chyba nigdy. Na biurku leżały rozłożone papiery, chyba jakiś artykuł naukowy. W dłoni ścisnął ostro zatemperowany ołówek.

– Dzień dobry. – Przywitała się Agata, próbując przywołać na twarz najsympatyczniejszy uśmiech, na jaki było ją w tym momencie stać. – Agata Brok. Czy pan profesor Bohdan Malinowski?

– Tak, to ja. Dzień dobry. Czy my się znamy? – Profesor ściągnął okulary na czubek nosa i przyjrzał jej się uważnie.

– Nie, nie znamy się. Nie jestem pańską studentką, ale bardzo zależało mi na tym, by chwilę z panem porozmawiać, więc przyszedłam na pański dyżur. Mam nadzieję, że to nie problem. Znajdzie pan dla mnie kilka minut?

– Proszę. – Wyraźnie zaintrygowany profesor wskazał jej stojące obok krzesło. – Niech pani usiądzie. Słucham, co panią do mnie sprowadza?

– Cóż, sprawa jest dosyć nietypowa. – Miała nadzieję, że uda jej się go zaintrygować i tym samym skłonić do podzielenia się wspomnieniami. – Przychodzę w sprawie Bolesława Skowrona. Pamięta go pan? Był chyba pańskim studentem. Opublikowaliście razem artykuł.

Sięgnęła do torby po tekst. Wydrukowała go w domu, żeby mieć go w zanadrzu w razie, gdyby profesorowi trzeba było odświeżyć pamięć. Okazało się to niepotrzebne.

– Bolesław Skowron. – Profesor odchylił się do tyłu, zdjął okulary i na chwilę zakrył dłońmi twarz. – Oczywiście, że go pamiętam. Jak mógłbym zapomnieć? Taki zdolny młody człowiek. Bardzo jestem ciekaw, jak mu się

życie potoczyło.

Spojrzał na nią z wyczekiwaniem.

– Niestety, nie mam dla pana dobrych wiadomości. Bolesław nie żyje.

– Nie żyje? – Profesor wybałuszył oczy, a na czole pojawiły mu się krople potu, które natychmiast wytarł wyciągniętą z kieszeni spodni materiałową chusteczką. – Co takiego się stało? Przecież on miał ledwie... ledwie... no nie więcej niż czterdzieści lat. Mam rację?

– Tak, zgadza się. Niestety podczas ostatnich mrozów zmarzył. Zasnął w nocy na śniegu i... no i tak się to skończyło.

Agata postanowiła nie wtajemniczać profesora, jak wyglądało życie Bolesława, jeśli nie będzie to konieczne. Wydawał się wystarczająco zmartwiony samym faktem jego śmierci. Szeroko pojętych okoliczności można mu było oszczędzić.

– Rozumiem. A pani jest z policji?

Agata westchnęła w duchu. Ile razy jeszcze usłyszy to pytanie?

– Nie, nie jestem z policji. Jestem po prostu jego sąsiadką, ale mieszkam tam od niedawna. Korzystając z wolnego czasu – wskazała znacząco na brzuch – postanowiłam lepiej zrozumieć, jakim był człowiekiem. Trafiłam na wasz wspólny artykuł i pomyślałam, że może pan rzuci trochę światła na jego przeszłość.

Profesor pokręcił głową.

– Nie jestem pewien, czy zwróciła się pani do odpowiedniej osoby.

– Dlaczego?

– Wie pani, ja nigdy nie byłem typem wykładowcy, który... – wyduł dolną wargę i zatoczył prawą dłoń kilka kółek w powietrzu, szukając właściwego słowa – ...brata się ze studentami. Żadnych spotkań poza wykładami, seminariami i wyznaczonymi dyżurami, żadnego chodzenia na piwo, żadnych pogaduszek o sprawach prywatnych. W sprawach naukowych zawsze byłem do dyspozycji, ale to, co poza tym, nigdy mnie nie interesowało. I nawet ja, taki, można by rzec, ignorant w tych sprawach, więc proszę pani nawet ja widziałem, że z tym chłopakiem jest coś nie tak. Tkwiła w nim jakaś tajemnica. Ale zarazem był bardzo inteligentny. To nie była taka inteligencja na pokaz. Nie szafował zabawnymi uwagami na wykładach, nie starał się nikomu zaimponować, nie był czytany, jego braki

w wiedzy ogólnej bywały zaskakujące, ale gdy przyszło do rozwiązania konkretnego problemu matematycznego, jego umysł wkraczał jakby na inne tory i potrafił zadziwić. Naprawdę, pod tym względem był wyjątkowy. Gdy dostrzegłem w nim ten talent, postanowiłem spróbować trochę go za sobą pociągnąć. Widziałem, że to nie jest chłopak, który ma łatwo w życiu. Ubierał się skromniej niż inni studenci, nie gromadził wokół siebie kolegów ani koleżanek, był bardzo zamknięty w sobie. Nie szukał ani towarzystwa, ani poklasku. Nie chciałem, by taki talent przeszedł przez uczelnię niezauważony. Chciałem dać mu nieco wiary w siebie. Dlatego zaprosiłem go do napisania tego artykułu. Trochę na wyrost został drugim autorem, ale czułem, że naprawdę tego potrzebuje. Takiego klepnięcia w plecy na rozpęd. I miałem wrażenie, że ten mój pomysł się sprawdził! Chłopak naprawdę jakby dostał skrzydeł! Proszę więc wyobrazić sobie moje zdziwienie, gdy nagle, niedługo po tym, jak ten artykuł się ukazał, przestał pojawiać się na wykładach, na seminariach. A wcześniej uczestniczył w nich bardzo sumiennie.

– Próbował się pan z nim kontaktować?

– Owszem, próbowałem, choć, jak już pani wspominałem, nie jest to dla mnie typowe zachowanie. Nie nawiązuję ze studentami relacji prywatnych. Ale tutaj miałem wrażenie, że granica została już wcześniej przekroczona. Naprawdę polubiłem tego chłopaka. Poszedłem do niego do domu. Adres miałem z dziekanatu. To pewnie nie całkiem legalne, więc proszę, niech pani tego nikomu nie powtarza. Nie chciałbym, żeby ktoś miał przez to kłopoty, choć minęło tyle lat. No więc poszedłem do niego do domu, żeby porozmawiać, spytać, co się stało, czy mogę jakoś pomóc. I proszę sobie wyobrazić, że dopiero wtedy, dopiero w tym momencie dowiedziałem się, że ten chłopak miał dziecko. Przecież tyle czasu razem spędziliśmy! A ja naprawdę nic nie wiedziałem.

Agata poszperała w pamięci. Rzeczywiście, Bolek i Halina mieli syna, który podobno był teraz na progu dorosłości. Pewnie o nim mówił profesor.

– Dopiero wtedy się urodziło?

– Nie, właśnie nie. Nie bardzo znam się na dzieciach, ale szacowałbym, że miało mniej więcej rok.

Nawet jeśli profesor nie był ekspertem w ocenianiu wieku dziecka po

wyglądzie, to roczniaka od noworodka z pewnością potrafił odróżnić.

– Czyli miał je już od jakiegoś czasu. Więc to nie samo pojawienie się dziecka spowodowało, że zdecydował się zrezygnować ze studiów.

– Ma pani rację. To nie dziecko samo w sobie było powodem. Bolek nie był chętny do rozmowy, ale udało mi się trochę pociągnąć go za język. Powiedział, że zmarł jego ojciec, który do tej pory pomagał im finansowo. Teraz musiał iść do pracy, by utrzymać rodzinę. Miał jeszcze starszego brata, ale ten brat nie byłby w stanie zapewnić bezpieczeństwa finansowego ani sobie, ani rodzinie Bolka.

– Wojciech... – mruknęła Agata.

– Co proszę?

– Nic, nic. Ten brat nazywa się Wojciech. Wczoraj z nim rozmawiałam.

– Aha. Ja tego brata nie miałem okazji poznać. W każdym razie po krótkim namyśle zaproponowałem Bolkowi pomoc. Powiedziałem, że poszukamy jakiegoś stypendium, napiszę mu dobrą opinię i powinno się udać zdobyć jakieś pieniądze. Są przecież różne programy pomocowe dla studentów. On tylko się zaśmiał. Pierwszy raz wtedy widziałem, aby głośno się śmiał, ale nie był to przyjemny śmiech. Powiedział, że za stypendium to on sobie może co najwyżej kupić bilet na autobus i kanapkę na obiad, ale że nie ma sposobu, by utrzymać za to dziecko. Powiedziałem więc, że pożyczę mu pieniądze. Nie mam dzieci, żony, na siebie dużo nie wydaję, a ten chłopak naprawdę miał w sobie coś takiego, że chciałem mu pomóc. Niestety tę propozycję też odrzucił. Nie chciał nawet o tym słyszeć. Dał mi do zrozumienia, że studia to dla niego zamknięty rozdział i najlepiej, abym już wyszedł.

– I co?

Profesor westchnął ciężko.

– I wyszedłem. Nigdy więcej go nie widziałem. Wie pani, ja nie mam takiej łatwości w narzucaniu innym swojej osoby. Mój świat to liczby, a nie ludzie. Wielokrotnie wyrzucałem sobie, że nie byłem dość stanowczy, że nie zawańczyłem o przyszłość tego chłopaka tak, jak powinienem był to zrobić. Ale nie umiałem.

Jego dłonie zaczęły się trząść. Agata kierowana odruchem uściśnęła jego rękę.

– Zrobił pan tyle, ile mógł. Poszedł pan do niego, zaproponował pomoc. To był dorosły człowiek i sam podjął decyzję, że nie chce z niej skorzystać. Nie powinien pan mieć do siebie pretensji.

– Tak, tak – przytaknął profesor, ale widać było, że niespecjalnie go przekonała.

– A jego żona, Halina? Nie nalegała, by skorzystał z tej propozycji?

Agacie trudno było uwierzyć, że żona mogłaby postąpić inaczej. Przecież lepsze wykształcenie Bolka byłoby szansą na poprawę życia dla całej ich rodziny, nawet jeśli wiązałoby się w zaciągnięciem długu. Z delikatną pomocą Wojtka przecież daliby radę. Ona mogła iść do pracy, Bolek mógł dorabiać na niepełny etat. Ale profesor pokręcił głową.

– Nie wiem, jak to tam między nimi było. Wtedy, przy mojej wizycie, prawie się nie odzywała. Była zajęta tylko dzieckiem. Nie pamiętam, by w ogóle wyraziła swoje zdanie.

– Dziwne... – mruknęła Agata.

Profesor wzruszył ramionami.

– Nie nam oceniać, jak to tam między nimi było.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi i nie czekając na zaproszenie, do pokoju zajrzał student z szopą czarnych włosów.

– Panie profesorze, ja chciałem to kolokwium omówić. Byliśmy umówieni.

Profesor zerknął na zegarek.

– Ach tak, prawda. Proszę niech pan jeszcze chwilę poczeka. Już kończymy.

Wyraźnie niezadowolony chłopak zamknął drzwi.

– Nie wiem, cóż więcej mógłbym powiedzieć – odezwał się profesor. – Nawet nie potrafię pani poradzić, z kim jeszcze powinna pani porozmawiać. On tu chyba nie miał kolegów, z nikim nie był szczególnie blisko.

– I tak jestem panu wdzięczna. Wiele się dowiedziałam – odparła Agata, wstając. – Nie będę pana dłużej zajmować, bo widzę, że obowiązki wzywają. – Wskazała wzrokiem na drzwi.

– Niech pani mi jeszcze jedno powie. Jak to z tym Bolkiem dalej było? Studiów pewnie nie skończył. Nie sądzę, żeby poszedł na inną uczelnię. Ale dobrze mu się życie ułożyło?

Agata przez chwilę biła się z myślami: co powinna powiedzieć? Prawdę? Chyba niekoniecznie. Tylko niepotrzebnie wpędziłaby profesora w poczucie winy.

– Dobrze mu się ułożyło. Syn dorósł, potem miał jeszcze córkę. Żył spokojnie, skupiony na rodzinie.

Mężczyzna pokiwał głową.

– To dobrze. Cieszę się, że życie go nie przerosło. I że znalazł pocieszenie w rodzinie.

Pożegnali się uprzejmie i Agata wyszła z gabinetu.

Wsiadając do samochodu, myślała o profesorze, tak całkowicie oddanym swojej pracy, zatopionym w świecie liczb. Z tego, co mówił, wynikało, że Bolesław był jedynym studentem, z którym chciał nawiązać bliższy kontakt. Aż żal było myśleć o tym, że Bolek miał przed sobą taką szansę i jej nie wykorzystał. Mógł skończyć studia i pod opieką profesora rozwijać karierę naukową. Mógł być wycofany, zamknięty w sobie czy po prostu dziwny. W karierze naukowca w dziedzinie matematyki chyba niespecjalnie to przeszkadzało. A jednak nie poszedł tą drogą. Dlaczego? Nie spytała profesora, czy już na studiach Bolka ciągnęło do alkoholu. Mężczyzna na pewno by się domyślił, skąd to pytanie, a potem mógłby się zadręczać, że nie zrobił więcej, by utrzymać Bolka na powierzchni.

Do tego dochodziło to dziwne zachowanie jego żony, Haliny. Czemu nie pchała go do przodu? Przecież to było także w jej interesie. A ona stała z boku i, skupiona na dziecku, pozwoliła, by Bolek się stoczył. Dla takiej bierności Agata nie umiała znaleźć usprawiedliwienia. Choć może było zupełnie inaczej. Przecież Agata miała do dyspozycji tylko szczątkowe informacje. Postanowiła, że przy okazji zapyta Kaśkę, jak ona pamięta te wydarzenia. Dzisiaj biedaczka miała spędzić w pracy cały dzień, więc to musi poczekać do jutra.

Jadąc ostrożnie, zgodnie z przykazaniem Kermita, powoli kierowała się w stronę domu. Wszelkie myśli o tym, w jakim stanie zastała wczoraj ganek i drzwi wejściowe, spychała do najdalszych zakątków umysłu. Nic nie świadczyło o tym, że grozi jej bezpośrednio jakieś niebezpieczeństwo. W nocy było spokojnie. Gładka powierzchnia śniegu wokół domu była niezaprzeczalnym dowodem na to, że nikt się tam nie kręcił. Powtarzała to

sobie jak mantrę.

Starła się myśleć o prostych, przyziemnych sprawach. Zastanawiała się, co przygotować na obiad. Może rybę? A może makaron z sosem pomidorowym? Szykowała się na spokojne, leniwe popołudnie wypełnione gotowaniem, muzyką, może jakąś książką.

Niestety, rzeczywistość znów miała pokrzyżować jej plany.

Czerwiec 1996 roku

Ciepłe podmuchy wiatru, tak bardzo wyczekiwane u progu lata, niosły zapach świeżo skoszonej trawy. To pewnie pani Kowalikowa potraktowała swój ogród kosiarką. Wojtek zerknął w stronę ogródka sąsiadki. Miał rację. Równiutko skoszony trawnik bił po oczach intensywną zielenią, a kompostownik był po brzegi wypełniony skoszonymi źdźbłami. Wojtek postanowił, że w weekend też zajmie się ogródkiem. Nie było szans, by ich poligon dorównał urodą ogródkowi sąsiadów, ale też Wojtek nie miał takich ambicji. Pomyślał tylko, że przyjemnie będzie spędzić sobotę na prostych pracach fizycznych, odmóżdżyć się trochę. A i niedziela będzie przyjemniejsza, jak będzie można wyjść na w miarę uprzątnięty teren. W bałaganie nigdy nie umiał odpoczywać.

– Ty, Bolek.

– Co? – spytał brat, zamykając za sobą furtkę.

– Może byśmy ogarnęli tu trochę podwórko w sobotę?

– Powaliło cię? – Bolek skrzywił się i spojrzał na niego jak na wariata. – Co ja, nie mam co robić w sobotę?

– No tak, Halinka... – Wojtek uśmiechnął się pod nosem. – Ale jakbyś miał ją kiedyś zaprosić, to lepiej, żeby tu było uprzątnięte. – Wskazał na walające się pod płotem stare połamane doniczki, śmieci, które wiatr nawiał z ulicy, uschnięte krzaki, ziemię rozkopaną przez krety.

– Kurwa, Wojtek, jeszcze na łeb nie upadłem, żeby ją tu zapraszać. I wierz mi, nie o bałagan na podwórku tu chodzi. Obawiam się, że to u nas w domu najmniejszy problem...

Wojtek popatrzył smutno na brata, po czym wzruszył ramionami.

– W sumie racja. Ale wiesz co? Może byśmy na browar gdzieś skoczyli razem?

Bolek się roześmiał.

– Na browar? Teraz jednak browarów ci się zachciało? To już nie jestem gówniarzem, dla którego masz tylko te swoje falliczne parówki?

– Tydzień to tydzień, a weekend rządzi się swoimi prawami – odparł Wojtek i klepnął brata po ramieniu. – To jak? Wyskoczmy gdzieś?

– Spierdalaj! – Bolek roześmiał się głośno. Wojtek pomyślał, że brat chyba nigdy nie był tak wyluzowany i tak skory do śmiechu jak dzisiaj. – Jak ci się z tą twoją laską nudzi, to weź se gdzie indziej rozrywki poszukaj, co?

Wojtek szybko odegnał myśli o Paulinie. Nie chciał, by popsuły mu dzisiejszy wieczór.

– Jak tam sobie chcesz – powiedział, jakby było mu wszystko jedno, choć tak naprawdę było mu trochę przykro. Chciałby spędzić z Bolkiem trochę czasu teraz, gdy wydaje się taki szczęśliwy. I chętnie poznałby tę Halinkę. Oczywiście znał ją ze widzenia, ale teraz to było co innego. Teraz chętnie by z nią porozmawiał i sprawdził, co w tej skądinąd całkiem atrakcyjnej dziewczynie siedzi. Co zaprzęta jej myśli, jakie ma poglądy na różne sprawy i najważniejsze – czy nie zrani jego brata. Ale nie mógł się przecież tak narzucać. Jeśli Bolek nie chce jego towarzystwa, nie ma co naciskać. Zresztą trudno się dziwić. Teraz, gdy w końcu zaczęło mu się układać z dziewczyną, do której wzdychał przez tyle lat, zapewne jedna z ostatnich rzeczy, których pragnął na jednej z pierwszych randek, był starszy brat.

Wyjął z plecaka klucze i chciał włożyć je do zamka, ale Bolek go ubiegł.

– Po co ci klucze? – rzucił. – Starzy na pewno są w domu.

Nacisnął klamkę i okazało się, że miał rację – drzwi stanęły przed nimi otworem.

Wojtkowi od razu, gdy tylko weszli na korytarz, coś się nie spodobało – a może to dopiero później, gdy tysiące razy odtwarzał w myślach ten moment, jego wyobraźnia dodała ten element tajemniczego przeczucia? W każdym razie zawsze, gdy myślał o tej chwili, uderzało go wrażenie dziwnego znieruchomienia. Jakby cały świat zamarł. Jakby nie wiał żaden wiatr, nie bzyczała żadna mucha, nie szumiała żadna lodówka. Po prostu kompletna cisza i bezruch. Sam nie wiedział, dlaczego nie zawołał: „Mamo! Tato!”. Tknięty dziwnym przeczuciem ruszył przed siebie, a Bolek krok za nim. W pół minuty znaleźli się w kuchni. Przy stole siedział ojciec. Przed nim na blacie leżał zdjęty z ręki zegarek na skórzanym pasku, opróżniona w jednej

czwartej butelka wódki i kieliszek, jeszcze wilgotny, ale pusty.

– Tato? – wykrztusił. – Co się dzieje? Gdzie jest mama?

Ojciec spojrział na niego nieprzytomnym wzrokiem. Oczy miał zaczerwienione, a spojrzenie zupełnie nieobecne, jakby syn wyrwał go z jakiegoś transu.

– Tato?! – krzyknął Wojtek.

I wtedy ojciec spojrział na drzwi do piwnicy, zwykle zamknięte, tym razem otwarte na oścież. I Wojtek zrozumiał.

Rzucił się w kierunku tych drzwi, zapalił światło i spojrział na dół.

U stóp schodów leżała matka. Gdyby nie czerwona kałuża krwi wokół jej głowy, wyglądałaby, jakby spała. Jej klatka piersiowa wciąż delikatnie się poruszała.

– Tato?! Pogotowie! Musimy wezwać pogotowie! – krzyknął Wojtek i podbiegł w stronę telefonu stacjonarnego wiszącego przy wejściu do kuchni.

Wtedy ojciec jakby się zbudził. Zerwał się z krzesła i pierwszy dopadł do aparatu. Szarpnął i wyrwał słuchawkę.

– Ani mi się waż – syknął. – Ani mi się, kurwa, waż! Dość już przeżyłem z tą psychopatką. Sama spadła, nie zepchnąłem jej, ale nie pozwolę nikomu jej uratować. Niech zdycha!

Zdezorientowany Wojtek spojrział na ojca, na dyndającą w jego dłoni słuchawkę, a w końcu na Bolka, który z twarzą białą jak ściana i szeroko otwartymi ustami wpatrywał się w nieruchomą matkę.

– Bolek – powiedział. – Bolek, wyjdź stąd.

Ale brat jakby go nie słyszał. Nie poruszył się ani o milimetr. Przerazenie sprawiło, że zastygł jak posąg.

– Nie oddycha – wyszeptał w końcu. – Ona już nie oddycha...

Wojtek rzucił się znów w kierunku schodów do piwnicy i spojrział na matkę. Rzeczywiście, jej klatka piersiowa przestała się poruszać. Oczy uchyliły się i półotwarte spoglądały w przestrzeń.

Nie oglądając się na ojca, zbiegł na dół i przyłożył palce do szyi matki.

Ani śladu pulsu.

Położył ją na plecach i zaczął reanimować. Rok temu, gdy robił prawo jazdy, przeszedł kurs pierwszej pomocy, ale niewiele z niego pamiętał. Odbębnił go, byle zaliczyć. Teraz gorączkowo szukał w pamięci strzępów

informacji, które podpowiedziałyby mu, co robić. Instynktownie kilka razy ucisnął jej klatkę piersiową, a potem zatkał nos i wdmuchnął jej powietrze do płuc. Powtórzył to kilka razy, ale bez skutku. Matka nie żyła. Ostatecznie i nieodwołalnie nie żyła. Ale jeszcze chwilę temu nie było to aż tak nieodwołalne. Przecież oddychała!

– Co ty zrobiłeś? – krzyknął do ojca. – Co ty, kurwa, zrobiłeś?!

Nigdy przedtem nie zwracał się do niego w ten sposób, ale tym razem nie wytrzymał.

– Uspokój się – powiedział ojciec zadziwiająco spokojnie. – Wstań i chodź tu na górę.

Wojtek spojrzał jeszcze raz na matkę. Już nic nie mógł dla niej zrobić. Spojrzał w stronę kuchni. Przy drzwiach do piwnicy wciąż stał Bolek, wciąż z tym samym nieobecny wyrazem twarzy, wciąż z tą samą bladością. Dlaczego? Dlaczego to musiało zdarzyć się właśnie teraz, właśnie przy nim? Śmierć matki jako taka nie martwiła Wojtka aż tak bardzo. Odkąd pamiętał, rozsiewała wokół siebie tylko negatywne emocje. Nigdy nie był z nią naprawdę blisko. Dużo bardziej przejmował się tym, czego świadkiem był przed chwilą jego brat.

Wstał i rzuciwszy matce jeszcze jedno spojrzenie, ruszył na górę. Nie może tkwić tu w piwnicy w nieskończoność. Coś trzeba zrobić. Podjąć jakieś działania. Tylko co się robi, gdy ktoś umiera? Do kogo się dzwoni? A co się robi, gdy do śmierci twojej matki przyczynił się twój ojciec? Zepchnął ją czy nie – to było teraz nie do rozstrzygnięcia. Nie ulegało natomiast wątpliwości, że nie udzielił jej koniecznej pomocy. Wiedział, że leży tam na dole i umiera, a nie zrobił nic. I co się robi w takiej sytuacji?

Gdy Wojtek wszedł do kuchni, ojciec właśnie stawiał na stole dwa dodatkowe kieliszki.

– Siadajcie – powiedział. – Musimy ustalić kilka spraw.

Bolek spojrzał na Wojtka pytająco, a Wojtek kiwnął głową. Spokój. To właśnie przebijało ze słów ojca. Tego teraz potrzebowali. Spokojnej chwili zastanowienia.

We trzech usiedli przy stole.

Ojciec rozlał kolejkę i podsunął synom pełne kieliszki. Uniósł swój w geście niemego toastu i bez słowa wychylił do dna. Bolek poszedł jego

śladem, ale strasznie się zakrztusił. Kasłał tak, że jego twarz zrobiła się całkiem czerwona, a z oczu pociekły mu łzy.

Wojtek zostawił swój kieliszek nietknięty.

Gdy Bolek przestał kasłać, ojciec odchrząknął.

– Hmm... Więc, tak, chłopcy, wasza matka nie żyje.

Wojtek zacisnął pod stołem pięści i z całych sił zdusił chęć, by wstać i uderzyć ojca w twarz. Ojciec zdawał się w ogóle tego nie zauważać.

– Nie wiem, czemu wróciliście tak wcześniej, nie powinno was tu być, ale trudno, stało się. Przyszliście i zobaczyliście to, czego zobaczyć nie powinniście. Teraz musimy się zastanowić, co z tym zrobić.

– No jak to co? – wybuchnął Wojtek. – Dzwonimy na policję! To chyba jasne, nie?!

Ojciec spojrzał najpierw na pełny kieliszek syna, a następnie na niego.

– Owszem, możecie tak zrobić. Wtedy zapewne dostanę wyrok za nieudzielenie pomocy, bo możecie mi wierzyć lub nie, ale ja jej nie zepchnąłem. Sama się potknęła i poleciała prosto na głowę. Nie znajdują żadnych śladów, że jej w tym pomogłem. Spędzę więc w więzieniu nie więcej niż kilka lat, a potem wyjdę i będę dalej cieszył się życiem, w świętym, kurwa, spokoju. Ale co z wami? Nad tym się zastanówcie. Przede wszystkim co z Bolkiem? Ty, Wojtek, jesteś dorosły. Wprawdzie nie masz jeszcze pracy, ale gdyby była potrzeba, jakoś byś na siebie zarobił. Ale co będzie z Bolkiem? Żaden ze mnie ekspert, ale coś mi mówi, że gdy ja pójdę za kratki, Bolek trafi do bidula. Nie macie żadnej dobrej cioci ani wujka, którzy by się nim zajęli. Tobie, Wojtek, nie przyznają nad nim opieki. Nie masz pracy. Ledwie skończyłeś osiemnaście lat. Nie chcesz chyba zawalić studiów i całej swojej przyszłości tylko po to, by wsadzić mnie do więzienia za to, że nie zadzwoniłem w porę na pogotowie. Nie zaryzykujesz tego, że Bolek będzie musiał zrezygnować ze szkoły, w której trafił na tego swojego profesorka od matematyki. Nie jesteś aż tak głupi ani aż tak krótkowzroczny.

Ojciec nie przerywając przemowy, znów nalał po pełnym kieliszku sobie i Bolkowi.

– Pij, Bolek! To ci ukoji nerwy – polecił, a syn posłusznie wypił do dna, znów krztusząc się, choć nieco mniej niż za pierwszym razem. – Jak więc widzicie, wszystkim nam oplaca się nie wsadzać mnie do więzienia. Ty,

Wojtek, skończysz spokojnie studia. Bolek skończy liceum i, kto wie, może też zahaczy się na jakiejś uczelni. Ja się wami zaopiekuję. Utrzymam was sam. Matka i tak ostatnio nie pracowała, tylko siedziała w domu i zrzędziła. Poradzimy sobie. Ale żeby to wszystko się udało, musicie być dzielni.

Ojciec zwrócił się do Bolka:

– Bolek, dasz radę, chłopie, prawda? Prawdziwy mężczyzna musi być silny! – Ścisnął syna za ramię. – Wojtek, ty dotykałeś matki, więc nie możemy powiedzieć, że cię tu nie było. Zeznamy, że ja zasnąłem na górze i nie słyszałem, jak matka spadła ze schodów. Wypiłem sobie i spałem jak niemowlę. W końcu przyszliście wy. Sąsiedzi mogli widzieć, że wchodziliście razem do domu, więc tego musimy się trzymać. Ty, Bolek, poszedłeś prosto na górę, do swojego pokoju. Byłeś zmęczony i nie miałeś ochoty z nikim rozmawiać. Poza tym po szkole wychyliłeś dwa kielony wódki – ojciec wskazał na pusty kieliszek – i nie chciałeś, żeby rodzice coś wyczuli, więc od razu zaszyłeś się w swoim pokoju. A ty, Wojtek, najpierw poszedłeś do łazienki, pokręciłeś się chwilę po salonie i dopiero potem wszedłeś do kuchni. Twoją uwagę zwróciły otwarte drzwi do piwnicy. Zajrzałeś i odkryłeś leżącą na dole matkę. Niestety, już nie żyła. Próbowaliśmy ją ratować, ale nic z tego. Nie udało się.

Wojtek w milczeniu patrzył na ojca. Zaskoczyło go, jak spójny tok wydarzeń mógł sklecić naprędce ojciec. Ciekawe, jak to planował od samego początku. Zwykle nie pił wódki. Wojtek nie pamiętał, by kiedykolwiek widział go pijącego samotnie. Czy to „zaśnięcie” na górze planował przed ich przyjściem? Bardzo prawdopodobne. Trudno jednak było zaprzeczyć temu, że to, co ojciec mówił, miało sens. To nie o ojca tutaj chodziło, tylko o Bolka. To o jego przyszłości decydowali. Ojciec posiedzi trochę w więzieniu, ale potem wyjdzie i będzie sobie dalej żył. Wojtek, nawet gdyby musiał rzucić studia, jakoś by sobie w życiu poradził. Zawsze był obrotny i umiał dogadywać się z ludźmi. Ale Bolek, jeśli teraz zmieni szkołę, straci tego swojego profesora, nie mówiąc już nawet o Halince, to on się przecież rozsypie. Ta jego obecna świetna forma to przecież kolos na glinianych nogach. Jak coś mu te nogi przetrąci, to zostanie z niego nie więcej niż kupka popiołu. W domu dziecka przecież sobie nie poradzi. Trzeba go ratować. Mając przed sobą taki cel, Wojtek był gotów na wiele.

– Ojciec ma rację – powiedział do brata. – Tak będzie najlepiej. Nie chcesz rezygnować ze szkoły. Nie chcesz rezygnować z Halinki. Nie możesz zrezygnować ze swojego życia. Ani dla ojca, ani dla matki. Ty jesteś ważny. Rozumiesz, Bolek? To ty się tutaj liczysz. Gdy przyjedzie policja, powtórzysz to, co powiedział ojciec: wypiliśmy dwie lufy wódki, dlatego po powrocie do domu poszedłem prosto do swojego pokoju. Potem usłyszałem moje wołanie z dołu i dopiero wtedy przybiegłem. Powtórz.

Bolek powtórzył. Jego głos był beznamiętny, a wzrok nieprzytomny.

Wojtek nie był pewien, czy po przyjeździe policji Bolek się nie rozsypie, ale nie było rady. Nie mogli dłużej zwlekać. Jeśli ktoś widział ich wchodzących do domu, jeśli ich opowieść ma brzmieć wiarygodnie, trzeba dzwonić po policję już teraz.

– Daj mi ten telefon – zwrócił się do ojca. – Zadzwoń na policję i powiem, co ustaliliśmy.

Ojciec wręczył mu słuchawkę. Wojtek obejrzał kabel. Był nieuszkodzony. Wystarczyło włożyć złączkę do aparatu, by wszystko działało jak należy. Podszedł i bez problemu przywrócił sygnał w słuchawce. Zanim wykręcił numer policji, zwrócił się do ojca:

– A ty, szujo, już nigdy więcej nie waż się do mnie odezwać.

Ojciec spojrzał na niego poważnie, po czym skinął głową.

Jadąc swoją ulicą, nie dalej niż kilometr od domu, Agata zobaczyła idącą chodnikiem Bożenę. Otulona w ciepłą czarną kurtkę i w butach Emu nadal wyglądała zgrabnie. Jak, u licha, ona to robi? Agata pomyślała, że może wcale nie musi czekać do jutra, aby dowiedzieć się więcej o tym, jak to było z tym rzucaniem studiów przez Bolka. Przecież to niekoniecznie Kaśka musi być źródłem informacji. Bożena też wtedy tu mieszkała i przyjaźniła się z Haliną. Może od niej czegoś się dowie. Poza tym Agata – choć nigdy by tego nie przyznała – czuła niepokój na myśl o tym, co może zastać w domu, a konkretnie na ganku. Czułaby się pewniej w czyimś towarzystwie.

Zwolniła i otworzyła okno od strony pasażera.

– Cześć – zagadnęła.

Bożena była wyraźnie zaskoczona.

– Cześć.

– Może miałabyś ochotę na kawę? Jadę właśnie do domu i pomyślałam, że może chciałabyś wpaść.

– Teraz?

Pięknie ukształtowane brwi Bożeny uniosły się jeszcze wyżej. Cóż, może rzeczywiście za słabo się znały, aby taka propozycja wyglądała naturalnie. W końcu rozmawiały tylko raz, u Kaśki. Ale słowo się rzekło, a konsekwencja to cnota.

– A czemu nie? Nie mam żadnych planów na teraz, więc jeśli masz ochotę, to zapraszam. – Uśmiechnęła się zachęcająco.

– W sumie nic nie stoi na przeszkodzie – odparła Bożena i wsiadła do samochodu.

Agata aż się cofnęła. Jej wyczulony zmysł powonienia od razu wyczuł woń alkoholu. Szybko rzuciła okiem na zegar na desce rozdzielczej. Dochodziła dwunasta. Czy to możliwe, że Bożena piła tak wcześniej? Inne wytłumaczenia nie było. Starając się nie patrzeć jej w oczy, Agata

ruszyła.

Po chwili dojechały do jej domu. Ganek był w stanie nienaruszonym. Wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy stąd wyjeżdżała. Żadnych podejrzanych śladów, żadnej krwi, żadnych martwych zwierząt. Gdy weszły do środka, od razu nastawiła wodę na herbatę.

– Owocowa, czarna, zielona? – spytała.

– Czarną poproszę. A masz może coś rozgrzewającego, żeby do niej dorzucić? – Bożena zatarła ręce. – Trochę przemarzłam.

Agata otworzyła szafkę z przyprawami.

– Goździki? Cynamon? Imbir?

– A może coś mocniejszego? Wiesz, wytelepało mnie trochę.

Uuuu... No, nieźle. Ale gościowi nie wypada odmówić.

– Tak, mam żurawinówkę.

Sięgnęła do szafki po butelkę nalewki domowej roboty, którą sprezentowała im Maria.

– Długo jeszcze zostajesz w Polsce? – spytała, by jakoś zagaić rozmowę.

– Nie. Za dwa dni wyjeżdżam. Muszę wracać do Anglii. Praca czeka.

– Praca i mąż. – Agata uśmiechnęła się do niej znad parującego kubka, ale Bożena w odpowiedzi tylko się skrzywiła. – Ojej, powiedziałam coś nie tak? Przepraszam! Nie chciałam wtrącić się w twoje sprawy.

– Ech – westchnęła Bożena. Sięgnęła po stojącą na blacie butelkę z żurawinówką, a z suszarki do naczyń wzięła niewielką szklanekę. – Mogę? – spytała.

Agata kiwnęła przyzwalająco głową. Nie wydawało jej się, by picie o tej porze było dobrym pomysłem, ale kim była, by kogokolwiek pouczać? Bożena nalała pełną szklanekę nalewki i jednym haustem opróżniła połowę.

– Rozwodzę się – powiedziała, gdy przełknęła alkohol. – Nikomu tutaj o tym nie mówiłam, tylko Kaśce. Moi rodzice będą zdruzgotani, jak się dowiedzą. Mają takie dobre zdanie o Jimie, tacy byli ze mnie dumni, opowiadali wszystkim sąsiadom, jakie to mam wspaniałe życie, a teraz trzeba będzie wszystko odkręcać. Po to zresztą przyjechałam, żeby im o tym powiedzieć osobiście. No i widzisz, jak wyszło. Stchórzyłam. – Uśmiechnęła się kwaśno. – Jestem tu już niemal dwa tygodnie, a nie zająknęłam się na ten temat nawet słowem.

– Przykro mi. Rozumiem, że to już postanowione?

– Postanowione od dawna, dokumenty są już w sądzie. – Bożena kolejnym haustem opróżniła szklankę. – Wszystko posypało się po tym, gdy lekarze zdiagnozowali, że nie mogę mieć dzieci. I nic nie da się z tym zrobić. Jim zawsze chciał mieć dużą rodzinę. Sam ma trójkę rodzeństwa i uważa, że to idealny model. Nie chciał adoptować. Twierdzi, że nie jest pewien, czy pokochałby cudze dziecko. U niego jednak dominuje atawistyczna potrzeba przekazania dalej swoich genów. Oczywiście nie powiedział mi tego wprost. To w końcu dobrze wychowany, uprzejmy człowiek. Ale od momentu, kiedy stało się jasne, że ze mną dzieci mieć nie będzie, wszystko zaczęło się rozłazić. Gdzieś zatraciliśmy bliskość, a ja nie umiałam jej odbudować. Tym bardziej że dobrze wiedziałam, jakie jest podłoże tej sytuacji. Nie do zmiany. Nie widziałam sensu, by walczyć o coś, co i tak było skazane na porażkę. Co zawsze byłoby jakiegoś rodzaju kompromisem. Nie wierzę w takie kompromisy. Pozwoliłam mu się oddalić, a on znalazł sobie inną kobietę.

– Ojej. – Agata nie umiała znaleźć żadnego mądrzejszego komentarza. Bo co się mówi obcej kobiecie w takiej sytuacji? Że jej mąż to drań? Jim, z tego co usłyszała, nie sprawiał wrażenia kompletnego łajdaka.

– Oczywiście to jeszcze nic oficjalnego, ale wiem, że kogoś ma. Przecież nie jestem głupia. – Znow ten kwaśny uśmiech. – Doleję sobie jeszcze, jeśli pozwolisz.

Nie czekając na odpowiedź, sięgnęła po butelkę i znow napełniła szklankę. Agata pomyślała, że jak tak dalej pójdzie, to nawet nie spróbuje tej nalewki. Nie wypadało jednak zabrać jej ze stołu. Gdyby Bożena była jej przyjaciółką, na pewno by zareagowała, ale Bożena jej przyjaciółką nie była.

– A więc widzisz, jak to moje niby idealne życie wygląda. Tutaj wszyscy myślą, że złapałam pana Boga za nogi. Zazdroszczą mi. Myślisz, że nie widzę, jak na mnie patrzą? Tylko nie myśl sobie, że jestem jakaś zarozumiała czy coś w tym stylu. Wcale nie uważam, że moje życie jest lepsze, czy może więcej warte. Ale oni, a przynajmniej część z nich tak myśli. Takie są fakty i nie ma co owijać w bawełnę.

– Racja – przyznała Agata.

Trudno było się nie zgodzić. Bożena w widoczny sposób odstawała od tutejszej społeczności. Wrodzona uroda to jedno, ale gdy dodała do tego zabiegi kosmetyczne, świetnego fryzjera, doskonale skrojone ciuchy i obycie w wielkim świecie, z lekkiego odstawania robiła się przepaść. Skoro Agata to widziała, to dla osób, które znały Bożenę kilkanaście lat temu, musiało to być tym bardziej uderzające. Upadek z takiego piedestału będzie musiał być bolesny. Pewnie nawet nie tyle dla niej, ile dla jej rodziców. Ona za dwa dni wyjedzie, a oni będą musieli tu zostać i znosić spojrzenia sąsiadów, za którymi będzie się kryła złośliwa satysfakcja spod znaku „A jednak ta wasza córka nie jest taka wspaniała, jak wszyscy myśleli”. I nie będzie miało znaczenia, że Bożena ma za granicą świetną pracę, że być może ma grono oddanych przyjaciół i ogólnie całkiem udane życie. Dla tych ludzi najważniejsze będzie to, że w małżeństwie jej nie wyszło. To właśnie zapamiętają i o tym będą mówić przez najbliższe miesiące. Agacie było jej naprawdę żal.

– Wiesz co? Nie przejmuj się tym, co myślą inni. Wiem, że to łatwo powiedzieć, ale postaraj się naprawdę mieć to w dupie.

Bożena parsknęła śmiechem.

– Co? – Zdziwiła się Agata.

– Nie no, nic. Po prostu wulgaryzmy jakoś do ciebie nie pasują. Zaraz będzie matka dzieciom, a takich słów używa.

Agata się roześmiała.

– No i wiesz co? Mam to w dupie! Bierz przykład!

Obie serdecznie się roześmiały. Agata nagle poczuła dojmujące ssanie w żołądku.

– Ale zgłodniałam! – Trzeba było szybko coś przygotować. – Masz ochotę na makaron z sosem pomidorowym?

– Pewnie!

Po chwili woda już pyrkotała w garnku. Agata nachyliła się i dodała łyżeczkę soli. Uwielbiała ten widok, gdy sól wpadała do wrzącej wody i nagle w środku powstawała chmura. Nigdy nie przegapiała tego momentu. Tym razem też nachyliła się nad garnkiem i mimo pary osiadającej jej na twarzy obserwowała tak dobrze znany, ale niezmiennie zachwycający spektakl. Dodając makaron, przypomniała sobie, po co w ogóle zaprosiła

tutaj Bożenę.

– Bożena, mam pytanie. Pamiętasz może, jak to było z tym, że Bolek rzucił studia?

– Hmm... – Kobieta zmarszczyła brwi i popukała palcem wskazującym w dolną wargę. – No tak, rzeczywiście, przecież on coś tam studiował. Zupełnie o tym zapomniałam! Co to było? Chemia? Fizyka?

– Matematyka.

– Tak, możliwe że matematyka... Tak, teraz pamiętam! No więc jak Halinka zaszła w ciążę, to jego ojciec zaoferował, że jeśli Bolek chce studiować, to on pomoże im finansowo. Oboje oczywiście chętnie się na to zgodzili, wzięli ślub i zamieszkali kątem u jego ojca. Bolek poszedł na te studia i chyba nawet jakoś mu tam całkiem nieźle szło, ale niedługo potem ojciec umarł. Udar miał czy zawał, naprawdę nie pamiętam, tyle lat już minęło, ale to była taka nagła śmierć, że nikt się nie spodziewał. No i oni zostali we dwójkę z tym dzieckiem, to jest Sebkiem, i trzeba było się jakoś utrzymać. Ojciec póki żył, to zarabiał, ale oszczędności specjalnych nie miał, więc Bolek i Halinka musieli zacząć radzić sobie sami. U rodziców Haliny nigdy się nie przelewało, więc tu na pomoc nie mieli co liczyć. Poza tym oni byli na nią strasznie źli za tę ciążę. Chyba nigdy tak do końca jej tego nie wybaczyli. W każdym razie dopóki ja tutaj mieszkałam, to wiem, że ich stosunki nie były specjalnie różowe.

– Nie pomagali jej przy dziecku?

– A skąd! Wyszli z założenia, że skoro zrobiła sobie dzieciaka, to niech go teraz bawi. Nic a nic jej nie pomagali. Zresztą to była taka wtopa... – Bożena pokręciła głową.

– Jaka wtopa? – spytała Agata, mieszając bulgoczące w garnku pomidory.

– No ta ciąża! Wiesz, że Halinka zaszła w ciążę już po pierwszym razie? Umówili się na randkę, wypili jakieś tanie wino, no i stało się. Tam w grę nie wchodziła żadna wielka miłość, na pewno nie z jej strony. On to za nią latał, odkąd pamiętam, ale ona nie była nim zainteresowana. W sumie nie wiem, czemu się wtedy z nim umówiła. Pewnie po prostu z nudów. Po tym pierwszym spotkaniu mówiła, że chyba już się nie będzie z nim widywać. Nawet mi i Kaśce nie powiedziała, że do czegoś między nimi doszło! A

potem okres zaczął się jej spóźniać i okazało się, że jest w ciąży. Wyobrażasz sobie, jaka była załamana? Powiedziała Bolkowi, a on na to, żeby nic się nie martwiła, że się z nią ożeni, że jakoś sobie poradzą. Ona wcale tego ślubu nie chciała, ale chyba nie widziała żadnej innej drogi. Do ołtarza to szła jak skazaniec na ścięcie. Ja od początku jej mówiłam, że źle robi, że niech już nawet urodzi tego dzieciaka, ale przecież nie musi od razu ślubu brać! Ale do niej to nie docierało. Zachowywała się tak, jakby zrobiła już pierwszy krok w przepaść i nie pozostawało jej nic innego jak tylko lecieć w dół, aż się rozbije w drobny mak.

– Straszne... – Agata pokręciła głową. Przykro jej było tego słuchać, ale nie umiała się zdobyć na choćby odrobinę sympatii w stosunku do Haliny. Zachowanie, które opisywała Bożena, było jej zupełnie obce. Trudno jej było identyfikować się z kimś, kto tak bardzo nie szanuje siebie, swojego życia, swojego szczęścia. Kogoś, kto nie podejmuje żadnego wysiłku, by o siebie zawalczyć.

– No, niewesołe. A po urodzeniu dziecka nic się nie poprawiło. Teraz jestem mądrzejsza, niż byłam wtedy. Teraz wiem, że istnieje coś takiego jak depresja poporodowa, ale wtedy nikt o czymś takim nie słyszał, w każdym razie nie u nas. Nie miała lekko ta Halina.

Bożena pociągnęła kolejny łyk ze szklanki. Agata zerknęła na butelkę. Była prawie pusta. Jak ona zdążyła to tak szybko wybombić?

– Ech, zmęczyłam się trochę tym dzisiejszym dniem – westchnęła Bożena. – Masz tu jakąś kanapę? Może bym się położyła na chwilę.

Agacie niezbyt się to uśmiechało, ale wypuszczanie Bożeny na mróz w takim stanie nie byłoby rozsądne. Analogia do Bolka narzucała się sama. Agata wskazała więc jej drogę do dużego pokoju.

– Jasne, jest w salonie. Na fotelu leży koc, to się przykryj. Makaron za chwilę powinien być gotowy.

– Dziękuję – mruknęła Bożena i poczłapała we wskazanym kierunku.

Gdy dziesięć minut później Agata przyniosła jej talerz z obiadem, kobieta spała. Agata odstawiła talerze na stół i szczerzej okryła Bożenę kocem. Następnie usiadła i w ciszy zjadła posiłek, pyszny w swojej prostocie.

Kiedy już się najadła, nogi same poniosły ją do pokoiku, który przygotowali dla dziecka. Wszystko było gotowe. Łóżeczko posłane,

przykryte kocykiem, by pościel się nie kurzyła. Śliczna biała komoda wypełniona po brzegi ubrankami: po części nowymi, w większości od Aśki. Nad łóżkiem karuzelka, obok fotel do karmienia. Sceneria jak z jakiegoś czasopisma o urządzeniu wnętrz. Wszystko takie nieskazitelne, ale zupełnie bez życia. Bez lokatora. Gdy pojawi się dziecko, zrobi się bardziej swojsko.

Agata usiadła w fotelu i przykryła się kocem. Położyła ręce na brzuchu. Dziecko delikatnie się poruszało. Agata uśmiechnęła się pod nosem. Chociaż jej córka, podobnie jak dziecko Haliny, nie była planowana, to na pewno była oczekiwana i z pewnością będzie kochana. Agata poczuła ukłucie wyrzutów sumienia, gdy zdała sobie sprawę z tego, że w ostatnich tygodniach skupiała się bardziej na niedogodnościach, które powodowała ciąża, niż na tym, jak wielkie szczęście ją spotkało, że w ogóle będzie miała dziecko. Nie każdemu było to dane. Bożena pewnie chętnie by się z nią zamieniła, choć gdy Agata odtwarzała w myślach ich rozmowę, zdała sobie sprawę z tego, że Bożena ani razu nie wspomniała, że sama chciałaby mieć potomstwo. Uderzające było to, że mówiąc o swojej sytuacji, miała na względzie głównie zawiedzione nadzieje Jima i wstyd przed rodzicami. O swoim żalu w ogóle nie wspomniała. Może więc sam fakt, że nie może mieć dzieci, nie był dla niej aż taką tragedią? W końcu nie każdy musi widzieć się w roli matki. Nie mówiła też o tym, że rozwód ranił jej uczucia. Może więc sama już nie kochała Jima? Po tej analizie Agata odczuła ulgę. Może sytuacja Bożeny nie była aż taka beznadziejna, jak mogłoby się wydawać. Jeśli ona nie chce mieć dzieci i nie kocha męża, szybko pozbiera się po rozwodzie. A jej rodzice jakoś to przeżyją. Muszą pogodzić się z tym, że to nie ich uczucia są w tutaj najważniejsze.

Z dołu dobiegło pochrapywanie Bożeny. Agata zachichotała. Kto by pomyślał, że piękna Bożena może chrapać jak stary dziad? Dobrze, że ją zaprosiła. Jej obecność dodawała Agacie otuchy. Wprawdzie był jeszcze dzień, ale słońce mimo wczesnej pory było coraz niżej, kolory stawały się coraz bardziej szare i przytłumione. A gdzieś tam, na zewnątrz, przebywała osoba, która zabiła kota. Drzwi wejściowe na pewno były zamknięte na klucz, ale mimo to Agata nie czuła się bezpiecznie. Gdyby komuś udało się wejść, co mogłaby zrobić? Poszukała dłonią telefonu komórkowego, z którym się teraz nie rozstawała. Był w kieszeni. W razie czego zawsze

mogła zadzwonić na policję. Ale co by jej to dało? Gdyby ktoś się tu wdarł po to, by zrobić jej krzywdę, przed przyjazdem policji z pewnością zdołałby zrealizować swój plan. A taka śpiąca Bożena na dole zawsze była jakimś zabezpieczeniem. W razie czego jest szansa, że się obudzi i chyba – tu też pewności nie było – przyjdzie jej z pomocą.

Pokręciła głową. Coś za bardzo paranoiczna robi się ostatnimi czasy. Może jednak nie była stworzona do mieszkania w domu wolnostojącym? Jeszcze kilka miesięcy temu zgodnie stwierdzili z Kermitem, że to najlepsze wyjście. W domu będzie im najwygodniej, będzie dużo miejsca, ogródek, cisza i spokój. I nikt nie będzie miał pretensji, że dziecko płacze w nocy. Tylko że to miało też drugą stronę medalu. Gdy będziesz potrzebować pomocy, nikt cię nie usłyszy. Do tego dochodził fakt, że nikt z sąsiadów nie miał małych dzieci. Z kim ich córka będzie się bawić? Z tego, co się zorientowała, wokół mieszkały same starsze małżeństwa albo pary wychowujące nastolatków. W mieście, w bloku, zawsze znajdą się jakieś dzieci. A tu? Czy ich córka jest skazana na żywot odludka?

Agata zamknęła oczy i poczuła, jak po policzku spływa jej łza. Jejku, niech ta ciąża wreszcie się skończy, bo już sama ze sobą nie może wytrzymać! Taka beksa się z niej zrobiła.

Chwilę później spała.

Agatę obudził szcęk otwieranego zamka. Spojrzała na zegarek. W pół do piątej. Czyżby Kermit wrócił tak wcześnie? Ziewnęła, przeciągnęła się i wstała. Powoli zeszła po schodach. Gdy dotarła na dół, parsknęła śmiechem.

Kermit stał w otwartych drzwiach, nie zważając na zimno wpadające do domu. W jednej ręce trzymał teczkę, w drugiej wielki bukiet kwiatów. Zamarł w bezruchu i szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w stojącą w drzwiach do salonu Bożenę, bosą, z potarganymi włosami. Ona też stała jak słup soli i nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa. Zapewne każde z nich zastanawiało się, kim jest to drugie – nie znali się, ale żadne nie wyglądało na potencjalnego zbrojnego. Do tej pory Agata myślała, że w powiedzeniu „wygląda, jakby połknął żabę” jest sporo przesady, jak to w powiedzeniach bywa, ale w tym momencie nabrała pewności, że tak nie jest. Oboje naprawdę wyglądali, jakby połknęli po żabie.

– Cześć, Kermit. To jest Bożena.

Te pięć słów zadziało jak tajemnicze zaklęcie zdejmujące urok. Kermit w końcu zamknął za sobą drzwi, mówiąc:

– Och, ale zimna nawpuszczałem! Dzień dobry, jestem Kermit.

Odłożył teczkę i wyciągnął rękę do Bożeny, która również wyrwała się z chwilowego stuporu i serdecznie ją uścisnęła.

– Witam. Bożena.

– To ta koleżanka, o której mówiłaś? – Kermit zwrócił się do Agaty.

– Nie. Sprzątać... yyy... to znaczy odśnieżać pomagała mi Kaśka. Bożena jest przyjaciółką Kaśki. Zaprosiłam ją dzisiaj na obiad...

– A ja troszkę przysnęłam – wpadła jej w słowo Bożena. – Ale nie będę wam dłużej zawracać głowy. – Przygładziła dłonią zwichrzone włosy i gdyby nie pokruszony tusz pod oczami, wyglądałaby znów tak doskonale jak zwykle. Wypity alkohol jakby gdzieś wyparował. Nawet jeśli w głowie jej jeszcze szumiało, zupełnie nie było tego po niej widać. Zaczęła zbierać

się do wyjścia.

– Ale może chociaż zjesz trochę makaronu – zaproponowała Agata. Przecież Bożena nawet nie spróbowała.

– Nie, dziękuję. Naprawdę, na mnie już pora. – Przechodząc obok Agaty, chwyciła ją za ramię, nachyliła się i powiedziała cicho: – Dzięki, że mnie wysłuchałaś. To naprawdę pomogło.

– Nie ma za co. – Agata uśmiechnęła się do niej.

– Dziś chyba porozmawiam w końcu z rodzicami. Dobrze będzie mieć to już za sobą.

– Masz rację. Nie ma sensu zwlekać. Trzymam kciuki.

Bożena włożyła buty i płaszcz, uprzejmie pożegnała się z Kermitem i wyszła.

Kermit otoczył Agatę ramionami.

– No, no! Widzę, że w czasie gdy ja siedzę w pracy, tutaj życie towarzyskie kwitnie.

– Ja wiem, czy kwitnie? Tak jakoś wyszło. – Wywinęła się z objęć i chwyciła bukiet. Zatopiła twarz w miękkich, błyszczących płatkach. Zapach kwiatów w środku zimy był zupełnie zaskakujący i bardzo ożywczy.

– A te kwiaty to z jakiej okazji?

– A bez okazji. – Niezrażony Kermit objął ją od tyłu i położył dłonie na gigantycznym brzuchu. – Ostatnio prawie mnie nie było i chciałem ci to jakoś wynagrodzić.

– Kwiatami?

– No wiem, wiem... Brak takiej wspaniałej osoby jak ja niełatwo skompensować. W przypadku zwykłego faceta kwiaty czy czekoladki może dałyby radę, ale tutaj sprawa jest dużo trudniejsza.

Agata się roześmiała.

– Chodź, zjesz makaron, wspaniała osobo.

Wymienili kilka uwag na temat pracy Kermita. Szef już wyjechał i teraz wszystko wróci do normy.

– A udało ci się może poszukać jakichś informacji o Wojciechu Skowronie?

– Skąd! Dziś nie miałem nawet chwili wytchnienia. Starłem się ogarnąć to, co najpilniejsze, żeby wrócić tu jak najszybciej i spędzić trochę czasu z

tobą. Pomyślałem, że może byśmy sobie dzisiaj urządzili wieczór filmowy? Jak Stefania...

– Klara!

– Dziecko. Jak dziecko się urodzi, to nie wiadomo, kiedy znów będziemy mieli taką okazję.

– A propos dziecka... – Agata spojrzała na niego tak, że od razu wiedział, że koniec żartów. Teraz czas na poważną rozmowę.

– Tak?

– Tak sobie pomyślałam, że może nazwalibyśmy je Marysia. Twoja mama ma tak na imię i moja też tak się nazywała.

Kermit popatrzył jej głęboko w oczy.

– Marysia to bardzo ładne imię.

Podeszła do niego i mocno go uściskała. Ale miała szczęście, że udało jej się znaleźć takiego faceta! I pomyśleć, że tak niewiele brakowało, a wcale nie zwróciłaby na niego uwagi. Gdyby nie sprawa Leokadii, mogliby nigdy nie zbliżyć się do siebie na tyle, by dostrzegła ogrom jego zalet. Wtuliła się w niego mocno.

Przerwał im dzwonek do drzwi.

– A kto to może być? – Kermit spojrzał na nią zaskoczony. – Kolejni nowi znajomi z okolicy?

– Nie mam pojęcia – odparła równie zaskoczona Agata. – Nikogo się nie spodziewam.

– Otworzę.

Odsunął ją delikatnie i ruszył w kierunku drzwi. Agata, pchana ciekawością, poszła za nim.

Osobą, która ujrzała w drzwiach, była Renata Bogucka. A jej mina nie zwiastowała niczego dobrego.

Sebastian leżał na łóżku, ze słuchawkami w uszach i telefonem w dłoni. Napiął całe ciało i poruszał głową w rytm ulubionego hip-hopu:

Jestem Bogiem

Uświadom to sobie

Ty też jesteś Bogiem

Tylko wyobraź to sobie¹.

Jaka szkoda, że nie urodził się parę lat wcześniej, wtedy gdy ta muzyka święciła tryumfy. Teraz w szkole nikt tego nie słuchał. Tylko on. Nie żeby mu to przeszkadzało. Przywykł do bycia odludkiem. Już od dawna nie starał się dopasować do grupy.

No i jeszcze ta Monika. Zesrać się z nią można. Już wiedział, czemu powiedziała mu o śmierci ojca. Przejrzał ją na wylot. Nie trzeba być Sherlockiem, by dokładnie sobie obejrzeć jej zgniłe wnętrze. Mała, fałszywa pizda. Chciała się do niego zbliżyć tylko po to, by być w centrum uwagi. Codziennie pisała do niego, czy chce się z nią zobaczyć, że może przy nim pobyc, że pomoże mu przetrwać ciężkie chwile. Wcześniej jakoś nie była taka wrywna. A teraz widocznie jej się to opłacało. Gdy wróci do szkoły, a dzień ten nadejdzie raczej prędzej niż później, wszyscy będą się na niego gapić i szeptać o nim po kątach. Niezdrowe zainteresowanie tych bęcwałów miał jak w banku. A przy nim będzie ona. Święta Monika, pocieszycielka, pierwsza puszczałska w szkole. Nie przepuści żadnej okazji, żeby się wylansować. Jeszcze ojciec dobrze nie ostygł, a ta już zamieściła na Facebooku swoje zdjęcie: czarna, koronkowa bluzka, smutna mina, oczywiście pełny makijaż, świeca w ręce i podpis: „Bolesław Skowron RIP. Sebastian jesteście z Tobą”. Pomyśleć, że wcześniej zlewała go, jakby był pieprzonym powietrzem. Sebastianowi rzygać się chciało od tego fałszu. Pieprzona gwiazda remizy z Koziej Wólki.

Wkurzony wyjął słuchawki z uszu i usiadł na łóżku. Chwilę pobębnił stopami w podłogę, po czym wstał i zaczął krążyć po pokoju bez celu. Złość go napędzała. Nienawidził tego uczucia, że jest narzędziem, a wręcz zabawką w rękach innych. Miał ochotę wyjść, zrobić coś. Najchętniej by komuś przywalił, komukolwiek, ale najlepiej któremuś z tych tępych kretynów, którzy zawsze patrzyli na niego z góry. Z przyjemnością starłby piąchą choćby jeden z tych pełnych wyższości uśmiezków. Gdyby zrobił to teraz, może nawet uszłoby mu to płazem. Może usprawiedliwiono by to stresem, w jakim się znalazł po śmierci ojca. Ale może taki mechanizm działa tylko w przypadku tych lepszych dzieciaków, a u niego spowodowałby tylko powrót do dawnego status quo: opinii łobuza.

Gdy tak chodził w kółko, rzuciła mu się w oczy leżąca na biurku książka Grahama Mastertona. Kilka dni temu wypożyczył ją z biblioteki i nawet mu podchodziła, zresztą jak wszystkie Mastertony, ale od wczoraj do niej nie zajrzał. Otworzył w miejscu, które założył jakimś starym paragonem, i zaczął czytać w nadziei, że powieść pochłonie go wystarczająco, by zgłuszyć buzujące w głowie myśli.

Po kilkunastu minutach stało się jasne, że nic z tego. Nawet stary, dobry Graham tym razem był bezsilny. Sebastian złapał się na tym, że w ogóle nie wie, o czym czyta. Wściekły cisnął książką na biurko. Chwycił głowę w dłonie i zamknął oczy. Wsłuchał w się odgłosy płynące z reszty domu. Z dużego pokoju dobiegał poszum jakiejś bajki. Poza tym cisza. Czyżby matka gdzieś wyszła? Gdy była w domu, zwykle wydawała jakieś dźwięki: przestawianie garnków, klapanie tymi jej bazarowymi kłapkami, przestawianie różnych rzeczy z kąta w kąt. Teraz nie słyszał nic takiego.

Od ostatniej rozmowy starał się jej unikać. Gdy zaglądała do pokoju, udawał, że śpi. Teraz zdał sobie sprawę z tego, że trochę zgłodniał. Jeśli chciał zjeść, to akurat był dobry moment.

Ostrożnie uchylił drzwi i się rozejrzał. Ani śladu matki. Poszedł do kuchni, po drodze zaglądając do dużego pokoju. Anetka siedziała na kanapie, otulona kocem, i oglądała jakiś program dla dzieci.

– Mamy nie ma? – rzucił w jej stronę.

Podskoczyła na dźwięk jego głosu. Najwyraźniej nie słyszała, jak idzie, i się przestraszyła.

– Nie ma. Wyszła do sklepu.

– Dawno?

– Nie, jakieś dziesięć minut temu.

Sebastian pokiwał głową. To dziesięć minut mogło oznaczać cokolwiek. Anetka nie bardzo знаła się jeszcze na zegarku, choć w tym wieku chyba powinna. O ile dobrze się orientował, w szkole już to przerabiała.

– Chcesz kanapkę? – spytał.

Siostra pokręciła głową.

– Nie, nie będę jadła teraz kanapek. Mama wróci i ugotuje zupę. Będzie jej przykro, jeśli nie zjem, więc poczekam na nią. Ma być pomidorowa. Moja ulubiona.

Sebastian wzruszył ramionami.

– Jak chcesz – odparł i ruszył do kuchni.

Pozarł kilka kanapek z żółtym serem i keczupem. Nie zawracał sobie głowy talerzem. Zjadł je nad zlewem. Wytarł ręce w ścierkę, okruchy splukał i wrócił do siostry. Usiadł obok niej na kanapie i przez chwilę patrzył na bajkę, w której jacyś dwaj chłopcy konstruowali niewyobrażalne wynalazki, a ich wysoka, chuda siostra usiłowała ich na tym nakryć. Po kilku minutach objął Anetkę ramieniem i spytał:

– No i jak ty się trzymasz, mała?

– Nie jestem mała – odpowiedziała dziewczynka, ale bez przekonania.

Często mówił do niej „mała”, a ona zawsze wtedy gorąco protestowała. Czasem nawet potrafiła się obrazić, a teraz odpowiedziała jakby z przyzwyczajenia, zupełnie nie przywiązując wagi do samych słów.

Pogłaskał ją po głowie i pomyślał, że siostra jest jedyną osobą na świecie, co do której mógł być pewien, że naprawdę ją kocha. Wręcz nie wyobrażał sobie, że ktoś mógłby jej nie kochać. I chyba było w tym trochę racji, bo o ile on od początku był w szkole czy na podwórku na przegranej pozycji, to na nią jakoś zła sława ojca nie wpływała. Wszyscy ją lubili. Miała swoje koleżanki, a nauczyciele się jej nie czepiali, choć trzeba przyznać, że na orła się nie zapowiadała. Ale te wielkie niebieskie oczy mogły wiele zdziałać. Na starych zdjęciach widział, że matka miała kiedyś podobne. Ale to były dawne dzieje. Teraz oczy matki były matowe i blade, a jeśli coś wyrażały, to tylko rezygnację i bierność. Sebastian miał nadzieję, że oczy siostry

nigdy w ten sposób nie zgasną.

– Sebciu? – pisnęła dziewczynka, podnosząc głowę i patrząc na niego tymi swoimi oczyma.

– Tak, Anetko?

– Ale ty nas nie zostawisz, prawda? – Bródka zaczęła jej drzeć.

– A dlaczego miałbym was zostawić?

– No nie wiem. – Anetka spuściła wzrok. Widział, że jest o krok od wybuchnięcia płaczem. – Bo tata przecież nas zostawił.

– Ale Anetko. – Przycisnął siostrę mocniej. – Tata przecież umarł. A ja nie zamierzam umierać. Będę żył jeszcze długo, długo, aż stanę się starym zgrzybiałym dziadem, a ty będziesz starą zgrzybiałą babą i będziemy tu sobie siedzieli i rozmawiali o naszych wnukach.

Anetka zachichotała i szturchnęła go w bok.

– Nigdy nie będę starą zgrzybiałą babą.

– Zakład?

– Zakład! – Jej mała rączka utonęła w silnym uścisku brata.

– W takim razie umawiamy się w tym samym miejscu o tej samej porze za siedemdziesiąt lat i zobaczymy, kto miał rację. Tylko lepiej, żebyś przyszła! Ja będę na pewno.

– Umowa stoi!

Anetka znów wtuliła się w ramię brata. Przez chwilę trwali tak w milczeniu. Po kilku minutach dziewczynka znów pisnęła:

– Sebciu?

– Tak?

– Ale obiecujesz, że nigdzie nie znikniesz? I nie wrócisz dopiero za te siedemdziesiąt lat?

– Obiecuję – powiedział, głaszcząc ją po główce.

Widział jednak, że siostra nie jest do końca przekonana. Tu trzeba było czegoś więcej. Odsunął ją delikatnie od siebie, podniósł się z kanapy, stanął na baczność, położył dłoń na piersi i z poważną miną powiedział:

– Ja, Sebastian Skowron, uroczycie przysięgam, że nigdy przenigdy nie opuszczę mojej siostry Anetki. Tak mi dopomóż Bóg – dodał, choć sam od dawna istnienie Boga włożył między bajki. Ale to nie miało żadnego znaczenia. Najważniejsze było to, że teraz siostra nareszcie mu uwierzyła.

Objęła go swoimi miękkimi rączkami, wciąż tak bardzo dziecięcymi, choć nieubłaganie nabierającymi dorosłej smukłości, i cienkim głosem wyszeptała mu do ucha:

– Kocham cię, Sebciu.

Znaleźliśmy Zbigniewa – powiedziała Renata Bogucka, gdy siedziała już w kuchni nad kubkiem gorącej kawy. W trakcie gotowania wody Agata przedstawiła policjantce Kermita, który, jak się okazało, zupełnie nie mógł skojarzyć, o kim mowa.

– Zbigniewa? – spytał.

– Tego kolegę Bolesława Skowrona, który w noc jego śmierci podobno coś widział, a potem zniknął. Szukaliśmy dość długo. Podejrzewaliśmy, że ukrywa się przed nami, bo nie chce rozmawiać z policją. Może boi się, że go o coś oskarżymy i tylko napyta sobie kłopotów. Od początku jednak mieliśmy wrażenie, że może się za tym kryć coś więcej. Kolega Zbigniewa zdawał się szczerze zaniepokojony jego nieobecnością. Zwykle widzę, gdy ktoś kogoś po prostu kryje. A ten mężczyzna naprawdę się martwił.

– I gdzie jest Zbigniew? – Agata spojrzała na nią z wyczekiwaniem.

– W prosektorium. Niestety, nie żyje.

– O mój Boże. – Agata przyłożyła dłoń do ust. – Co mu się stało?

– Spacerowicz znalazł go jakieś trzy kilometry od wioski. Leżał na łąkach, przykryty śniegiem. To pies go wyczuł.

– Czyli też zamarzał?

To już zdecydowanie było podejrzane. Dwa zamarznienia w tak niewielkim miasteczku nawet w okresie mrozów były dość dziwne. Jeśli wcześniej można było mieć wątpliwości, czy śmierć Bolka nie była zwykłym wypadkiem, w tym momencie się one rozwiewały. Zdecydowanie coś było na rzeczy.

– Nie do końca, a raczej nie tylko. Nie wiemy, co było ostateczną przyczyną śmierci, ale na głowie Zbigniewa była ogromna rana. Ktoś go uderzył jakimś twardym narzędziem. Przeczesujemy okolicę, ale na razie nie znaleźliśmy niczego, co by pasowało do rany. Cios, który spowodował takie obrażenia, z pewnością mógł pozbawić go przytomności. Mógł też go zabić. Tak czy inaczej, ktoś chciał jego śmierci i osiągnął swój cel.

– A pani nam to mówi, bo... – Kermit nieco się pogubił. W końcu zwykle policja nie chodzi po domach i nie informuje, że prawie obcy człowiek zmarł kilka kilometrów stąd.

– Bo wiem, że pani Agata obawiała się, że to Zbigniew mógł zabić tego kota.

– Kota? – Kermit patrzył to na Agatę, to na policjantkę, a jego wzrok wyrażał bezbrzeżne zdumienie. Agata poprzysięgła w duchu, że już nigdy przenigdy nie będzie się starała przed nim niczego zataić. Chciała dobrze, a wyszło co najmniej niezręcznie.

– No tego kota, którego zabito na państwa ganku – wyjaśniła policjantka. Widać było, jak z każdym wypowiedzianym słowem coraz bardziej zdaje sobie sprawę z tego, że Agata nic Kermitowi nie powiedziała.

– Ach tak, tego kota – wycedził Kermit, patrząc na Agatę z wyrzutem.

Nad stołem zawisła wyjątkowo krępująca cisza.

– Tak, to może ja już pójdę – powiedziała policjantka. – Tylko tyle chciałam państwu powiedzieć.

Z pewnością dobrze by było zostać teraz z Kermitem sam na sam i wszystko mu wyjaśnić, ale Agata nie zamierzała tak łatwo wypuścić policjantki. W historii, którą im opowiedziała, nie wszystko było całkiem jasne.

– Proszę jeszcze chwilę zaczekać – poprosiła. Zaskoczona policjantka zamarła w pół ruchu, po czym z powrotem usiadła. – Czy wiadomo, po co Zbigniew tam poszedł? Tam przecież nie ma żadnych domów. Po co ktoś taki jak on miałby tam iść w taki mróz?

Miejsce, w którym go znaleziono, o tej porze roku było rzadko uczęszczane. Jeśli ktoś tam chodził, to tylko spacerowicze. Kiedyś widziała zmierzające tam dwie osoby na biegówkach. Zbigniew nie wyglądał na miłośnika spacerów. Być może latem była tam niezła miejscówka na popijawę, ale teraz, w taki mróz, Agata nie widziała powodu, dla którego Zbigniew mógłby chcieć tam pójść.

– Niestety, tego jeszcze nie wiemy. Też się nad tym zastanawialiśmy. O tej porze roku to nie jest typowe miejsce dla... osób takich jak on. Nie znaleźliśmy przy nim nic, co naprowadziłoby nas na jakiś trop. Ale, bądźmy szczerzy, jeśli ktoś sprowadził go tam po to, by go zabić, na pewno po

wszystkim starał się zatrzeć po sobie ślady. Jeśli był jakiś liścik, na pewno już go nie ma. Telefonu komórkowego Zbigniew nie posiadał, nie możemy więc sprawdzić połączeń. Przyjaciel Zbigniewa twierdzi, że nic nie wie. Wygląda na przestraszonego...

– Nic dziwnego – stwierdził Kermit. – W końcu w ciągu kilku dni zmarli jego dwaj koledzy. Na jego miejscu też czułbym się przynajmniej nieswojo.

– Dobrze – wtrąciła Agata. – Mam jeszcze jedno pytanie. Czy wiadomo, kiedy dokładnie Zbigniew zmarł?

Renata Bogucka pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Wiem, co się kryje za tym pytaniem. Chce pani wiedzieć, czy mimo wszystko to Zbigniew mógł zabić tego kota. Niestety, na to pytanie w tym momencie również nie umiem na razie odpowiedzieć. Ale gdy tylko nasz patolog ustali w miarę dokładny czas zgonu, na pewno się do państwa odezwę. Macie państwo jeszcze jakieś pytania?

Policjantka zerknęła na ekran telefonu komórkowego. Delikatne zmarszczenie brwi zdradziło, że godzinę, którą ujrzała na ekranie, oceniła jako dość późną.

– Nie, ja więcej pytań nie mam – odparła Agata, wstając od stołu. – Dziękuję, że pani przyszła.

Renata Bogucka uśmiechnęła się półgębkiem.

– No przecież obiecałam pani, że więcej nie będę pani ciągnąć na komendę, jeśli nie będzie absolutnej konieczności. Byłam w pobliżu, więc podjechałam. I przykro mi, że nie mogłam przyjechać wtedy, gdy pani dzwoniła.

– Nie szkodzi. Rozumiem, że policjant też człowiek i jak jest po godzinach, to jest po godzinach.

– Żeby to było takie proste... – westchnęła policjantka. – Mam nadzieję, że ktoś pani pomógł posprzątać?

– Tak, koleżanka.

– A więc stąd to odśnieżanie – mruknął Kermit.

– Zdjęcia, która pani zrobiła...

– Wysłałam na adres mailowy komendy.

– Dobrze. Obejrzę je dokładnie najpóźniej jutro. Dziś w związku ze śmiercią pana Zbigniewa pewnie nie znajdę chwili, by do nich zajrzeć.

– Rozumiem. Dziękuję.

Agata uścisnęła dłoń policjantki. Czuła do niej wyjątkową sympatię. Może to dlatego, że Renata Bogucka była pierwszym stróżem prawa (ze spektakularnej liczby dwóch, z którymi miała do czynienia Agata), na którym czuła, że rzeczywiście może polegać. A może przyczyniał się do tego fakt, że jedno było pewne: z chwilą, gdy za policjantką zamkną się drzwi, Kermit zażąda wyjaśnień. A ona będzie musiała podać mu je w takiej formie, żeby naprawdę zrozumiał, że jej intencje były jak najbardziej szlachetne. Wiadomo, że tonący brzytwy się chwyta. A ona właśnie tonęła. Jej przewidywania spełniły się co do joty. Policjantka ledwie wyszła, a Kermit zaplótł ręce na piersiach i powiedział:

– No to słucham.

Agata zaprowadziła go na kanapę i wszystko mu opowiedziała. Tym razem nie przemilczała niczego. Punkt po punkcie opowiedziała, co się działo przez ostatnie dni.

– Nie rozumiem, co cię podkusiło, żeby to przede mną zataić! – powiedział.

Bardzo się starał nie krzyknąć, ale widać było, że jest na krawędzi wybuchu. Aż trudno uwierzyć, ale do tej pory ani razu się nie pokłócili. Zdarzały im się tylko drobne utarczki o bałagan, zapomniane zakupy i tego typu drobiazgi, które szybko szły w zapomnienie. Ale teraz chodziło o coś więcej. Teraz chodziło o zaufanie.

– Przepraszam. – Agata spuściła wzrok. Wiedziała, że głupio postąpiła. – Powinnam od razu powiedzieć ci całą prawdę.

– Trochę późno się zorientowałaś – burknął Kermit. – Nie pomyślałaś, że mam prawo wiedzieć? To także mój dom, a w tym brzuchu jest też moje dziecko i jeśli coś mu zagraża, to chcę być poinformowany. To takie dziwne?

– Nie.

W istocie brzmiało bardzo rozsądnie.

Kermit wstał. Energicznym krokiem kilka razy przemierzył pokój, po czym poszedł do kuchni. Po chwili pojawił się z powrotem z butelką wody w ręce.

– Dzisiaj będę spał tutaj. – Wskazał na kanapę.

– Kermit...

– Przepraszam, ale w tym momencie nie stać mnie na nic innego. Boję się, że jak zostaniemy w jednym pokoju, to powiem o jedno słowo za dużo. Tak będzie najlepiej. Ty śpij na górze. – Wskazał palcem schody. – A ja zostanę tu.

Agata widziała, że nie da rady go przekonać, by zmienił zdanie.

– Dobranoc – mruknęła i ruszyła w kierunku sypialni.

Po drodze jej wzrok padł na kwiaty stojące w wazonie w kuchni. Ich widok był jak ukłucie prosto w serce. To miał być taki miły wieczór. Czuła się jak dziecko wysłane za karę do swojego pokoju. Ale może rzeczywiście tak było lepiej: rozejść się i dać Kermitowi czas, by ochłonął, przemyślał wszystko spokojnie i dostrzegł motywy, którymi się kierowała. Przecież chciała dobrze, tylko wyszło kiepsko.

Kładąc się do łóżka, czuła się tak samotna, jak chyba nigdy. Świadomość, że Kermit jest tam na dole, ale do niej nie przyjdzie, sprawiała, że czuła, jakby była między nimi przepaść.

Halina leżała pod kołdrą, wpatrując się w ciemność. Obok niej pochrapywała Anetka. Od śmierci ojca nie chciała spać w swoim łóżku. Kładła się koło Haliny i kazała jej przyrzekać, że jej nie odniesie, gdy zaśnie. Halina przyrzekała. Dziecko jej nie przeszkadzało. Nawet miło było czuć w nocy przy boku jej ciepłe ciało. Dobrze się przy niej spało. Ale dziś Halina walczyła z nadchodzącą sennością. Miała plan. Dziś w nocy dowie się, czym pod osłoną ciemności zajmuje się jej syn.

O w pół do pierwszej usłyszała wyczekiwane dźwięki. Sebastian kręcił się chwilę po swoim pokoju, potem przeszedł korytarzem, ubrał się i cicho zamknął za sobą drzwi wyjściowe.

Halina wyskoczyła z łóżka. Była przygotowana, w pełni ubrana. Szczelnie okryła Anetkę kołdrą i biegiem ruszyła do przedpokoju. Włożyła śniegowce, na grzbiet wrzuciła kurtkę, na głowę wcisnęła czapkę i wybiegła z domu.

Noc była mroźna, a niebo usiane gwiazdami. Biały puch lśnił w świetle latarni, a wokół panowała niespotykana za dnia cisza. Z jej ust wydobywały się obłoczki pary. Wyszła przed furtkę i rozejrzała się wokół, próbując wypatrzeć syna. W ostatniej chwili zauważyła go, jak zniknął za rogiem. Pobiegła jego śladem. Jej stopy miękko uderzały o śnieg.

Gdy dotarła do skrzyżowania, przy którym skręcił, w oddali znów dostrzegła jedynie jego sylwetkę. Był daleko i cały czas biegł. Nie bardzo szybko, ale w tempie zdecydowanie przekraczającym jej możliwości. Mimo to ruszyła jego śladem. Z każdą chwilą czuła jednak, że już niebawem będzie musiała się poddać. W boku poczuła ukłucie kolki, brakowało jej tchu, a mroźne powietrze coraz bardziej drapało w gardło. W pewnym momencie złapał ją kaszel. Musiała schować się w rosnące przy chodniku krzaki, w razie gdyby syn ją usłyszał i się odwrócił. Był już daleko, ale w nocnej ciszy dźwięk potrafi nieść się na zadziwiająco dużą odległość.

Gdy rwący kaszel targał jej ciałem, śnieg z gałęzi krzaka wsypał jej się za

kołnierz. Poczwała, jak strużka lodowatej wody spływa jej wzdłuż kręgosłupa. Jeśli nie chce się rozchorować, powinna wracać do domu. Gdy kaszel się uspokoił, wyszła z krzaków. Syna nigdzie nie było już widać.

Pochyliła się i oparła ręce na kolanach, ciężko dysząc. Miała nadzieję, że jeszcze gdzieś go wypatrzy albo usłyszy, ale nic z tego. Wokół panowała kompletna cisza. Nie było widać żywej duszy.

Zrezygnowana odwróciła się i ruszyła z powrotem do domu. Cicho otworzyła drzwi, zdjęła buty, a kurtkę odwiesiła na haczyk. Roztarła zmarznięte dłonie. Zajrzała do pokoju. Anetka spokojnie spała, otulona kołdrą pod samą brodę. Wyciągnęła dłoń, by ją pogłaskać, ale w ostatniej chwili cofnęła rękę. Dotyk zimnych palców mógł obudzić dziecko.

Halina poszła do kuchni i wstawiła wodę na kawę. Może i nie udało jej się dogonić syna, ale nie zamierzała zupełnie odpuścić. Gdy wróci, jeszcze raz się z nim skonfrontuje. Nawet jeśli nic jej nie powie, będzie mogła przynajmniej upewnić się, że nie jest pijany albo naćpany.

Wszystko sobie dobrze przemyślała. Najłatwiej by było odpuścić i udawać, że niczego nie widzi. Ale ona miała już dość udawania. Nie chciała po raz kolejny iść na łatwiznę. Jeśli jej życie ma się zmienić, musi podjąć wysiłek.

Zalała kawę wrzątkiem i dodała cukier. Usiadła przy stole. Czekwała.

Dźwięk otwieranych drzwi rozległ się po dwudziestu minutach, gdy kubek był już pusty. Sebastian wpadł do kuchni.

– Coś się stało? – spytał. Miał czerwoną, mokrą twarz.

– Nie – odparła Halina. Wstała i podeszła do syna.

– Zobaczyłem zapalone światło...

– Nic się nie stało. Czekałam na ciebie.

Ujęła jego twarz w dłonie i spojrzała mu w oczy. Wyglądały normalnie.

– Co robiłeś? Gdzie byłeś?

– Mamo... – Szarpnął się do tyłu. Podszedł do zlewu i nalał sobie do kubka wody, którą natychmiast wypił duszkiem.

– Sebek. Muszę wiedzieć, czemu wychodzisz w nocy. Nie możemy mieszkać pod jednym dachem, póki nie będę pewna, że nie miałeś nic wspólnego ze śmiercią ojca. W tym domu mieszka dziecko. Anetka. Nie dopuszczę do tego, by mieszkała z mordercą.

– O czym ty mówisz?! – Sebek spojrział na nią z dziwną mieszanką zdziwienia i odrazy.

– Jak to o czym? Dobrze wiesz o czym! Ojca najprawdopodobniej ktoś wpełchnął w ten śnieg. Ktoś, kogo zobaczył Zbyszek, który potem oberwał w łeb tak, że już nie wstał. A ty wychodzisz w nocy i gdzieś się włóczysz. Wychodziłeś tej nocy, której zginął ojciec. Teraz wracasz cały czerwony, zziajany. Powiedz, co mam o tym myśleć, co? Albo powiesz mi teraz, co robiłeś, albo rano dzwonię na policję. Wybieraj.

– Nie zadzwonisz.

– Przekonaj się.

Sebastian patrzył na nią chwilę spode łba, ale wytrzymała jego spojrzenie.

– Naprawdę, chyba cię pojebało, jeśli myślisz, że to ja zabiłem ojca.

Halina drgnęła, słysząc przekleństwo w ustach syna, ale nic nie powiedziała. To nie był właściwy czas na pogadanki wychowawcze. To był czas na wydobywanie prawdy.

– Nie dlatego, żebym go tak strasznie kochał, ale nie był wart tego, żeby przez niego tak ryzykować. Nie ja to zrobiłem i nie wiem, kto to był. Tamtej nocy nic nie widziałem. Biegłem w miejscu, w którym potem go znaleziono, ale wtedy było tam pusto.

– Biegłeś? A po co tam biegłeś?

– A po co się biega? Biegam, bo lubię. Bo dzięki temu jestem silniejszy, sprawniejszy.

– Ale czemu w nocy?

– Bo i tak nie mogę spać. Poza tym jakbym biegał w dzień, toby się na mnie gapili, a ja nie lubię, jak się gapią. Widziałaś, jak biegają inni? Mają specjalne stroje, markowe buty i czujnik pulsu w dupie! A ja co mam? Co? Stare adidas i dres z niespieralnymi plamami! Nie wiesz, co by było, jakby mnie tak zobaczyli? Naprawdę się nie domyślasz? Zapomniałaś już, jak to jest w szkole? Niektórym potrzeba zdecydowanie mniej, by się z kogoś nabijać. A ja nie zamierzam się wystawiać. Dlatego biegam, gdy na ulicach jest pusto i ciemno. Jak kolejnej nocy nie mogłem spać, to pomyślałem, że wyjdę się przejść, że może jak odetchnę świeżym powietrzem, to łatwiej mi będzie zasnąć. Zacząłem sobie trochę podbiegać i jak wróciłem, to zasnąłem

bez problemu. I od tamtej pory tak robię.

Halina była skołowana.

– Biegasz? Po prostu biegasz? To dlaczego od razu nie mogłeś mi powiedzieć?

– Bo chuj ci do tego. To bieganie to moja sprawa i nie chcę o tym opowiadać. Poza tym do tej pory jakoś specjalnie się mną nie interesowałaś. Twoje główne zajęcie to uzalanie się nad sobą.

Kobieta zanim zdążyła pomyśleć, uniosła dłoń i uderzyła syna w rozgrzany policzek. Krople potu oderwały się od jego czoła i poleciały na blat.

Od razu tego pożałowała. Przecież nie minął się z prawdą. Miał rację, mówiąc, że nie okazała mu dość serca. Dla Anetki zawsze miała go nieco więcej. To przez to, że chwilami był tak uderzająco podobny do Bolka.

– Prawda boli – powiedział, mrużąc oczy, jakby czytał jej w myślach, po czym wyszedł z kuchni.

– Sebek! – zawołała za nim Halina, nie zważając na śpiącą Anetkę.

Odpowiedziało jej trzaśnięcie drzwiami.

Nie szła za nim. Jutro go przeprosi. Nie powinna go bić, ale on też nie był bez winy. Gdyby tak się nie wyrażał, może by jej do tego nie doprowadził. Najważniejsze, że w końcu dowiedziała się, czym syn zajmował się nocami.

Rano Agatę obudził zapach kawy. „Moje zmysły już totalnie zwariowały” – pomyślała. Otworzyła oczy i stwierdziła, że z jej zmysłami jest wszystko w porządku. Na brzegu łóżka siedział Kermit, ubrany, świeżutki, z plikiem kartek w jednej ręce i filiżanką kawy w drugiej.

– Dzień dobry – powiedział.

– Cześć – odparła i niepewnie się uśmiechnęła. Na szczęście odpowiedział uśmiechem.

– Przemyślałem to, co powiedziałaś wczoraj, i rozumiem, czemu postąpiłaś tak, a nie inaczej. Nadal uważam, że nie powinnaś tak robić, ale rozumiem, co tobą kierowało. Obiecuj mi, że nigdy więcej niczego takiego przede mną nie zataisz.

– Obiecuję! Od tej pory wszystko od razu ci mówię! – Gdyby nie kawa, którą trzymał, rzuciłaby mu się na szyję.

– Dobrze. – Uśmiechnął się tajemniczo. – Choć bez przesady z tą szczerością. Jak mi kupisz prezent na Gwiazdkę, to nie mów mi od razu, co to jest. Czasem niespodzianki są dobre. Ale skoro ten temat mamy już zamknięty, to możemy przejść do kolejnych spraw. Proszę. – Podał jej filiżankę. – Oto twoje pół kawy. A tutaj – pomachał jej przed nosem kartkami – mam to, co udało mi się znaleźć w Internecie na temat Wojciecha Skowrona. Zainteresowana?

– Pewnie! – Agata w mgnieniu oka wychyliła kawę do dna i wyciągnęła rękę po kartki.

– Najpierw buziak na zgodę – powiedział Kermit i przystąpił do dzieła. Agata poczuła świeżość jego ust i z zażenowaniem zdała sobie sprawę, że on na pewno nie może teraz pomyśleć tego o niej. Delikatnie go odepchnęła.

– Chwila, chwila! Daj się człowiekowi ogarnąć!

– Ale co zrobić, gdy człowiek nieogarnięty taki atrakcyjny?

– Tak, atrakcyjny! – odparła z ironią. – Zwłaszcza z tym brzuchem jak stąd do księżycy!

– No szczególnie z tym brzuchem! Toż to bardzo atrakcyjny brzuch!

– Dobra, dobra, dawaj te kartki. – Machnęła ręką, żeby je chwycić, ale Kermit był szybszy. Wstała więc i ruszyła do łazienki. – Albo lepiej od razu mów, czego się dowiedziałeś – rzuciła w progę.

Kermit poszedł za nią i stanął w drzwiach, obserwując, jak myje zęby.

– Staralem się, jak mogłem, ale szczerze mówiąc, nie natrafiłem na nic, co by rzucało na niego jakieś nowe światło. Do bólu zwykły, chyba uczciwy, pracuje w firmie budowlanej jako menedżer, ma odłożone trochę pieniędzy, niecałe sto tysięcy złotych. Wiele nie udało mi się dowiedzieć, bo, tak jak mówiłaś, Wojciech nie jest specjalnym fanem internetu. Przejrzałem pobieżnie jego służbową pocztę, ale na nic dziwnego tam nie natrafiłem. Z poczty prywatnej w zasadzie nie korzysta. Nie ma tam żadnej korespondencji ze znajomymi, tylko bank, rachunki, czasem jakieś zakupy i tyle.

– Jakież dziewczyny? – spytała Agata, gdy już wypłukała usta.

Kermit pokręcił głową.

– Nic z tych rzeczy. I uprzedzając kolejne pytanie: chłopaków też żadnych nie widziałem.

– No to już jest trochę dziwne. Pomyśl, przecież niczego mu nie brakuje: niebrzydki, finansowo stabilny, chyba niegłupi, może trochę łatwo się denerwuje, ale umie przeprosić. Na agresywnego nie wygląda. A jednak jest sam. Dlaczego?

– No nie wiem. Może po prostu mu się nie ułożyło? Wiesz, fajne dziewczyny nie rosną na drzewach. Gdybym ciebie nie spotkał, to o mnie można by powiedzieć niemal to samo. Też jeszcze niewiele ponad rok temu byłem samotny, a przecież taki przystojny ze mnie mężczyzna!

– Chodź, przystojny mężczyzno, zjemy śniadanie – zaśmiała się Agata i spróbowała się obok niego przemknąć, ale przy jej obecnych rozmiarach nie było to takie łatwe. Kermit chwycił ją w pasie (nazwanie tego miejsca talią byłoby zdecydowanym nadużyciem) i przyciągnął do siebie. Tym razem mocno do niego przylgnęła.

– Jak dobrze mieć cię w domu – wyszeptała.

– Jak dobrze być przy tobie. – Poglądził ją po plecach i w tym momencie dostał kopniaka prosto w brzuch. Nie od Agaty. Od dziecka.

– Boże! Co to było? – Odskoczył jak oparzony.

– To twoja córka. Mówiłam ci, że lubi sobie pokopać.

– Ale nie sądziłem, że aż tak!

– A jednak! Chyba potrzebuje tego swojego serka.

– Nie będziemy przetrzymywać Marysi. Chodźmy.

Agata słysząc, jak Kermit wymawia imię ich dziecka, poczuła dziwne ciepło w sercu. Chwyciła go za rękę i zesłi na parter. Miała nadzieję, że cały dzień upłynie im w taki powolny, piżamowo-lodówkowy, rodzinny sposób.

Zapomniała o jednym.

– DRRRRYŃŃŃ! – Dzwonek do drzwi uświadomił jej, że tego upojnego dnia nie spędzą tak całkiem sami. Do dobrego człowiek tak szybko się przyzwyczaja, że zdążyła zapomnieć o stałym elemencie domowego krajobrazu, który zniknął tylko na jeden, wczorajszy, dzień. Pan Andrzej.

Kermit otworzył mu drzwi.

– Dzień dobry! Zimno dzisiaj! – powiedział z uśmiechem, wchodząc do środka. – To pan dziś w domu?

– Tak, wziąłem jeden dzień wolnego – wyjaśnił Kermit.

– Dobrze, dobrze. Z pracą też nie wolno przesadzać. – Pan Andrzej roześmiał się rubasznie.

Oooo, tak! Sądząc po tempie, w jakim posuwały się prace w łazience, zdecydowanie z pełnym zaangażowaniem stosował się do tejże zasady.

– Tak... – Kermit rzucił Agacie porozumiewawcze spojrzenie. Na pewno pomyślał o tym samym. – To jak tam, panie Andrzeju, długo panu jeszcze u nas zejdzie?

– Nie, nie! Koniec już widać na horyzoncie – zaśmiał się znowu, ale nikt mu nie zawtórował. Termin końca remontu już dawno przestał być wdzięcznym tematem do żartów. – Tak, co ja miałem... A! Fugę dzisiaj będę kładł. Jeszcze potem malowanie ścian, zamontowanie baterii... Do końca przyszłego tygodnia powinienem się wyrobić. Słyszeliście państwo, co się stało?

– Co takiego?

– Ano tego Zbycha znaleźli w lesie, nieżywego! Najpierw Bolo, teraz Zbychu... – Pan Andrzej obejrzał się na drzwi, jakby ktoś zza nich miał zaraz na niego wyskoczyć. – Naprawdę, co to się dzieje na tym świecie? Takie porządne chłopcy. I ja się pytam, kto mógł to zrobić? Bo o ile w przypadku Bola można było się zastanawiać, to że Zbychem jasne jest, że ktoś mu w tym pomógł. – Pan Andrzej pokręcił głową. – No nic, trza się brać do roboty.

Ciężkim krokiem ruszył po schodach na górę.

Kermit patrząc za nim, pokręcił głową.

– Co za licho nas podkusiło, żeby go zatrudniać?

– Ech, nic mi już nie mów – westchnęła Agata. – Gdyby nie ten brzuch, to sama bym tę łazienkę skończyła, żeby tylko się go pozbyć.

– Ha! Chciałbym to zobaczyć! – Kermit wybuchnął śmiechem.

– Nie doceniasz mnie, mój drogi. – Agata pogroziła mu palcem. – Nie zdajesz sobie sprawy, ile mocy drzemie w tych rękach.

– Oj, zdaję, zdaję. Bałbym się tym ręką podskoczyć! Ale przejdźmy do konkretów. Pomyślałem, że skoro już jestem dziś w domu, to może bym coś ugotował.

– Doskonały pomysł!

– Co powiesz na pieczonego łososa w sosie cytrynowym z sałata i suszonymi pomidorami?

– Brzmi bosko!

– No to ty zjedz sobie spokojnie swój serek, a ja skoczę do marketu po zakupy.

– Sam? – Agacie niezbyt się podobało, że choć mieli spędzić dzień razem, Kermit już z rana wyrywa się z domu.

– Jak chcesz, możesz jechać ze mną, ale szwendanie się po markecie to chyba średnia atrakcja...

– Zależy z kim. Szwendanie się po markecie z tobą brzmi całkiem nieźle.

W tym momencie telefon Agaty zabrzączał. SMS od Kaśki: „Mogę wpaść za 10 minut?”. Ciekawe, co takiego się stało? „Tak” – odpisała.

– Wiesz, może rzeczywiście jedź sam. Kaśka właśnie napisała, że chciałyby wpaść pogadać.

– Ta od sprzątnięcia ganku?

– Ta od sprzątanía ganku.

– No dobra, to ja lecę. W godzinę powinienem obrócić.

Zrobili listę zakupów i przygotował się do wyjścia. W drzwiach minął się z Kaśką. Szybko wymienili uprzejmości i Kaśka wślizgnęła się do sroda.

– Twoje serki – powiedziała, wyciągając w stronę Agaty płócienną torbę z serkami.

– A więc u ciebie je zostawiłam! Dzięki! – Agata bardziej niż z serków ucieszyła się z odzyskania torby. – Chodź, rozbierz się. Kawy? Herbaty?

– Nie, nie. Ja tylko na chwilę. Wiesz, chciałam ci podziękować.

– Mnie? – Agata była szczerze zdziwiona. – Za co?

– Za to, co zrobiłaś dla Bożeny. Nie wiem, co takiego jej powiedziałaś, ale w końcu zebrała się na odwagę i pogadała z rodzicami..

– I jak zareagowali?

– Zaskakująco dobrze. Jednak to prawda, że nie taki diabeł straszny, jak go malują. Powiedzieli, że zawsze może na nich liczyć i żeby nie przejmowała się tym, co inni będą gadać. Że najważniejsze, żeby była szczęśliwa. Ogólnie: lepiej nie mogli tego przyjąć.

– Mądrzy rodzice.

– Ano mądrzy. Może napatrzyli się już wystarczająco na to, co się dzieje z ludźmi, gdy tkwią w bezsensownych małżeństwach i nie chcą takiego losu dla Bożeny? Jak choćby, daleko nie szukając, Halina i Bolek. Spójrz, do czego ich to doprowadziło.

– Racja.

– I jeszcze jedno. – Kaśka sięgnęła do torby i wyjęła niewielki przedmiot owinięty w papier pakowy i przewiązany cienką wstążką. – Drobiazg dla ciebie.

– Dla mnie? A to z jakiej okazji? – Zdziwiła się Agata.

Wyjęła z rąk koleżanki pakunek i odwinęła papier. W środku był piękny kubek w srebrnym kolorze.

– A z żadnej! – Kaśka wzruszyła ramionami i uroczo się uśmiechnęła. – Po prostu cieszę się, że się tu przeprowadziłaś. W końcu mam tu kogoś, z kim można normalnie pogadać. Naprawdę, brakowało mi czegoś takiego. No i pomogłaś Bożenie. Za to też jestem wdzięczna. A ten kubek to ze sklepu, w którym pracuję. Pomyślałam, że ci się spodoba.

– Bardzo mi się podoba! – wykrzyknęła Agata i uściskała Kaśkę. – Ja też bardzo się cieszę, że cię poznałam. I że mogłam pomóc Bożenie. Choć naprawdę nie mam wrażenia, że zrobiłam coś wyjątkowego.

– Pogadałaś z nią. Czasem tego właśnie trzeba. Pogadania z kimś z zewnątrz.

– W takim razie cieszę się, że mogłam pomóc. Na pewno nie wejdiesz? – Agacie głupio było tak stać w korytarzu.

– Na pewno. Lecę zaraz do roboty. Ale Bożena pewnie pojawi się u ciebie późnym popołudniem. Powiedziała, że wpadnie z kwiatami.

– Z kwiatami? Druga zwariowała?

Kaśka wzruszyła ramionami.

– Może i zwariowała. Ale na pewno jest szczęśliwa. A! I jeszcze coś! Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale przypomniało mi się, że ta osoba, która rozmawiała ze Zbyszkiem wtedy przed sklepem, była w żółtej czapce. Zabawne, jak czasem nieoczekiwanie człowiek przypomina sobie różne rzeczy... Szłam w tamtym miejscu wczoraj z Jazgotem i nagle ta czapka mi się przypomniała... Myślisz, że warto z tym dzwonić na policję?

– Koniecznie zadzwoń! I to jak najszybciej!

– No dobra. Skoro tak mówisz, to zaraz do nich dryndnę. A teraz muszę lecieć. To buziak. – Cmoknęła Agatę w policzek. – Do zobaczenia!

I już jej nie było.

Luty 1998 roku

Halina spojrzała z odrazą na leżącego obok niej mężczyznę i czym prędzej odwróciła wzrok. Wstała z łóżka, włożyła stary, poprzecierany na łokciach szlafrok i podeszła do dziecięcego łóżeczka. Sebcio spał smacznie, ale lada chwila się obudzi. Helena cicho przeszła do kuchni i nastawiła wodę. Dla niej na kawę, a dla Sebcia na mleko. Jak się obudzi, na pewno będzie głodny i nie uciszy się, póki nie zostanie nakarmiony.

Czekając, aż woda się zagotuje, spojrzała na swoje ręce. Wyglądały jak ręce starej kobiety, zniszczone praniem, sprzątaniami, zmywaniem. Nie tak miało wyglądać jej życie. Na widok koleżanek, które nie miały jeszcze żadnych zobowiązań, czuła zazdrość i wściekłość. Też chciała takiego życia. To przecież nie jej wina, że zaszła w ciążę. Każdemu mogło się zdarzyć. Przecież nie ona jedna współżyła bez zabezpieczenia. Właśnie, współżyła, bo kochaniem się to nie można tego nazwać. Nabzdryngoliła się trochę winem i stwierdziła, że w sumie to co jej szkodzi. Raz się żyje. No to sobie pożyła. Utknęła w małżeństwie z tym niedorobionym Bolkiem. Gdy okazało się, że jest w ciąży, nie wahał się ani chwili. Od razu poprosił ją o rękę, a ona się zgodziła. Nie widziała innego wyjścia. Aborcja nie wchodziła w grę. Za bardzo się bała. Zresztą nawet nie umiałyby sobie tego zorganizować. Rodzice odwrócili się do niej plecami. Powiedzieli, że skoro jest na tyle dorosła, żeby robić sobie dziecko, to niech sama sobie radzi. Z początku myślała, że jak dziecko pojawi się na świecie, to im przejdzie, szczególnie matce. Że widok wnuka trochę ich zmiękczy. Ale gdzie tam! Choć od narodzin Sebka minął już prawie rok, ani razu nie zabrali go do siebie, nawet na kilka godzin. Nie oczekiwała nie wiadomo czego. Widziała przecież, że inni dziadkowie chętnie zajmują się wnukami, garną się do nich z własnej nieprzymuszonej woli. Ale nie jej rodzice. Ona nie mogła liczyć na żadną pomoc.

Póki żył ojciec Bolka, było trochę lepiej. Zawsze mogła zostawić mu dziecko choćby na godzinę, dwie, żeby wyskoczyć do sklepu. Nie wspominając już o tym, że pomagał im finansowo. Halina nie mogła iść do pracy. Nie miała z kim zostawić dziecka. O żłobku mogła pomarzyć, na opiekunkę nie byłoby jej stać w najśmielszych nawet marzeniach. A Bolek? Rzucił studia. Przecież musiał to zrobić, żeby iść do roboty i utrzymać rodzinę. Najął się w jakiejś drukarni, ale zarabiał dużo mniej, niż Halina by sobie życzyła. Standard jej życia, odkąd wyprowadziła się od rodziców, poleciał na pysk. Nagle każdy grosz zaczął się liczyć, każdy zakup wiązał się z koniecznością rezygnacji z czegoś innego. Wieczne coś za coś. Nic tak po prostu.

Czasem snuła w głowie plany, że jeszcze trochę się przemęczy, a gdy dziecko podrośnie i nie będzie do niego już tak uwiązana, to znajdzie sobie kogoś innego, a tego idiotę Bolka zostawi w cholere. Przecież to chyba możliwe, żeby ktoś ją jeszcze zechciał, nawet z dzieckiem? Nie była taka brzydka. Ale te plany stawały się coraz bardziej mgliste. Po cięży jej ciało nie było już takie jak kiedyś. Nie miała pieniędzy na dobry szampon i odżywkę, więc włosy coraz bardziej przypominały siano. A ręce były coraz bardziej zniszczone od tych wszystkich prac, których nie musiałaby wykonywać, gdyby Bolek jej nie zapłodnił.

Z sypialni dobiegło kwilenie dziecka. Trzeba wziąć je na ręce, zanim na dobre się rozplacze. Nie chodziło jej o to, że obudziłoby Bolka. O to w ogóle nie dbała. Po prostu ona nie chciała słuchać dziecięcego płaczu. Ale nie zdążyła.

– Mamaaa! – rozdarł się syn.

Właśnie. Zawsze tylko „mama” i „mama”! Nigdy nie zawoła „tata”! Zupełnie jakby to był tylko jej syn. A przecież chłopak powinien chyba garnąć się trochę do ojca! To znaczy, może i by się garnął, gdyby ojciec był inny, a nie taki nieudacznik, co ledwo wiąże koniec z końcem i nawet nie rozejrzy się za lepszą robotą.

– Już, już! Mama do ciebie idzie – krzyknęła.

Poszła do sypialni i wzięła syna na ręce. Trochę się uspokoił, choć nadal cicho popłakiwał.

– Chodź, zrobimy mleczko.

Poruszenie w łóżku.

– Która godzina? – spytał Bolek, jeszcze zanim otworzył oczy.

– Szósta trzydzieści – burknęła.

– Już? To trzeba wstawać. Znowu się nie wyspałem...

– Nie wyspałeś się?! I ty mnie to mówisz? Mnie, która musiała wstawać w nocy do dziecka, a i tak ruszyła dupę z łóżka wcześniej niż ty? Doprawdy, rozkoszne!

Odwróciła się i trzaskając drzwiami, wyszła z sypialni. Dziecko czując, że dzieje się coś niepokojącego, przestało kwilić.

– No już, już. To tylko twój debilny ojciec znów zdenerwował mamusię – szepnęła mu na uszko. Posadziła synka w krzeselku dla niemowląt i zaczęła przygotowywać mleko.

Po chwili z sypialni wyszedł Bolek, już ubrany. W łazience spędził nie więcej niż dwie minuty. „Brudas” – skwitowała w myślach Halina, choć sama jeszcze się nie umyła.

Podążyła synkowi butelkę z mlekiem, a sama wzięła do ręki kubek słodzonej kawy, oparła się o szafkę i spode łba obserwowała poczynania męża. Wziął z chlebaka ostatnią kromkę chleba i posmarował ją serem topionym. Zatopił zęby w kanapce i z pełnymi ustami spytał:

– Halinko, kupić coś po drodze z pracy?

– Możesz kupić. A do tego czasu rozumiem, że mamy głodować.

– Głodować? – zdziwił się.

– No przecież właśnie pochłaniasz ostatnią kromkę chleba. Nie pomyślałeś, co my będziemy jedli przez cały dzień?

Bolek zamarł z kanapką w pół drogi do ust.

– Jabłka są. – Wskazał na kosz na stole. – I chyba mamy włoszczyznę. Jakąs zupę możesz ugotować.

– Jabłkową? – parsknęła Halina. – Ale proszę, jedz sobie. Najważniejsze, żebyś ty był syty. A my sobie zjemy jabłuszko i popijemy rosołkiem.

Bolek cisnął resztę kanapki na blat.

– Dobrze, proszę. Zjedz sobie. Dam ci pieniądze, to sama pójdziesz do sklepu.

Sięgnął do kieszeni kurtki, wyjął wysłużony portfel. Zajrzał do środka. Wiele tam nie było.

– Dwadzieścia złotych wystarczy? – spytał.

Halina wzruszyła ramionami i spojrzała przez okno. Dwadzieścia złotych! Żarty jakieś! Za czasów, gdy rodzice ją utrzymywali, dwadzieścia złotych wydawała lekką ręką na jakieś pismo, lody i colę. A teraz miała za to ugotować obiad dla rodziny! A co dla niej? Co dla niej z tego wszystkiego?

Bolek po dłuższej chwili milczenia położył banknot na stole. Podszedł do synka i pocałował go w główkę.

– Pa, mały. Do zobaczenia wieczorem – powiedział i wyszedł z domu.

Gdy zamykał za sobą drzwi, dobiegły go jakieś szepty Haliny. Nie zrozumiał słów, ale był pewien dwóch rzeczy: po pierwsze na pewno dotyczyły jego, a po drugie na pewno nie były pozytywne. Nienawistne szepty za jego plecami od dawna były stałym elementem domowego krajobrazu.

Prosząc Halinę o rękę, zupełnie inaczej sobie to wszystko wyobrażał. Był w niej zakochany, odkąd pamiętał. Była taka piękna, taka radosna, tak inna niż on. Gdy zgodziła się z nim spotkać, nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Wizja dziecka go nie przerażyła. Nawet – o naiwny! – pomyślał, że to szczęśliwe zrzędzenie losu. Taka pieczęć, która sprawi, że tamten wieczór to nie była jednorazowa przygoda, ale początek tego, o czym od zawsze marzył – prawdziwego związku z ukochaną kobietą. Nie żałował nawet tak bardzo tego, że musiał rzucić studia. To, że zdobędzie wyższe wykształcenie i dobrą pracę, wciąż było dla niego raczej mirażem niż realnym scenariuszem. Prawda, udało mu się z tą matematyką, może i miał jakieś zdolności w tym kierunku, ale nadal nie uważał się za kogoś wybitnie inteligentnego i bardziej naturalnym wyborem wydawała mu się prosta fizyczna praca. Te studia, ten artykuł, to było bardziej jak bal Kopciuszka. Jedna noc, która może być wspaniała, ale to wciąż tylko jedna noc, a proza życia pisze zupełnie inną historię. Bez większego żalu porzucił rolę studenta. Przecież miał być mężem Haliny, a to coś nieporównanie lepszego! Niestety, najwyraźniej nie mógł jej dać tego, czego potrzebowała. Pracował ciężko, a w domu mógł liczyć tylko na wyrzuty, że mało zarabia i nie zajmuje się dzieckiem. Ale jak miał się nim zajmować, skoro wychodził rano, a wracał, jak Sebek już spał? Żadne jego argumenty nie trafiały do Haliny. W końcu przestał dyskutować, bo to tylko nakręcało spiralę dalszych kłótni. Każde

jego słowo, cokolwiek by powiedział, było wodą na młyn. Robił więc swoje i trzymał gębę na kłódkę.

– Hej, brachu! – zawołał ktoś z tyłu.

To był Wojtek. Też szedł do pracy. Bolek westchnął w duchu. Nie miał teraz ochoty na żadne rozmowy. Na szczęście jeździli innymi autobusami, więc musi się przemęczyć tylko przez te kilka minut na przystanku.

– Cześć, Wojtek.

– Jak tam u ciebie? Coś nie zaglądasz ostatnio. – Spojrzał na brata zatroskanym wzrokiem.

Wojtek po tym, jak Bolek i Halina zamieszkali w ich domu, szybko się wyprowadził. Nie chciał zawadzać młodym. Czuł się tam jak piąte koło u wozu, więc stwierdził, że nie ma sensu odwlekać decyzji o wyprowadzce na swoje. Miał już skończone studia i stałą pracę, więc dostał kredyt na niewielki domek, który stał kilka ulic dalej i był akurat na sprzedaż.

– Ech, w porządku – odparł Bolek, patrząc w ziemię.

– Mały zdrowy?

– Zdrowy.

– A Halina? – Głos Wojtka zadrżał. Wiedział, że to drażliwe pytanie. Przez ten krótki czas, jaki mieszkali razem, bratowa dała się poznać od nie najlepszej strony.

– Też zdrowa. – Bolek miał nadzieję, że taka odpowiedź zdusi w zarodku wszelkie dalsze dociekania na ten temat. Nie miał ochoty opowiadać komukolwiek o tym, co się dzieje u niego w domu.

– Bolek, przepraszam, że tak wprost cię spytam i tak na przystanku, ale ostatnio rzadko się widzimy i jakoś tak nie ma kiedy...

– No? O co chodzi?

– Powiedz no, czy wam nie potrzeba jakiegoś wsparcia? No wiesz, finansowego. Dziecko raczej nie jest tanie w utrzymaniu, Halina nie pracuje, jej rodzice chyba wam nie pomagają, ojca nie ma, więc pomyślałem sobie...

– To źle pomyślałeś. Radzimy sobie. Na wszystko nam starcza. O! Mój autobus! To cześć.

Bolek wskoczył do wnętrza autobusu i usiadł tyłem do okna. Nie chciał patrzeć na brata. Z ulgą słuchał odgłosu zamykanych drzwi i sapnięcia

ruszającego pojazdu. Słowa Wojtka go ubodły. Dawał z siebie wszystko. Pracował po przynajmniej dziesięć godzin dziennie, a nawet jego brat podejrzewał, że nie potrafi zarobić na rodzinę. A przecież Wojtek sam miał dużo wydatków! Spłata pożyczki za dom pożerała lwią część jego oszczędności. Przecież razem wyliczali, czy na pewno stać go na ten kredyt, więc Bolek wiedział dokładnie, jaką ma sytuację finansową. Była perspektywiczna – z czasem na pewno będzie zarabiał coraz więcej – ale chwilowo nie było mowy o nadwyżkach finansowych, które bez większego problemu mógłby przeznaczyć na wspomaganie brata.

Pogrążony w czarnych myślach Bolek dojechał do pracy.

Pierwsza połowa dnia minęła szybko.

Podczas przerwy wyszedł na dwór zapalić. Oparł się plecami o murek i głęboko zaciągał się papierosem. Wydmuchiwał dym cienką strużką i obserwował, jak rozmywa się w powietrzu. Chwilę potem dołączył do niego kolega, który pracował w drukarni od kilku lat. Dziś jeszcze się nie widzieli. Szczerze mówiąc, Bolek nawet nie wiedział, jak ten ma na imię. Znali się tylko z widzenia.

– Czołem – zagadnął.

– Czołem – odparł Bolek.

Kolega konspiracyjnie rozejrzał się wokół i wyjął z wewnętrznej kieszeni dżinsowej kurtki piersiówkę. Otworzył i pociągnął porządnego łyka.

– Aaaaa... – sapnął. – Teraz od razu robota będzie inaczej szła. A ty? Napijesz się? – wyciągnął piersiówkę w kierunku Bolka.

– Nie, dzięki.

Mężczyzna spojrzał na niego podejrzliwie.

– Tylko nie podkabluj mnie szefowi.

– Spokojna głowa. Nic nie powiem.

– Bo wiesz, co mówią. Kto nie pije, ten kabluje. – Niby zażartował, ale jego oczy wcale się nie śmiały.

Bolek popatrzył na niego w zamyśleniu. Nie robiły na niego wrażenia te z dupy wyjęte mądrości, nie zależało mu też na tym, by zdobyć akceptację tego koleśka, ale miał tak ciężki poranek. Pomyślał, że może łyk alkoholu rzeczywiście dobrze by mu zrobił. Zdjąłby mu z serca choć odrobinę ciężaru.

– A wiesz co? Może i daj łyka.

– No! I to rozumiem! – rozpromienił się kolega i podał mu piersiówkę.

Bolek przechylił głowę i płyn wlał się palącą falą do jego ust. Szybko przełknął i się zakrztusił.

Mężczyzna zaczął się śmiać i poklepał go po plecach.

– No! Widzę, że ty niezwyčajny!

– Nie – wydusił Bolek, z trudem łapiąc powietrze. – Tylko się zakrztusiłem.

– Tak, tak. Jasna sprawa. Dobra, to ja wracam. Sie ma!

Bolek spojrział na zegarek. Jego przerwa też już się skończyła, ale postanowił zostać na jeszcze jednego papierosa. Chciał, aby zapach alkoholu trochę wywietrzał, zanim wejdzie na halę. Gdy palił, lekko szumiało mu w głowie. Nie pomylił się. Alkohol rzeczywiście dobrze tłumiał ból w sercu. Halina zrobiła się jakby bardziej odległa, problemy domowe łatwiej było wypchnąć chwilowo z głowy. Druga część dnia upłynęła mu zdecydowanie milej niż pierwsza.

Gdy wracał wieczorem do domu, zahaczył o sklep. Kupił chleb, żółty ser, wędlinę, paczkę kawy dla Haliny i chrupki kukurydziane dla Sebka. On kawy nie pił, a przecież też mu się coś od życia należy.

– To jeszcze tę małąkę żytniej – poprosił.

Nie zamierzał teraz pić, ale pomyślał, że może warto mieć takie koło ratunkowe na czarną godzinę, gdy życie znów stanie się zbyt trudne do zniesienia. To przecież nikomu nie szkodzi, jeśli trochę poprawi sobie samopoczucie.

Agata weszła do kuchni i nastawiła wodę na herbatę. Czekając, aż się zagotuje, podeszła do stołu. Jej wzrok padł na kartki, którymi rano wymachiwał jej przed nosem Kermit. Wzięła je do ręki i przejrzała. Rzeczywiście nie było tam niczego ciekawego. Ani jednej rzeczy, która dałaby jakikolwiek punkt zaczepienia do dalszych poszukiwań. Agata przygryzła wargę i zabębniła palcami w stół. Co by tu można zrobić, żeby jakoś popchnąć sprawę do przodu, dowiedzieć się czegoś więcej?

I nagle przyszedł jej do głowy świetny pomysł. Czego nie ma w Internecie, na pewno jest w pamięci miejscowych, a jednego miejscowego ma przecież pod ręką. Z tajemniczym uśmiechem wyjęła z szafki dwa kubki i zaparzyła dwie herbaty. Wzięła kubki w ręce i ruszyła po schodach na górę.

– Panie Andrzeju? – zawołała.

– Tak? – Robotnik siedział za drzwiami, ale jego głos wyrażał takie zaskoczenie, że Agacie od razu stanęła przed oczami mina, którą musiał zrobić: szok wymieszany z zaniepokojeniem, czy aby na pewno niczego znowu nie pochrzaął.

– Pomyślałam, że może herbaty by się pan napił – powiedziała, stając w drzwiach. Co do jego miny miała całkowitą rację.

– Ja? Herbaty?

– Ano pan.

Podążyła mu kubek, a on szybko wytarł ręce w leżącą na podłodze ścierkę, zanim go przejął.

– U! Gorące!

– Herbata musi być gorąca.

– Racja – przyznał i upił łyk. – Pyszna! Dziękuję!

Agata usiadła ostrożnie na brzegu wanny.

– Panie Andrzeju, tak sobie pomyślałam, że pan to chyba dobrze znał Bolka, prawda?

– Bo ja wiem, czy dobrze? Tak blisko to nigdyśmy się nie kolegowali, ale znać, to go oczywiście znałem. Porządny chłopak był. Popić lubiał, ale tak to złego słowa na niego powiedzieć nie można.

– Tak, też miałam takie wrażenie. Jak pod sklepem go nieraz spotkałam, to zawsze dzień dobry powiedział.

– No właśnie, właśnie. Wszystkie te chłopaki są naprawdę w porządku, to znaczy byli, bo teraz z ich trójki tylko jeden Maciek został.

– A ten brat Bolka, Wojtek. Jego też pan zna?

– Ech. – Pan Andrzej machnął dłonią. – Tyle o ile. On to zawsze był taki raczej zamknięty w sobie. Nie to że jakiś milczek. Jak miał sprawę, to normalnie rozmawiał, ale kolegować to on się tu nigdy z nikim raczej nie kolegował. Z bratem się trzymali zawsze we dwóch, jak młodszy byli. On to był zawsze za Bolkiem, zawsze go bronił, choć Bolek jak był w tej naszej szkole, to potrafił nawywijać. Dopiero potem się uspokoił, jak poszedł do liceum. Od tego czasu to nie pamiętam, żeby sobie u kogoś nagrabił. Ale jak powiedziałem, blisko to ja z nim nie byłem, więc może o czymś nie wiem.

– A Wojtek? Nie miał nigdy żony, dziewczyny na dłużej?

– Nie, żony nigdy nie miał. Kiedyś, ale to dawno było, na studiach jak był chyba czy jeszcze w liceum, to miał taką jedną. Ona to od dzieciaka za nim latała, oczy wypatrywała za nim, no i w końcu się zesłi, ale rozpadło to się tak jakoś po niecałym roku chyba. I został sam. Ona też do tej pory nie ma nikogo.

– A która to była dziewczyna? Mieszka tu jeszcze?

– No pewnie, że mieszka! Nie dalej jak wczoraj ją widziałem. Tylko jak ona się nazywa... – Pan Andrzej potarł dłonią czoło, zostawiając na nim szarą smugę. – Widzi pani, kompletnie wyleciało mi to z głowy... Czasem człowiek takie dziury ma w tej łepetynie!

– To może pan opisz, jak ona wygląda, to sobie skojarzę.

– A wie pani, że może to i dobry pomysł? Podrzuci mi pani to nazwisko, bo tak to będzie mnie męczyło, póki sobie nie przypomnę, jak mucha jaka bzycząca, co to jej człowiek złapać nie może.

I pan Andrzej zaczął opowiadać. Agata już po chwili wiedziała, o kogo chodzi. Szybko podziękowała za wspólnie wypitą herbatę i zbiegła na dół.

Była niemal pewna, że wie, kto zabił obu mężczyzn.

U dało się!

Na razie wszystko szło tak, jak powinno.

Nie sądziła, że to będzie takie łatwe. Że zemsta, która narastała w niej od tylu lat, w taki prosty sposób mogła znaleźć ujście. Ciach! I po sprawie. Jedyne, czego potrzebowała, to podjęcie męskiej decyzji. Odrzucenie złudzeń, że sprawy w końcu rozwiążą się tak, jak tego pragnęła. Tak zawsze mawiał jej ojciec. Że nie potrafi po męsku zdecydować. A jednak potrafię, tatusiu. Zdziwiłbyś się, oj, zdziwił, gdybyś mnie teraz zobaczył. Wszyscy by się zdziwili, gdyby się dowiedzieli.

Ale się nie dowiedzą.

Nikt nie musi wiedzieć, że to ona za tym wszystkim stała. W zasadzie nikt nie musiał nawet wiedzieć, że śmierć Bolka nie była zwykłym wypadkiem. Ale Zbychu niepotrzebnie wyszedł wtedy z domu, oj, zupełnie nie było to potrzebne. I właśnie dlatego musiał zginąć, żeby nie wygadać. Kto wie, co się roi w głowie takiego pijaczka? Gdy zagadała go pod sklepem, przyznał, że widział, jak ktoś szedł za Bolkiem tamtej nocy, ale było ciemno, więc nie rozpoznał, kto to był. Ale nie mogła ryzykować, że w pewnym momencie dozna jakiegoś olśnienia, przypomni sobie coś, co ją zgubi. Dlatego musiał zginąć. Niestety, w tym przypadku nie dało się załatwić sprawy tak czysto jak z Bolkiem. Trzeba było użyć trochę siły, ale na szczęście jej siły nie brakowało.

Była jeszcze ta Agata. Agata Brok. Wielki brzuch i dużo za dużo wolnego czasu. Od początku za bardzo węszyła wokół tej sprawy. Jej też należałoby się pozbyć, ale zabicie kobiety w ciąży to zupełnie inna sprawa niż pozbycie się lokalnego pijaczka. Nie chodziło o wyrzuty sumienia, choć dzieciaka byłoby trochę żal, ale wtedy na pewno policja bardziej przyłożyłaby się do roboty, poganiana przez gazety i telewizję. Tak, to by było na tyle, jeśli chodzi o równość na tym świecie.

Postanowiła więc ją trochę postraszyć. Kota też było trochę żal, ale to w

końcu tylko kot. Jej wolność była ważniejsza niż życie jakiegoś tam sierściucha. Widziała kilka razy, jak ta Agata wykłada kotu jedzenie. To nie to samo co zwierzak domowy, ale zawsze coś. Skoro kupowała mu to żarcie, to chyba trochę go lubiła, nie? A jak kot dziki, to i często głodny. Nie było więc problemu, by zwabić go puszką jedzenia. Specjalnie pojechała do miasta i poszła do zoologicznego. Nie chciała, by Marian wiedział, że kupuje karmę dla kota. To by było naprawdę głupie. Każdy wiedział, że ona kota nie ma. Poza tym chciała kupić coś naprawdę dobrego. Coś, na co taki kocur na pewno by się pokusił. Wybrała najdroższą puszkę. Nie sądziła, że żarcie dla kota może tyle kosztować. Ona na swój pasztet w życiu tyle nie wydała. Ale co tam, najważniejsze, że spełniło zadanie. Kot trochę się wahał, ale zapach jedzenia i miłe „kici, kici, koteczku” zrobiły swoje.

Głupie zwierzę. Dodane do karmy proszki nasenne szybko zadziałały. Tak się rzucił na to żarcie, że nawet nic nie wyczuł. Nim zeżarł wszystko, nie mógł już wstać. Musiała to zrobić. Nie mogła przecież ryzykować, że ten sierściuch ją podrapie. A że to był dzikus, to nie byłoby tak łatwo go złapać...

Potem raz-dwa, w torbę kota. Tam pstryk! Ukręcić łeb. Rozejrzeć się, czy nikt nie idzie. Pusto było, szczęście sprzyjało, więc szast, nożem, i pokropić, jak kropidłem, żeby efekt był odpowiedni. Szybko przetrzeć kurtkę szmatą. Czarna jest, to śladów krwi bardzo nie widać. Nawet jakby ktoś ją minął, pewnie nic by nie zauważył. Ale nikt jej nie mijał. Kolejny fart.

Potem w myślach raz po raz odtwarzała całe zajście, uśmiechając się pod nosem. No, trzeba powiedzieć, że z tym kotem to zaryzykowała, choć nie aż tak bardzo, jak można by sądzić. I jednego tylko żałowała: że nie mogła widzieć miny tej Agaty, gdy wróciła do domu. Pewnie najpierw szok, niedowierzanie, a potem „ojej, ojej, a co to się stało?”. Paniusia z miasta... Śmiechu warte.

Może teraz odzepi się od Bolka. Może zrozumie aluzję. Poza tym zaraz urodzi dziecko, to będzie miała inne sprawy na głowie.

Bo o policję się nie martwiła. Nie miała wrażenia, żeby policja podejrzewała ją choćby w najmniejszym stopniu. A ta Agata... warto by

było się upewnić, co jej teraz po głowie chodzi. Trzeba do niej iść. Wymyślić jakiś pretekst, że niby pitu-pitu i delikatnie wybadać, jak się sprawy mają.

Jak ma się głowę na karku, to nietrudno wpaść na dobry pomysł. Ledwie o tym pomyślała, a już przyszedł jej do głowy sposób, jak sensownie zagadać. Żeby za bardzo od czapy nie było.

Nie zawsze była taka sprytna. Gdy wspominała siebie z przeszłości, chciało jej się śmiać. Owszem, czasem zachowywała się jak głupia trzpiotka, ale chyba wszystkie dziewczyny takie są, prawda? Na pewno nie zasłużyła, by tak ją potraktowano. W końcu nie można karać nastolatki za to, że zachowuje się jak nastolatka. Można było dostrzec drzemiący w niej potencjał. Jest przecież zaradną kobietą. Całe życie musiała radzić sobie sama. Nikt jej nie pomagał. I proszę, czego to życie ją nauczyło. Mogła wprowadzić w życie taki plan i nikt, ale to nikt jej o nic nie oskarżał. Teraz tylko trzeba wybadać tę Agatę...

Podźwignęła się z fotela z uśmiechem na ustach. Od razu pójdzie, bo to nie ma co odwlekać.

Agata spojrzała na zegarek. Kermit będzie z powrotem najwcześniej za pół godziny. Postanowiła tym razem zachować się odpowiedzialnie i zadzwonić prosto na policję. Renata Bogucka sprawia wrażenie rozsądnej osoby. Niech posłucha, co Agata ma do powiedzenia, i sama oceni, czy ma to sens.

Chwyciła komórkę i wybrała właściwy numer.

Niestety, jedyne, co usłyszała, to miarowy sygnał nieodbieranego połączenia, a po chwili prośba o zostawienie wiadomości na sekretarce. Nie miała zamiaru się nagrywać. Była pewna, że policjantka gdy tylko będzie mogła, po prostu oddzwoni.

Odłożyła telefon na stół w kuchni. Usłyszała kroki na górze, a po chwili do kuchni zajrzał pan Andrzej.

– Pani Agatko?

– Tak?

– Kubeczek odnoszę, dziękuję. – Odstawił kubek na blat. – Poza tym chciałem powiedzieć, że już widzę, że nie starczy mi fugi.

„A to niespodzianka!”, pomyślała Agata.

– Podjadę więc do marketu, póki korków nie ma, to szybciej obrócę.

– Dobrze, dobrze. Niech pan jedzie.

Ubrał się z prędkością muchy w smole, wciąż mówiąc jakieś rzeczy bez znaczenia, które Agacie jednym uchem wpadały, a drugim wypadały.

Gdy w końcu wyszedł, Agata raz jeszcze wzięła do ręki telefon i zerknęła na wyświetlacz. Policjantka jeszcze nie oddzwoniła. Sprawdziła rejestr wykonanych połączeń. Dzwoniła do niej zaledwie pięć minut temu, a miała wrażenie, że minęły całe wieki.

Poczuła dziwny ucisk w podbrzuszu. To chyba te skurcze przepowiadające. Jej brzuch stał się twardy jak skała. Nie bolało, ale było to bardzo dziwne odczucie. Jakby jej ciało zaczęło żyć własnym życiem, na które ona nie miała żadnego wpływu. Po chwili skurcz puścił. Może pora

zacząć mierzyć czas między skurczami? Może to JUŻ? Zaczęła krążyć po pokoju, co chwilę nerwowo patrząc na zegarek. Czas płynął boleśnie powoli. Trzeba skupić się na czymś innym... Jeszcze raz przechodziła tok myślenia, który doprowadzi ją potencjalnego mordercy. Wszystko wydawało się spinać w logiczną całość. Na stoliku kawowym wciąż leżała kartka, na której nie tak dawno temu spisała to, co wiedziała na temat tej sprawy. Nadal nie każdy wątek był jasny, ale trop, na który wpadła, dobrze tutaj pasował, z niczym nie stał w sprzeczności, choć nie wszystko wyjaśniał. Bardzo chciała to z kimś przegadać. Kermit! Zaraz powinien wrócić. Ciekawe, co on na to wszystko powie?

Rozmyślenia przerwał jej dzwonek do drzwi.

Czyżby zapomniał kluczy? Mało prawdopodobne. Poza tym nie zamykała za panem Andrzejem. To na pewno Bożena wpadła z kwiatami, tak jak uprzedzała Kaśka. Idąc do drzwi, Agata postanowiła, że nic jej nie powie. Najpierw chce porozmawiać z kimś, kto nie jest tak bardzo zanurzony w lokalnej społeczności i oceni jej hipotezę bez żadnych uprzedzeń.

Ale to nie była Bożena.

– Dzień dobry. – W drzwiach stała Paulina Kluzik, jak zwykle w musztardowożółtej czapce i obszernej czarnej kurtce.

– Dzień dobry.

– Mogę na chwilę? – spytała z uśmiechem i wcisnęła się do środka, nie czekając na zaproszenie. – Zimno żeby pani nie naleciało – dodała, zamykając za sobą drzwi.

Zdjęła rękawiczki, pokazując zniszczone dłonie, i odłożyła je na stojącą tuż obok drzwi komodę.

– Przyszłam spytać, czy nie chciałaby pani, żeby pani pomóc w odśnieżaniu? Bo teraz to się pani tym chyba zajmować sama nie będzie, męża z tego co widzę, przez większość dnia nie ma, więc za drobną opłatą ja bym mogła pomóc. I tak odgarniam po okolicy, to i tutaj bym mogła. Jeśli państwo sobie życzą oczywiście, bo jeśli nie, to nie ma problemu. Narzucac się nie mam zamiaru!

Agata czuła, że nadchodzi kolejny skurcz. Brzuch znów stał się niewyobrażalnie twardy. Wzięła głęboki wdech, próbując uspokoić organizm. Serce biło jej dużo szybciej, niż by sobie życzyła.

Telefon! Pomacała się po kieszeni i odkryła, że była pusta. Szybki rzut oka na stół w kuchni potwierdził jej przypuszczenia: tam właśnie go zostawiła. Musiała jak najszybciej się do niego dostać.

I zagadać Paulinę.

– Odśnieżanie? – Skurcz odpuścił, zrobiła więc krok w tył. Przed następnym skurczem musi się dostać do kuchni. I zachowywać się jak najnormalniej. – Tak, nie pomyślałam o tym, ale może to i dobry pomysł. A ile to by kosztowało?

– Nie wiem. – Paulina rozłożyła ręce. – Zwykle biorę pięć złotych za śnieżny dzień od posesji.

Brzuch znów zaczął się napinać. Nie było czasu do stracenia.

Agata odwróciła się i ruszyła do kuchni.

I to był błąd.

Zanim zrobiła drugi krok, poczuła uderzenie w skroń. Osunęła się na ścianę, po czym coś pociągnęło ją za nogi i runęła na ziemię.

Dziecko gwałtownie się poruszyło. Agata poczuła, że coś spływa jej po skroni. Dotknęła miejsca na głowie, z którego rozchodziły się fale bólu. Palce były czerwone od krwi.

Odwróciła się i spojrzała na Paulinę. Stała nad nią z parasolem w dłoni. Parasolem, który Agata dostała na urodziny od Kermita. Czarnym, eleganckim, na mocnym stalowym kijku i z rączką z gładkiego twardego drewna. To właśnie tą rączką Paulina podcięła Agatę. Teraz za nią trzymała, celując szpikulcem prosto w jej brzuch.

– Jeden ruch, a dźgnę cię w brzuch tak, że na pewno dosięgnę twojego dziecka – ostrzegła.

Z twarzy zniknął uśmiech. Pozostała czujność.

– Skąd wiedziałaś? – spytała.

– Ja? – Agata zmusiła się, by oderwać wzrok od szpikulca i spojrzeć kobiecie w oczy. – Ale co? O co ci chodzi? – próbowała grać na zwłokę.

Paulina ją szturchnęła. Nie bardzo mocno i bardziej w bok niż w miejsce, gdzie znajdowało się dziecko, ale Agata i tak krzyknęła i odsunęła się od tyłu.

– Nie ruszaj się, mówiłam! – warknęła Paulina. – I nie pogrywaj ze mną. Przecież widziałam, jak na mnie spojrzałaś, gdy otworzyłaś drzwi. Jakbyś

zobaczyła jakiegoś pieprzonego ducha. Od początku wydawało mi się, że za bardzo kręcisz się wokół sprawy Bola. No i popatrz, co wykręciłaś. Domyśliłaś się, że to ja go zabiłam. Jego i tego drugiego, Zbycha. No i tego sierściucha, co to do ciebie przyłaził. Miałam nadzieję, że zrozumiesz, że lepiej będzie dla ciebie, jeśli zapomnisz o tej sprawie i zajmiesz się przygotowaniem do porodu. Ale nie, jak widać, nie dotarło. No to się doigrałaś.

Agata wiedziała, że nie ma sensu dłużej zaprzeczać. Tylko bardziej by ją rozzłościła. Jedyna nadzieja w tym, że uda jej się jakoś ją zagadać, zanim wróci Kermit. Powinien być lada moment, a Paulina prawdopodobnie o tym nie wie, więc nie będzie się spieszyć. Musi tylko pamiętać, żeby pod żadnym pozorem nie zerknąć na zegarek. Paulina była bystra, dużo bystrzejsza, niż można by sądzić na pierwszy rzut oka, i na pewno szybko by się zorientowała, że Agata na kogoś czeka. Trzeba to maksymalnie przeciągnąć. A były na to szanse. Skoro Paulina zaatakowała ją jej własnym parasolem, to znak, że przyszła tu bez takiego planu. Przypuszczalnie więc nie wie, co dalej robić.

– Masz rację. Domyśliłam się, że to ty.

– Dawno?

– Nie dawno. Dzisiaj.

– Cudownie. A więc przyszedłam w samą porę. Widzisz, jak mi się wszystko układa? Tak mnie właśnie tknęło, że przyjdę i wybadam, do czego udało ci się dogrzebać. – Paulina ściągnęła żółtą czapkę i rzuciła na komodę, nawet na moment nie odrywając wzroku od Agaty. – Zdażyłam w ostatniej chwili. Chyba że już zadzwoniłaś do tej swojej policjantki, tej Boguckiej? Przypadłyście sobie do gustu, co? Przyjaciółeczki... Widziałam, jak z nią rozmawiasz.

Agata gorączkowo zastanawiała się, jaka odpowiedź dawała jej w tym momencie większe szanse. Powiedzieć „tak” i sprawić, że Paulina pomyśli, że wszystko skończone? Czy może zaprzeczyć, by dać jej poczucie, że jest jeszcze wyjście z tej sytuacji? Że policja nie przyjedzie tu zaraz na sygnale?

– Nic jej jeszcze nie powiedziałam. Dzwoniłam, ale nie odebrała.

Paulina zmrużyła oczy i przyjrzała się Agacie badawczo.

– No dobrze... – mruknęła po chwili. – Załóżmy roboczo, że ci wierzę.

Agata spojrzała na nią błagalnie.

– Proszę cię, możemy się dogadać. Nikomu nic nie powiem. Ja to ja, ale chyba nie zrobisz krzywdy mojemu dziecku?

Brzuch znów zaczął twardnieć.

Paulina roześmiała się szyderczo.

– Dziecko jako takie mi nie wadzi, ale jeśli mam wybierać między nim a mną, to wybór... jak by ci to powiedzieć... staje się dosyć prosty. Gdy teraz cię załatwię i zniknę, nikt się nie domyśli, że to ja zrobiłam. Nikt mnie nie widział, jak tu szłam. Andrzej odjechał przed chwilą, wróci pewnie za godzinę. Twój mąż jest w pracy. Zabiorę twoją torebkę i pomyślę, że ktoś chciał cię po prostu okraść. Odcisków palców nigdzie nie zostawiłam. Parasol zabiorę i tyle mnie widzieli. Czy to nie całkiem zgrabny plan? A właśnie! Powiedz, jak doszłaś do tego, że to ja to wszystko zrobiłam?

– Uh – jęknęła Agata i złapała się za brzuch.

– No nie no, bez takich! – Paulina przewróciła oczami. – Chyba nie będziesz mi tu rodzić teraz!

– Nie.. uh... to tylko skurcze... uh.. przepowiadające.

– Jakie? Zresztą mniejsza z tym. Gadaj, bo chcę wiedzieć, co mnie zdradziło.

Skurcz trochę odpuścił.

– Cóż, złożyło się na to kilka rzeczy. Po pierwsze, to ty znalazłaś Bola. Może i odśnieżasz co rano, ale nie sądzę, byś zawsze wstawiała tak wcześnie. Tego dnia wstałaś, żeby mieć pewność, że będziesz pierwsza na miejscu. To ty musiałaś być osobą, która go znajdzie, żeby usprawiedliwić obecność twoich śladów wokół niego. Jestem pewna, że zanim zadzwoniłaś na policję, specjalnie nadeptałaś tam, ile tylko się dało.

– Zgadza się. – Paulina kiwnęła głową i spojrzała na Agatę z uznaniem. – Potem mogłam powiedzieć, że byłam w takim szoku, że wszystko zdeptałam.

– Druga sprawa to Zbigniew. Wtedy, na komisariacie, Renata Bogucka ostrzegła mnie, żebym z nim nie rozmawiała, gdy już byłam na korytarzu. A na tym korytarzu czekałaś ty. Potem Kaśka widziała kogoś w żółtej czapce, jak rozmawia ze Zbigniewem, a żółtą czapkę masz ty. Pewnie próbowałaś wyciągnąć z niego, czemu wezwano mnie na komendę. Zakładam, że ci się

udało.

Usta Pauliny wykrzywiły się w grymasie nasączonym pogardą.

– Frajer! – prychnęła. – Takich jak on nie jest trudno zbajerować. Przy flaszcze wina za dychę wszystko mi wyśpiewał. A potem poszło już jak po maśle! Powiedziałam mu, że na skraju lasu jest drzewo, które by mi się przydało do palenia w kominku, a że nie mam chłopca w domu, to potrzebuję pomocy, żeby je pociąć i przywieźć. Dwadzieścia złotych dawałam.

– I tak bez wózka i siekiery poszliście?

Paulina parsknęła śmiechem.

– No pewnie! Przecież nie mogłam pozwolić, żeby mnie zobaczyli, jak idę rąbać drewno do lasu, a potem znajdują tam zabitego Zbycha! Głupia nie jestem! Umówiłam się z nim na miejscu za dwie godziny. Poszłam tam wcześniej i czekałam na niego. Siekiere miałam w torbie. Tak jak przypuszczałam, przyszedł mocno zawiany. Coś musiał jeszcze chlapnąć po tym winie, co mu postawiłam. Jeden cios i było po sprawie. Nawet dziecko by sobie z nim poradziło.

Agata z trudem stłumiła falę obrzydzenia do tej kobiety. Z taką wzgardą mówiła o Zbyszku... Agata miała ochotę wykrzyknąć jej prosto w twarz, jak odrażająca jest osobą. Jednak zapewne byłby to ostatni krzyk w jej życiu, dlatego przełknęła kulę niechęci i wciąż powstrzymując się od zerknięcia na zegarek, z głębokim przeświadczeniem, że każda sekunda rozmowy daje jej większe szanse na ujście cało z tej sytuacji, pociągnęła temat dalej.

– I trzecia rzecz to twój związek z rodziną Skowronów. Dziś dowiedziałam się, że byłaś kiedyś dziewczyną Wojtka. Ale szczerze mówiąc, nadal nie bardzo rozumiem, jak to się łączy z obecną sytuacją. Bolek coś ci zrobił? W jakiś sposób sprawił, że musieliście się rozstać?

– Bolek? – Paulina roześmiała się, w widoczny sposób rozbawiona tą hipotezą. – A skąd! Tu nigdy nie chodziło o Bolka!

– Nie?!

– No pewnie, że nie! Co mi ten Bolek zawadzał? Od samego początku rozchodziło się tylko o Wojtka. Bolek był tylko narzędziem. A Wojtek... – Czerwony podbródek Pauliny zaczął drzeć. – Wojtek mnie porzucił. I czemu? Czemu on to zrobił? Przecież byliśmy tacy szczęśliwi! Gdybyś nas wtedy widziała... A potem mnie rzucił i choć robiłam wszystko, by między

nami znów było jak dawniej, on nie chciał mnie już znać. Więc musiał zobaczyć, jak to jest stracić kogoś, na kim naprawdę ci zależy. A jemu zależało tylko na bracie.

Wrzesień 1996 roku

Wojtek siedział na ławce i strzelał kostkami u rąk. Spojrzał na zegarek. Paulina miała być już dziesięć minut temu. Nigdy nie lubił, gdy ktoś się spóźniał, ale teraz szczególnie go to denerwowało. Miał do załatwienia ważną sprawę. Przyszedł gotowy na rozmowę. Postanowił, że dziś zakończy ten związek. Wszedł w niego zupełnie bezmyślnie. Paulina od lat się w nim podkochiwała, a on wprawdzie nic do niej nie miał, ale o żadnym zauroczeniu też nie mogło być mowy. W końcu na którejś imprezie jej uległ i tak zostali parą. Nie chciał się wiązać. Zgodził się na to dla świętego spokoju, z delikatną nadzieją, że może z czasem poczuje coś do Pauliny. W końcu niczego jej nie brakowało. Ale dziewczyna z czasem coraz bardziej go irytowała. Rzeczy, o których opowiadała, nie miały dla niego żadnego znaczenia. Jej żarty były nieśmieszne. Książek nie czytała, co najwyżej jakieś kolorowe pisma. Nie było z nią o czym rozmawiać. Spotykali się dopiero cztery miesiące, a ona już zaczęła planować, gdzie spędzą kolejne wakacje. Pojadą nad morze czy w góry? Czas najwyższy uświadomić jej, że żadnych wspólnych wakacji nie będzie.

Nagle poczuł, że ktoś zakrył mu oczy.

– Zgadnij kto to? – zaszcebiotał znajomy głos.

„O kurwa, ale zagadka!” – burknął w myślach. Zsunął jej dłonie i powiedział:

– Cześć, Paulina.

– A co to? Misiaczek dzisiaj nie w humorze? – spytała, próbując usiąść mu na kolanach. Odsunął się i wylądowała na ławce.

– Wiesz, chciałem porozmawiać...

– Och, to dobrze! Bo wiesz, ja też mam ci coś do powiedzenia. Rozmawiałam z Klaudyną, no wiesz, tą moją kumpelą, i ona powiedziała, że jej kolega jej powiedział, że na Mazurach jest takie fajne jezioro, czyste i w

ogóle, i nad tym jeziorem jest taka działka, gdzie za niewielką kasę facet pozwala postawić namiot, więc może tam byśmy pojechali w przyszłym roku, co? Mazury i w ogóle! Namiot, kuchenkę gazową byśmy wzięli, a ja będę gotowała. Co? Co ty na to? No mam nadzieję, że się zgadzasz, bo ja już powiedziałam, że my to się na to piszemy. No wiesz, taka okazja, to żal nie skorzystać!

Wojciech zaciskał zęby, próbując powściągnąć emocje. Oby tylko nie przerwać jej tej przemowy pieprznięciem w ten tępy łeb!

– Paulina, ja nie pojedę na te wakacje – wycedził.

– Nie pojedziesz? – Uniosła brwi i wygięła usta w podkówkę, jak małe dziecko. – Myślisz, że będziesz musiał pracować? No cóż, trudno, to najwyżej ja też nie pojedę. Ale to jeszcze rok, to wszystko się może pozmieniać. Bądźmy dobrej myśli, co?

Pogłaskała go po głowie.

– To nie w tym rzecz. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Bo wiesz, nie możemy się już dłużej spotykać.

– Co takiego? – Wyglądała, jakby ktoś zdzielił ją obuchem w głowę. – Co ty powiedziałeś?

– Kończymy ten związek, Paulina. Ja go kończę. To koniec. Przykro mi – dodał, choć tak naprawdę kamień spadł mu z serca, gdy w końcu wypowiedział te słowa.

– Ale... ale... ale ja cię kocham! – krzyknęła, a z jej oczu trysnęły łzy.

– Ja też cię lubię – odparł, choć było to dalekie od prawdy. – Ale nic z tego nie będzie.

– Ale Wojtuś! Nie możesz tego zrobić! – Chwyliła go za ręce i mocno ścisnęła. – Czy ja zrobiłam coś nie tak?

– Nie, nie. Nic takiego nie zrobiłaś. To ja mam problem. Ja... no wiesz... nie nadaję się do związków. Na pewno znajdziesz sobie kogoś lepszego. – Próbował bezskutecznie wyrwać dłonie z jej uścisku.

– Ale ja ciebie chcę! Na ciebie tyle czekałam! Wojtuś!

– Nie, Paulina. Poza tym jest jeszcze sprawa Bolka. – Wojtek chwycił się wszystkich argumentów, jakie wpadły mu do głowy. Wszyscy sąsiedzi już wiedzieli, że Bolek i Halina będą mieli dziecko. Dziewczyna już od dwóch tygodni u nich mieszkała. – Pewnie trzeba im będzie trochę pomóc, to

zabierze czas.

– Ja też im mogę pomagać! Przecież ja pomogę!

– Nie, Paulina. To naprawdę koniec.

– Zrywasz ze mną, bo twój brat będzie miał dziecko? Ale Wojtek! To bez sensu! Nie możesz tego zrobić!

„No to patrz” – cisnęło mu się na usta, ale nie chciał niepotrzebnie zadawać jej bólu. Cierpienie było wypisane na jej czerwonej, poznaczonej strugami łez twarzy. Instyktownie się odsunął. Budziła w nim tylko odrazę. Przeklinał dzień, w którym pozwolił jej się do siebie zbliżyć. Wyszarpnęła dłonie z jej zaciśniętych kurczowo palców.

– Naprawdę, przykro mi. Nie przychodź do mnie przez jakiś czas. Nie dzwoń.

– Wojtuś!

– To koniec, Paulina. Żegnaj.

Wstał i nie odwracając się za siebie, ruszył szybkim krokiem w stronę domu. Zawołała go jeszcze kilka razy, ale nie zareagował. Wiedział, że ta rozmowa nie będzie łatwa, ale nie spodziewał się aż takiego dramatu. Czemu nie mogła po prostu z godnością odejść? Czy ona naprawdę nie widzi, że on nie może na nią patrzeć? Jest aż tak ślepa? Miał ogromną nadzieję, że szybko jej przejdzie i upatrzy sobie jakąś inną ofiarę. Mówił prawdę, że nie nadaje się do związków. Wystarczająco się napatrzył na rodziców. Za bardzo się bał, że w jego małżeństwie scenariusz by się powtórzył, a nie chciał tak żyć. Było mu dobrze tak, jak było teraz. Samotne życie bardzo mu odpowiadało. Bardzo wątpił, czy to się kiedykolwiek zmieni.

Paulina wciąż siedziała na ławce. Nie mogła uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Wojtek z nią zerwał! On! Jej Wojtek, którego po tylu latach w końcu udało jej się zdobyć! A przecież tak bardzo się starała. Był jej pierwszą miłością. Pierwszą i największą – była pewna, że nigdy nikogo nie będzie w stanie pokochać tak mocno. Zaciśnęła dłonie w pięści. Nigdy nie zrezygnuje. Zawsze będzie go kochała. Spokojnie poczeka, aż mu się odmieni. I ten jego nedorobiony brat! Jak to możliwe, że przez tego szczyla jej największe szczęście rozbiło się w drobny mak? Ale to na pewno nie będzie trwało wiecznie. Ona ma cierpliwość. Tyle czasu czekała, to poczeka

jeszcze trochę. Wojtek jest jej, tylko jej i prędej czy później go odzyska. A jeśli nie, to jeszcze ją popamiętaj!

Agata starała się nie patrzeć na szpikulec parasola wycelowany w jej brzuch. Historia opowiadana przez Paulinę sprawiła, że wszystko stało się jasne. Wszystko oprócz jednej rzeczy.

– Ale dlaczego teraz? – spytała. – Po tylu latach? Chyba od dawna już nie jesteście razem.

– Długo karmiłam się złudzeniami. Zbyt długo. Wciąż wierzyłam, że Wojtek jeszcze przejrzy na oczy i do mnie wróci. A potem po prostu przyzwyczaiłam się do tego, jak jest. Że ja jestem sama i on jest sam. Wiesz, czasem potrzeba czasu, by dostrzec w pełnym świetle, jakie mogło być twoje życie. Spójrz tylko na mnie. Gdyby mnie wtedy nie zostawił, żyłabym zupełnie inaczej. Mogłam być kimś innym, kimś lepszym. Życ wygodniej. Jak choćby taka Bożena. Gdy ją zobaczyłam, poczułam ukłucie w sercu, jakby ktoś wbił mi tam szpilę. Prawdziwe, bolesne ukłucie. Gdyby Wojtek mnie nie odrzucił, gdybym nadal z nim była, mogłabym żyć właśnie tak jak ona. Ale on mnie odepchnął i dlatego musiał ponieść karę. To przez niego żyję tak, a nie inaczej.

– Bożena skończyła studia. To nie mężowi wszystko zawdzięcza – odpowiedziała Agata wstrząśnięta takim pojmowaniem sprawy.

Paulina zamachnęła się i uderzyła ją końcem parasola w twarz. Twarda stal boleśnie rozcięła policzek, a ciemnoczerwona krew spłynęła na kołnierz bluzki.

– Au! – krzyknęła.

– Jedno sobie zapamiętaj – wycedziła Paulina słowo po słowie, przez zaciśnięte zęby. – To nie moja wina, że żyję tak, jak żyję. Mój plan był inny. Ci, którzy go zniweczyli, musieli ponieść karę. A Bożenie jestem wdzięczna. Dzięki niej przejrzałam na oczy. Uświadomiłam sobie, co mi odebrano.

Agata wcisnęła się w ścianę. Pulsujący ból w policzku ją dekoncentrował. Rana piekła, nadchodził kolejny skurcz. Czowała, że zaraz ogarnie ją panika.

Nie zdoła już dłużej się kontrolować.

Wybuchnie.

Zrobi coś głupiego, co sprowadzi zgubę na nią i na jej dziecko.

W tym momencie otworzyły się drzwi i stanął w nich Kermit. Błyskawicznie ocenił sytuację. Rzucił torby na podłogę i zamachnął się pięścią. Uderzył Paulinę w głowę, ale ona nie pozostała mu dłużna. Czubek parasola prześlizgnął się po jego czole zostawiając na nim czerwoną pręgę, ale on jakby w ogóle tego nie zauważył. Rzucił się na kobietę, chwycił oburącz parasol, przyciągnął do siebie i mocnym szarpnięciem wyrwał jej go z rąk. Następnie napał na nią i trzymanym w poprzek parasolem przyparł ją do ściany.

– Kim jesteś? – wysapał, a ona w odpowiedzi splunęła mu w twarz. – Co się tu dzieje? – rzucił w stronę Agaty.

– To ona zabiła tych mężczyzn i kota. Przyszła mnie wybadać, a jak się zorientowała, że wiem, to mnie zaatakowała.

– Przecież ona jest w ciąży! – krzyknął na Paulinę. – Jak mogłaś! – Przyparł ją mocniej do ściany, aż jęknęła.

W tym czasie Agata podźwignęła się na nogi i pobiegła po telefon. Wykręciła numer alarmowy.

– Dzień dobry. – W krótkich słowach opisała, co się stało, i podała adres. – Proszę przysłać radiowóz. I karetkę. Nie, nikt nie jest ranny, ale ja rodzę. Tak, dziecko. Do widzenia.

Bohdan Malinowski stał na brzegu Wisły i obserwował płynące niespiesznie kawałki kry. Jedne wpadały na drugie i popychały je w kierunku odległego morza. Zimny wiatr smagał jego twarz, a mróz szczypał w policzki. Nie był miłośnikiem spacerów. Najlepiej czuł się w swoim mieszkaniu lub na uczelni. Zamknięty w czterech ścianach. Ale gdy musiał coś przemyśleć, wtedy wychodził. Szybki krok i brak odciągających uwagę stosów papierów pomagały mu się skoncentrować.

Wizyta Agaty Brok nie dawała mu spokoju. Rozbudziła wspomnienia o Bolku Skowronie i jego tak głupio zaprzepaszczonej karierze. Wskrzesała od dawna uśpione wyrzuty sumienia. Profesor oczywiście zdawał sobie sprawę z tego, że nie stanął na wysokości zadania. Podejmując się pracy akademickiej, chcąc nie chcąc, brał odpowiedzialność za swoich studentów. Zawsze bardziej pociągała go praca stricte naukowa. Zajęcia ze studentami traktował jak zło konieczne, ale skoro już musiał się tym zajmować, należało zrobić to dobrze. A on zawiódł.

Z naprzeciwka zmierzał ku niemu młody chłopak. Ubrany w lekką kurtkę, ze sterczącą na czubku głowy czapką. Mimo niskiej temperatury nie miał na sobie nawet szalika. Odłączył się od grupki stojących nieopodal, roześmianych znajomych.

– Te, dziadek, kopsnij piątaka! – powiedział z radośnie bezrefleksyjnym wyrazem twarzy.

Bohdan pchany absurdalną chęcią odkupienia dawnych zaniedbań sięgnął po portfel, wyjął pięcioletówkę i wręczył młodemu człowiekowi.

– Te! Dzięki! – odparł obdarowany, szczerze zaskoczony i w podskokach pobiegł z powrotem do kolegów.

„I po co ty to zrobiłeś?” – zapytał sam siebie profesor. Chłopak przecież wyda te pieniądze na papierosy albo alkohol. Oby nie na narkotyki! Stary, a głupi.

Wrócił pamięcią do rozmowy z Agatą. Mówiła, że Bolkowi dobrze się

ułożyło. Że rodzina była dla niego oparciem. Bohdan w to nie uwierzył. Widział tę jego rodzinę. Widział tę żonę i złość w jej oczach. Choć od tamtego spotkania minęło wiele lat, dobrze to pamiętał. Ona nie kochała Bolka już wtedy, na samym początku ich wspólnej drogi. Bohdan większą wagę przywiązał do tego, że Bolek zamarzał. Zamarzał w wieku około czterdziestu lat. Kto zwykle zamarza? Alkoholicy. Wizja Bolka jako rozczarowanego życiem alkoholika wydawała się profesorowi znacznie bardziej prawdopodobna. Może gdyby wtedy zachował się inaczej, nie postąpił jak tchórz, nie wycofał się tak łatwo, historia tego chłopaka potoczyłaby się zupełnie inaczej. Nie powinien się wtedy poddać. Co z tego, że Bolek, formalnie rzecz biorąc, był dorosły? Co z tego, że nie należał do jego rodziny? To nieprawda, że nie miał prawa się wtrącać. To był jego moralny obowiązek, zainterweniować w tamtej sytuacji. Rozmawiać dłużej. Przyjść po raz kolejny. Proponować pomoc do skutku.

Po policzku starego profesora spłynęła łza. Zawsze miał się za porządnego człowieka. Może jeszcze nie wszystko jest stracone? Bolkowi już nie pomoże, ale są przecież inni studenci. Bohdan nie czuł się komfortowo w roli osoby wtrącającej się z cudze sprawy, ale jak mawiał Bertrand Russell, jeden z jego ulubionych uczonych, „Przewyciężenie strachu to początek mądrości”, a nigdy nie jest zbyt późno na to, by stać się odrobinę mądrzejszym.

Gdy wrócił do domu po skończonym dyżurze w dniu, w którym odwiedziła go Agata Brok, wziął taboret i sięgnął na pawlaczu. Tam, w pudełkach po butach, przechowywał stare zdjęcia. Był niemal pewien, że na jednym z nich był Bolesław. Po dłuższych poszukiwaniach okazało się, że miał rację. Znalazł zdjęcie, którego szukał. Wyglądało dokładnie tak, jak je zapamiętał: uśmiechnięty półgębkiem Bolek, z zaskoczenia spoglądający w oko obiektywu znad kartki gęsto zapisanej jakimiś działaniami. Bohdan ostrożnie wyjął zdjęcie i długo mu się przyglądał. Potem ostrożnie włożył je do portfela.

Następnego dnia w pracy przypiął je pinezkami do korkowej tablicy wiszącej nad jego biurkiem. Chciał mieć je zawsze przed oczami. Dla postronnych był to po prostu zwykły chłopak. Niech myślą, że siostrzeniec czy bratanek. Dla niego było to przypomnienie. I przestroga.

W jego grupie na seminarium była dziewczyna, której z początku szło doskonale, a potem nagle opuściła się w nauce. Miał nawet do niej numer, bo kiedyś konsultował jej referat telefonicznie. Nie było na co czekać. Wyjął swoją starą nokię i zadzwonił.

– Halo? Dzień dobry. Tak, tu profesor Malinowski. Nie, nie, nic się nie stało. Chciałbym tylko z panią porozmawiać. Jutro będę u siebie na dyżurze o trzynastej. Może pani przyjść? To doskonale. Nie, nie. Proszę się nie niepokoić. Tylko rozmowa. Do zobaczenia jutro.

Gdy wsuwał aparat do kieszeni, poczuł się trochę lepiej. Co powie tej dziewczynie? Jeszcze nie wiedział, ale na pewno coś wymyśli. I na pewno zrobi wszystko, by sprowadzić ją na właściwą ścieżkę. Pomóc, cokolwiek by się działo.

Dwa tygodnie później

Agata wytoczyła wózek na ulicę, a Kermit zamknął za nimi furtkę. Ich pierwszy rodzinny spacer. Mała Marysia leżała szczelnie opatulona w śpiworek i kocyk. Obserwowała otoczenie wokół spod wpełprzymkniętych powiek.

– No i jak ci się podoba na świecie? – spytał Kermit.

Dziecko w odpowiedzi zakwiliło.

Ruszyli przed siebie. Nastaly cieplejsze dni, a śnieg nie padał już od dwóch tygodni. Leżące po bokach chodników zasy, tak wielkie przed dwoma tygodniami, niemal zupełnie się roztopiły. Dzięki temu mogli prowadzić wózek bez problemu.

Pan Andrzej nareszcie skończył łazienkę. Gdy wychodził do nich po raz ostatni, po zamknięciu drzwi odtańczyli dziki taniec radości i wypili toast. Oczywiście szampanem bezalkoholowym. Agata karmiła.

Rodzice Kermita przyjechali do nich tuż po porodzie. Pomoc jego mamy na początku okazała się nieoceniona. Agata najpierw bardzo się przed tym wzbryniała, ale musiała przyznać, że codziennie ugotowane obiady i to, że był ktoś oprócz nich, kto mógł przez chwilę zająć się dzieckiem, bardzo im pomogło. Tym bardziej że Marysia do szczególnie cichych dzieci nie należała. Sporo płakała, spała mniej, niż Agata się spodziewała. Ogólnie: lekko nie było. Aśka nie bardzo mogła pomóc. Wspierała ją jedynie mentalnie. Powiedziała, że musi to przetrwać. Że z byciem matką jest jak z przejażdżką rollercoasterem: najpierw krzyczysz z przerażenia, ale gdy jazda się skończy, chcesz wsiadać jeszcze raz. Jako matka trójki dzieci na pewno wiedziała, co mówi, ale chwilowo Agacie trudno było w to uwierzyć. Mówiła też, że wszystko będzie dobrze. Nie łatwo. Ale właśnie dobrze.

Agata nie dawała się pochłonać czarnym myślom. Gdy patrzyła na

małeńki nosek wystający znad wydzierganego przez mamę Kermita kocyka, wiedziała, że kocha to dziecko całym sercem. Gdy wrócili ze szpitala, Kermit po raz kolejny się oświadczył i tym razem Agata bez wahania powiedziała „tak”. Skromną uroczystość zaplanowali na wiosnę. Okazało się, że mimo krążących legend o dwuletnich terminach oczekiwania na wszystko, co związane ze ślubem, da się załatwić to szybciej. Tym bardziej że nie planowali wielkiego wesela z orkiestrą i kamerzystą, tylko skromne przyjęcie dla najbliższych, zapewne po prostu grilla we własnym ogródku. Mimo zmęczenia Agata była szczęśliwa. – Pani Agato! – usłyszała z bocznej uliczki.

To Wojciech Skowron do nich biegł.

– Dzień dobry. – Przywitani się i wymienili uściski dłoni. Zdejmując rękawiczkę, Agata mimowolnie po raz kolejny zachwyła się błyskiem pięknego pierścionka, który podarował jej Kermit.

– Gratulacje – powiedział Wojciech, wskazując na wózek. – Bardzo się cieszę, że dziecko jest zdrowe i że... że wszystko się dobrze skończyło.

– Dziękujemy – odparła Agata. – Na szczęście nic poważniejszego niż to się nie stało. – Wskazała palcem na wciąż widoczny na policzku strup.

Wiadomości o okolicznościach poprzedzających poród lotem błyskawicy obiegły całe sąsiedztwo.

– Chciałem wcześniej przyjść, ale nie chciałem się narzucać. Domyślałem się, że pewnie wolą państwo побыć teraz sami. Ale chciałbym powiedzieć, jak bardzo przykro mi z powodu tego, co się stało. Ja nie sądziłem... Do głowy mi nie przyszło, że to Paulina mogła być odpowiedzialna za te morderstwa. I że mogłaby posunąć się do zaatakowania ciężarnej. Naprawdę, nie wiem, co mam powiedzieć.

Agata ścisnęła go za ramię.

– Nic nie musi pan mówić. Przecież to nie pańska wina.

– A jednak czuję się współodpowiedzialny. Dostała pani kwiaty?

– Tak, dziękuję. Były piękne.

Na drugi dzień po porodzie poczta kwiatowa dostarczyła Agacie do pokoju ogromny bukiet białych i różowych róż. Był gigantyczny, wypełniał niemal pół pokoju i oszałamiająco pachniał. Była do niego dołączona karteczka: „Przepraszam. Gratuluję. W.” oraz list. W liście Wojciech

tłumaczył, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu. Wyjaśnił, że pochopnie związał się z Pauliną, a potem nie mógł się zebrać, by z nią zerwać. Gdy w końcu to zrobił, szybko o niej zapomniał. Nie nadawał się do związków. Małżeństwo jego rodziców było wypełnione wzajemną nienawiścią, w związku Bolka i Haliny działało się niewiele lepiej. Zdecydował, że woli być sam. A Paulina wciąż skrycie go kochała. Na początku nachodziła go, zabiegała, by do niej wrócił. Z czasem robiła to coraz rzadziej. Był pewien, że w końcu jej przeszło. Może i nawet tak było. Ale gdy przyjechała Bożena, do Pauliny dotarło, w jak złym kierunku potoczyło się jej życie, i postanowiła, że ktoś musi za to zapłacić. Wojtek był naturalnym kandydatem. Gdyby jej nie odrzucił, teraz byłaby jego żoną i nie musiałaby nad ranem zgarniać śniegu z cudzych chodników. Opowiedziała mu to wszystko, gdy odwiedził ją w areszcie. Wciąż powtarzała, że go kocha, ale w jej wzroku nie było miłości, tylko złość, wściekłość, żal i dzika zawziętość. „Ten wzrok wciąż śni mi się po nocach” – pisał. – „Nigdy sobie nie wybaczę, że wcześniej się nie zorientowałem, z kim mam do czynienia”.

– Choć tyle mogłem zrobić. Cóż, w takim razie nie będę państwa zatrzymywał. Życzę przyjemnego spaceru. Gdyby państwo czegoś potrzebowali, proszę pamiętać, że ja zawsze...

– Będziemy pamiętać – zapewnił Kermit. – Dziękujemy.

– Do widzenia.

Kermit objął Agatę. W milczeniu patrzyli na oddalającego się mężczyznę. Z głową wciśniętą w skulone ramiona szybkim krokiem szedł do swojego samochodu. Na tylnym siedzeniu leżał wielki wieniec. Na pewno jechał do brata na cmentarz.

– Oby mu się w życiu ułożyło – szepnęła Agata.

– Oby – zgodził się Kermit.

Ruszyli dalej przed siebie, wciąż ciasno przytuleni, zadumani nad własnym kruchym szczęściem.

1) Paktofonika, Jestem Bogiem. [↵](#)